

Plan Macierewicza:
jak uratować armię



Liroy-Marzec: Kukiz nie może
nikomu rozkazywać

Polscy biskupi
kontra narodowcy?

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
9 1772299 850000
Nakład: 109 tys. egzemplarzy

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY
NR 21/223 22-28 MAJA 2017
CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)



Ziemkiewicz bez litości:

Schetyna się zakiwał



24h



POŻYCZKA DLA FIRM NAWET W JEDEN DZIEŃ

Weź do **500 tys. zł** na dowolny cel związany z Twoją firmą.

- minimum formalności: bez biznesplanu, prognoz finansowych i zabezpieczeń rzeczowych
- długi okres spłaty – nawet do 60 miesięcy
- ubezpieczenie spłaty na wypadek czasowej niezdolności do pracy lub przestoju w działalności gospodarczej
- bez konieczności przedstawiania faktur rozliczeniowych

Do 50 tys. zł w iPKO bez dokumentów i bez wychodzenia z domu.*



Bank Polski
dzień dobry



PKO Bank Polski bankiem numer jeden w Polsce
w prestiżowym konkursie „Bank of the Year 2016”

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora
+48 81 535 66 60 opłata zgodna z taryfą operatora

Szczegółowe informacje o produkcie, w tym Taryfa prowizji i opłat bankowych, są dostępne w oddziałach PKO Banku Polskiego oraz na stronie www.pkobp.pl.
Pożyczkę w jeden dzień może otrzymać firma, która działa na rynku od 18 miesięcy, ma zdolność kredytową, a jej łączne zaangażowanie kredytowe w PKO Banku Polskim nie przekracza 1 mln zł.

Umowa może przewidywać inny sposób udokumentowania wykorzystania pożyczki oraz, w zależności od wyniku oceny zdolności kredytowej, konieczność przedstawienia zabezpieczeń rzeczowych lub innego rodzaju.

*W ramach usług bankowości elektronicznej iPKO, Bank umożliwia osobom fizycznym prowadzącym działalność gospodarczą, na podstawie propozycji dla wybranych klientów w zakładce „Oferta dla Ciebie”, zawarcie umowy pożyczki do 50 tys. zł, po złożeniu stosownych oświadczeń wymaganych w procesie nabycia pożyczki w iPKO, przy użyciu kodu z narzędzia autoryzacyjnego. Udzielenie pożyczki jest uzależnione od oceny zdolności kredytowej.



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Kto tu jest **solidarny**

Mogło się wydawać, że problem przyjmowania uchodźców już nie istnieje. Jednak ostatnie wypowiedzi przedstawicieli Komisji Europejskiej wskazują na coś przeciwnego. „Węgry, Polska i Austria jako jedyne nie dokonały relokacji ani jednej osoby. Stanowi to naruszenie ich zobowiązań prawnych, zobowiązań podjętych wobec Grecji i Włoch oraz zasady sprawiedliwego podziału odpowiedzialności” – ogłosiła kilka dni temu KE. Jeszcze bardziej zdecydowanie wypowiedział się przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk. Według niego polski rząd wyłamuje się z europejskiej solidarności, bo nie przyjmuje uchodźców w ramach programu relokacji. Były polski premier posunął się nawet dalej, bo wprost zagroził Polsce „konsekwencjami”.

Nikt nie wyciera sobie tak często gęby słowem „solidarność” jak zwolennicy relokacji. Gdyby przyjąć ich punkt widzenia, to Polska wraz z Węgrami i Austrią okazałyby się państwami skrajnie egoistycznymi, kierującymi się prywatą i wąsko pojmanym interesem własnym. Publicyści, którzy sprzyjają projek-

towi relokacji, mówią o wstydzie, hańbie, braku współczucia. Równie poruszająco brzmią wezwania tych, którzy kierują oskarżycielski palec na rząd w Warszawie i wołają: Jak to możliwe, by państwo, w którym narodziła się Solidarność, było tak pozbawione empatii?

Solidarność polega na tym, że czy to ludzie, czy państwa wspólnie gotowi są nieść ciężary. Tylko czy w przypadku obecnej polityki migracyjnej można się odwołać do zasady solidarności? Czy, przeciwnie, pod płaszczykiem odwołania się do niej nie skrywa się chęć przerzucenia na słabszych swojej nieudolności? Kto bowiem, pytam, odpowiada za idiotyczną politykę otwartych granic dla przybyszów z Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej? Kto zaprosił do Europy setki tysięcy, miliony imigrantów? Polacy? To prawda, że z powodów geograficznych większość nielegalnych imigrantów przybywa obecnie do Włoch oraz Grecji. Jednak czy rząd Włoch lub Grecji przed tym napływem naprawdę się broni? Czy włoskie jednostki straży morskiej odsyłają łodzie z imigrantami? Czy włoski rząd potrafi przeciwdziałać łamaniu prawa przez panoszące się

tam organizacje praw człowieka, które często niemal otwarcie prowadzą akcję przerzutu uchodźców do Europy? Czy Bruksela pokazuje determinację przy obronie granic europejskich?

Gdyby te wszystkie warunki zostały spełnione, gdyby faktycznie głównym celem Brukseli była ochrona granic i obrona obecnej cywilizacji zachodniej, wówczas europejscy politycy mieliby prawo domagać się solidarności. Tylko wtedy! Tyle że jedynym poważnym politykiem, którego państwo było bezpośrednio narażone na napływ przybyszów z zewnątrz i który próbował na poważnie bronić granic Węgier, był Viktor Orbán. Jaka była reakcja europejskich polityków? Oskarżenie o szowinizm, nacjonalizm i ksenofobię.

Nie chodzi tu zatem o solidarność. Chodzi o przerzucenie na innych kosztów własnych błędów. A także o świadomą politykę migracyjną, która polega na tym, żeby doprowadzić do pojawienia się znaczących grup muzułmanów we wszystkich państwach europejskich, również w Polsce. Nie obrona własnej kultury i cywilizacji jest tu celem, ale doprowadzenie do jej zmiany, do stworzenia we wszystkich państwach Unii społeczeństw wielokulturowych. Zgoda na relokację nawet kilku tysięcy uchodźców to pierwszy krok na drodze do tego celu.

Solidarność to nie płacenie za cudze długi ani nie uległość wobec silniejszych. To, że polski rząd nie chce ulec presji Brukseli, jest właśnie dowodem na to, iż poważnie traktuje zobowiązanie do solidarności. Solidarność z mionymi pokoleniami Polaków i własnymi obywatelami. A także tymi Europejczykami, którzy odrzucają utopijny projekt lewicy i chcą zachowania choćby resztek chrześcijańskiej tożsamości. ©©



TEMAT TYGODNIA

18 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

SPLĄTANIE W PO

Partia głupich kroków

22 ROZMOWA Z ADAMEM SZŁAPKĄ

SCHETYNA BĘDZIE DOBRYM PIŚ-OWCEM



KRAJ

24 ROZMOWA Z PIOTREM LIROYEM-MARCEM

ŻYJEMY W KRAJU FASADOWYM

Posel klubu Kukiz'15: Doszło do prowizorycznej zmiany ustroju

28 WOJCIECH WYBRANOWSKI

REKINY REPRYWATYZACJI W SIECI

31 ROZMOWA Z WICEMINISTREM MON

TOMASZEM SZATKOWSKIM

PLAN MACIEREWICZA

34 PIOTR GURSZTYN

MUSIMY MIEĆ KANAŁ

36 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK

UPIÓR WIELOKULTUROWOŚCI

38 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM BOSAKIEM

NACJONALIZM TO NIE SZOWINIZM

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

BARDZO MEDIALNE NARODZINY

KULTURA

42 WIEŚLAW CHEŁMINIAK

MROKI ITALII, ŚWIATŁA PARYŻA

Malarstwo Artemisii Gentileschi i Giovanniego Boldiniego

46 PIOTR GOCIEK

POLSKA MAGIA, POLSKI MIECZ

48 ANDRZEJ HORUBAŁA

OSTATNI AKORD KLATY



NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ROZMOWA Z JANEM MARIĄ JACKOWSKIM

OPOZYCJA ZACHOWUJE SIĘ ANTYDEMOKRATYCZNIE

Senator PiS zapewnia: Nie rezygnujemy ze zmiany

58 KRYSZTYAN KRATIUK

NA DWÓCH BIEGUNACH

HISTORIA

62 TOMASZ LENCEWSKI

POLSKIE ALMANACHY GOTAJSKIE

Szlacheckie rodowody

ŚWIAT

68 JACEK PRZYBYLSKI

USTRZELIĆ PREZYDENTA

Tajemnice Białego Domu

72 ROMAN GRACZYK

EMMANUEL MACRON W PAŁACU ELIZEJSKIM

76 PIOTR WŁOCZYK

MEDZIUGORIE POD LUPĄ WATYKANU

78 PIOTR SEMKA

KRÓL TO PRZYDATNY WYNALAZEK

80 SZEWACH WEISS

DONALD TRUMP OBALA MITY

EKONOMIA

82 ROZMOWA Z ANNĄ STREŻYŃSKĄ

CYFRYZACJA TO PROCES

Minister cyfryzacji o informatyzacji w Polsce

84 STEFAN SĘKOWSKI

BOSKI BIZNES

ŻYCIE I NAUKA

88 KATARZYNA PINKOSZ

TERAPIE NADZIEI

Szansa dla chorych na chłoniaki

debata
DO RZECZY

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu fragmenty oświadczenia na temat dyskryminacji polskich organizacji kobiet oraz komentarz do wywiadu z Janem Pietrzakiem. Dziękujemy za wszystkie listy oraz aktywność w Internecie. Państwa opinie i reakcje są dla nas bardzo istotne.

„Kaczyński nigdy mnie nie zawiódł”

Bardzo dziękuję za wywiad Macieja Pieczyńskiego z Janem Pietrzakiem („Do Rzeczy” 20/2017). Państwa młody dziennikarz nie bał się zadawać jubilatowi trudnych pytań, dzięki czemu satyryk mógł w pełni przedstawić swoje przekonania. A są one bardzo spójne i reprezentują to, co – mimo wszystko – wielu wyborców chce słyszeć: poparcie dla polityki Jarosława Kaczyńskiego, entuzjazm dla zmian, brak dzielenia włosów na czworo. Dobrze, że Jan Pietrzak przypomniał, od czego uciekamy, co odrzucili Polacy: rządy Tuska i skorumpowanej Platformy, wszechwładzę „Gazety Wywiabywowej”. Pozdrowienia dla pana Janka. Czytając jego wypowiedzi, parę razy roześmiałem się w głos.

R. Czarnecki

Nietolerancyjni miłośnicy równouprawnienia

W dniach 22–24 maja w Warszawie zaplanowana jest wizyta przedstawi-



cieli Komisji Parlamentu Europejskiego ds. Praw Kobiety i Równouprawnienia (FEMM). Komisja postanowiła się spotkać tylko z feministkami i organizacjami LGBT, odrzucając prośbę o spotkanie z Polkami z innych organizacji.

[...] Program planowanej wizyty w Polsce przewiduje spotkanie wyłącznie z przedstawicielkami skrajnie lewicowych organizacji pro-choice, m.in.: Ratujemy Kobiety, Centrum Praw Kobiety, Kampanii przeciw Homofobii czy Feminoteki. Kilkaście organizacji kobiecych działających w Polsce zostało przez organizatorów spotkania zignorowanych wyłącznie dlatego, że nie wpisują się w radykalną, feministyczną retorykę.

– Komisja FEMM zastosowała klasyczne mechanizmy dyskryminacji, arogancko wykluczając z debaty publicznej organizacje reprezentujące ogromną liczbę Polek – powiedziała dr Joanna Banasiuk, wiceprezes Ordo Iuris.

Pomimo zgłoszenia chęci udziału w wydarzeniu wiele organizacji jak dotąd nie otrzymało żadnej odpowiedzi. Wśród nich

są m.in.: Konfederacja Kobiety RP, Centrum Wspierania Inicjatyw dla Życia i Rodziny, Instytut Ordo Iuris, Fundacja Życie i Rodzina oraz Fundacja Mamy i Taty.

– Nie możemy się zgodzić na kreowanie fałszywego obrazu społeczeństwa polskiego w strukturach UE. Większość Polek ma inne priorytety niż agresywne feministki z czarnych marszów. Polki popierają pełną ochronę życia, tymczasem unijni politycy jako przedstawicielki kobiet chcą traktować wyłącznie feministki. Jest to oburzająca dyskryminacja, która jest tym bardziej skandaliczna, że dopuszcza się jej komisja FEMM, która ma działać na rzecz równouprawnienia – powiedziała Małgorzata Owczarska, prezes Konfederacji Kobiety RP.

FEMM to jedna z Komisji Parlamentu Europejskiego, której działania skierowane są na rzecz równouprawnienia kobiet i mężczyzn. Ponieważ Komisja zdominowana jest przez osoby o poglądach skrajnie lewicowych, pod przykrywką promocji praw kobiet i równouprawnienia promuje się ideologię gender, prawa LGBTI, prawo do zabijania dzieci na wczesnym etapie rozwoju czy seksualizację dziewcząt od najmłodszych lat.

[...]

Wykluczone przez FEMM organizacje zamierzają zwrócić się do przewodniczącego Parlamentu Europejskiego z oficjalną skargą na dyskryminacyjne praktyki stosowane przez kierownictwo FEMM.

Joanna Zajęc,
doradca ds. komunikacji,
Fundacja Instytut na rzecz Kultury Prawnej



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: Paweł Lisicki
I zastępca redaktora naczelnego: Piotr Gabryel
Zastępca redaktora naczelnego: Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz

Z ZESPÓŁEM:

Sekretariat redakcji: Jacek Przybylski (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń,
Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści: Kamila Baranowska, Olivier Bault,
Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Lenckiewicz,
Wiesław Chelminiak, Dominika Coś (Brusela), Krzysztof Czański,
Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Edyta Hodyńska, Katarzyna, Jacek Komuda,
Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski,
Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Małowski, Karolina Marchlewska-
Trzmieł, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz,
Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak,
Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski,

Błażej Toraniński, Matthew Tyrmund, Paweł Wawrzyski, Szewach Weiss,
Piotr Włoczyk, Marcin Wołski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski,
Igor Zalewski

DoRzeczy.pl redaguje

Antoni Trzmieł (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem:
Zofia Magdziak (zastępca), Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr,
Damian Cygan, Karol Gac
Współpraca: Miłosz A. Łodowski

Studio graficzne: Mariusz Daruk-Skarbek (szef studia),
Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący),
Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wojtowicz, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olas, Anna Zalewska, Marzena Dobosz
Rysownicy: Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa, Mirosław Owczarek
Okładka: Artur Szczepański/REPORTER, Fotolia; oprac. graf.: JAN/MIDAS

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG
Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: Michał M. Lisiecki
Zarząd Spółki Orle Pióro: Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:

Michał Staszewski (kierownik marketingu i sprzedaży) reklama@dorzeczy.pl;
tel.: +48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS:

Anna Pawłowska-Pojawa (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKUCJA: Adam Borzęcki (kolportaż);
Karolina Olchownik (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 109 tys. egzemplarzy

Druk: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detalicznej ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

PIWONIA **wyśniona**

Mój redakcyjny kolega Rafał A. Ziemkiewicz rzucił hasło „PIWONII” – czyli politycznego sojuszu Prawicy, Wolnościowców, Narodowców i Antysystemowców („Do Rzeczy” 20/2017).

Według Rafała na polskiej scenie politycznej jest miejsce dla trzeciej siły, niezbędnej wobec szkodliwego dla kraju konfliktu – Platformy z PiS. Obie partie – według mojego kolegi po piórze – zatraciły się w zaciekrzewieniu, więc elementem racjonalizmu i wymuszenia zakończenia wojny musi być „PIWONIA”. A jedyną postacią, wokół której ów blok może powstać, może być Paweł Kukiz. Gdy już nowa partia zaistnieje, będzie mogła zająć się racjonalną polityką skupioną nie na pytaniu: „Czyja Polska?”, ale „Jaka Polska?”. Jak przewiduje Rafał, przyszły parlament będzie się składać tylko z trzech partii, i to polityczna reprezentacja „PIWONII” będzie w nim rozdać karty.

regulacji, czy z powodu własnych tradycji, odległych od świata wyobrażeń Jarosława Kaczyńskiego, np. endeckiej czy korwinowskiej.

Z tych dwóch faktów nie musi jednak wynikać kilka dalszych założeń Rafała. Po pierwsze, nie jest tak, że większość obywateli zmęczona jest na tyle wojną polsko-polską, by uznawać „PO za mafię, a PiS za sektę”. I w związku z tym na gwałt szukać jako remedium „trzeciej siły”. W chwili wyborów wielu obywateli postawionych wobec pytania: „Czy chcesz zakończenia rządów PiS?” może uznać, że polityka dotychczasowej ekipy im się po prostu opłaca. Po drugie, spora część wyborców utożsamia się z celami politycznej walki PiS i uważa ją za zmienianie Polski. Tak samo jak wyborcy PO widzą w tej partii obronę demokracji i europejskości. Ci ludzie nie uznają historycznej roli „PIWONII” w wygaszaniu konfliktu ani nie przyznają takiej kukizowej nowej sile moralnego prawa do „racjonalizacji polityki”.

by wymusić zjednoczenie. Rafał wróży, że „PIWONIA” może zdobyć głosy Polaków – na zasadzie kontrastu – obietnicą polityki chłodnej i racjonalnej. Wierzy, że „trzecia siła” Kukiza wymusi na PO i PiS odłożenie na bok sporów o imponderabilia i skupienie się na sprawach praktycznych oraz codziennych. Problem w tym, że takie partie jak Wolność czy młoda generacja narodowców kojarzą mi się raczej ze skłonnością do ostentacji, przesady i wyrazistości, a nie z oszczędnym językiem w polityce. Rafał kpi z rozognionych emocji ludu PiS i PO. Ma prawo. Jednak czy narodowcy, czy wychowankowie Janusza Korwin-Mikkego są tych emocji wyzbyci?

I wreszcie ostatnie pytanie: Skąd przekonanie, że w kolejnym Sejmie będą tylko trzy siły? Dlaczego nie ma wejść do niego spora grupa lewicy: czy to jakiś blok Biedronia czy Barbary Jarugi-Nowackiej?

A jeśli Kukiz nie będzie „wielkim trzecim”, to cały pomysł się sypie. „PIWONIA” przestaje być już obrotowym rozgrywającym i idea nowej siły jako jęczyczka u wagi błędnie. Jednak wykonajmy gest wobec wizji Rafała – załóżmy, że „PIWONIA” zostaje „wielkim trzecim”. Do polityki o tak daleko posuniętych ambicjach trzeba niezwykle wytrawnych polityków, a ja takich mistrzów wokół Kukiza nie widzę. Były muzyk nie porywa od miesięcy nowymi pomysłami.

„PIWONIA” jako idea to piękny kwiat. Na razie jednak nie widzę odpowiedniej dlań gleby ani nie przeceniam doświadczenia ogrodnika Kukiza. A sam ten kwiatek, nawet przy najlepszych uzasadnieniach jego niezbędności, nie wyrośnie. ©

Według Rafała A. Ziemkiewicza na polskiej scenie politycznej jest miejsce dla trzeciej siły, niezbędnej wobec szkodliwego dla kraju konfliktu Platformy z PiS. Rzucił hasło „PIWONII” – czyli politycznego sojuszu Prawicy, Wolnościowców, Narodowców i Antysystemowców

Tak jak w przypadku każdego projektu politycznego warto poddać spokojnej ocenie szanse „PIWONII”. Zaczynajmy od tez, które mają pokrycie w twardych faktach. Istotnie, Kukiz’15 mimo półtora roku od wyborów do Sejmu wciąż uzyskuje w sondażach ok. 10 proc. Istnieje też część młodego – i nie tylko – elektoratu, odrzucająca PO, ale mająca do PiS spory dystans. Czy to z powodu pretensji o etatyzm i zapał do

Teraz kwestia druga – szansa na powstanie bloku. Czy politycy z partii Wolności, z różnych odłamów ruchu narodowego i inni, dość tajemniczo zdefiniowani przez Rafała antysystemowcy, mogą łatwo połączyć się w jeden blok? Na papierze jawi się to obiecująco, ale w praktyce się to dotąd nie udawało. Ambicje liderów były i są rozbieżne, a postać Kukiza nie jest aż tak charyzmatyczna,

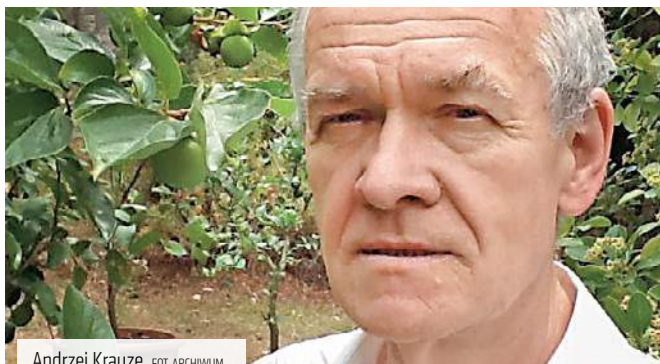
Andrzej Krauze, wybitny rysownik, współpracownik „Do Rzeczy”, i jego brat Antoni Krauze, reżyser m.in. „Czarnego czwartku”, zostali uhonorowani Nagrodą im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Uroczystość wręczenia nagrody to ważny punkt programu VII Kongresu „Polska Wielki Projekt”, który odbywa się w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie oraz w Teatrze Wielkim-Operze Narodowej. Kongres i związane z nim uroczystości zorganizowane zostały pod patronatem prezydenta Andrzeja Dudy.

Nagroda im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego wręczana jest polskim twórcom uważanym powszechnie za wybitnych, cieszących się szacunkiem i uznaniem nie tylko w Polsce, lecz także na świecie, których dzieła przyczyniają się do lepszego zrozumienia tradycji i historii Polski, stanowiąc zarazem inspirację na przyszłość. Wśród laureatów do tej pory byli m.in. Jarosław Marek Rymkiewicz, Zdzisław Krasnodębski oraz Andrzej Gwiazda i Lech Majewski.

W tym roku dołączyli do nich wybitni artyści, bracia Antoni i Andrzej Krauze. Pierwszy z nich Antoni należy

Nagrody dla braci Krauze



Andrzej Krauze FOT. ARCHIWUM



Antoni Krauze FOT. WOJCIECH STRÓŻYK /REPORTER

do grona najbardziej uznanych polskich reżyserów i scenarzystów. Jest autorem m.in. głośnego „Czarnego czwart-

ku”, „Ćwiczeń z niepamięci” oraz „Smoleńska” – opowiadającego o hipotezach i niewyjaśnionych zdarzeniach związa-

nych z katastrofą w kwietniu 2010 r. Zekranizował także głośną powieść Wiktora Suworowa „Akwarium”.

Z kolei Andrzej Krauze to jeden z najbardziej uznanych na świecie polskich grafików i rysowników. Od lat mieszka i tworzy w Wielkiej Brytanii, współpracując m.in. z tamtejszym „Guardianem”, „Timesem” i „Observerem”. Andrzej Krauze jest też współpracownikiem tygodnika „Do Rzeczy” – na naszych łamach regularnie zamieszcza swoje rysunkowe komentarze, celnie puentując rzeczywistość polityczną i społeczną. Współpracował też z dziennikiem „Rzeczpospolita”, ale z łamów tego dziennika został usunięty jesienią 2016 r.

– Z sygnałów, jakie do mnie docierały wcześniej, mogę sądzić, że po prostu zdecydowano się na cenzurę. I to chyba nawet nie chodzi o to, że moje rysunki były zbyt ostre. Po prostu ktoś tam uznał, że z powodów politycznych lepiej ich nie dawać – mówił wówczas Andrzej Krauze w wywiadzie udzielonym „Do Rzeczy”.

Wernisaż jego prac zatytułowany „Zemsta pana Skalpela” odbył się w sobotę 20 maja w galerii Kordegarda przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. ©© (ww)



FOT. AFP PHOTO/EAST NEWS

MACRON MARZY O REWOLUCJI W PAŁACU

Nowy prezydent Francji chciałby, aby jego 64-letnia małżonka Brigitte Macron mogła być tak aktywna jak np. żona prezydenta USA. – To niezbędne, aby osoba, z którą się mieszka, pełniła jakąś funkcję – oznajmił 39-letni Emmanuel Macron i zapowiedział, że ma nadzieję, iż rola pierwszej damy Francji zostanie oficjalnie zdefiniowana. Chodzi o to, by małżonka prezydenta mogła liczyć na swoje biuro, własny budżet i pracowników. Obecnie jej rola nie jest prawnie określona. (jap) ©©

WIĘCEJ O FRANCJI, s. 72

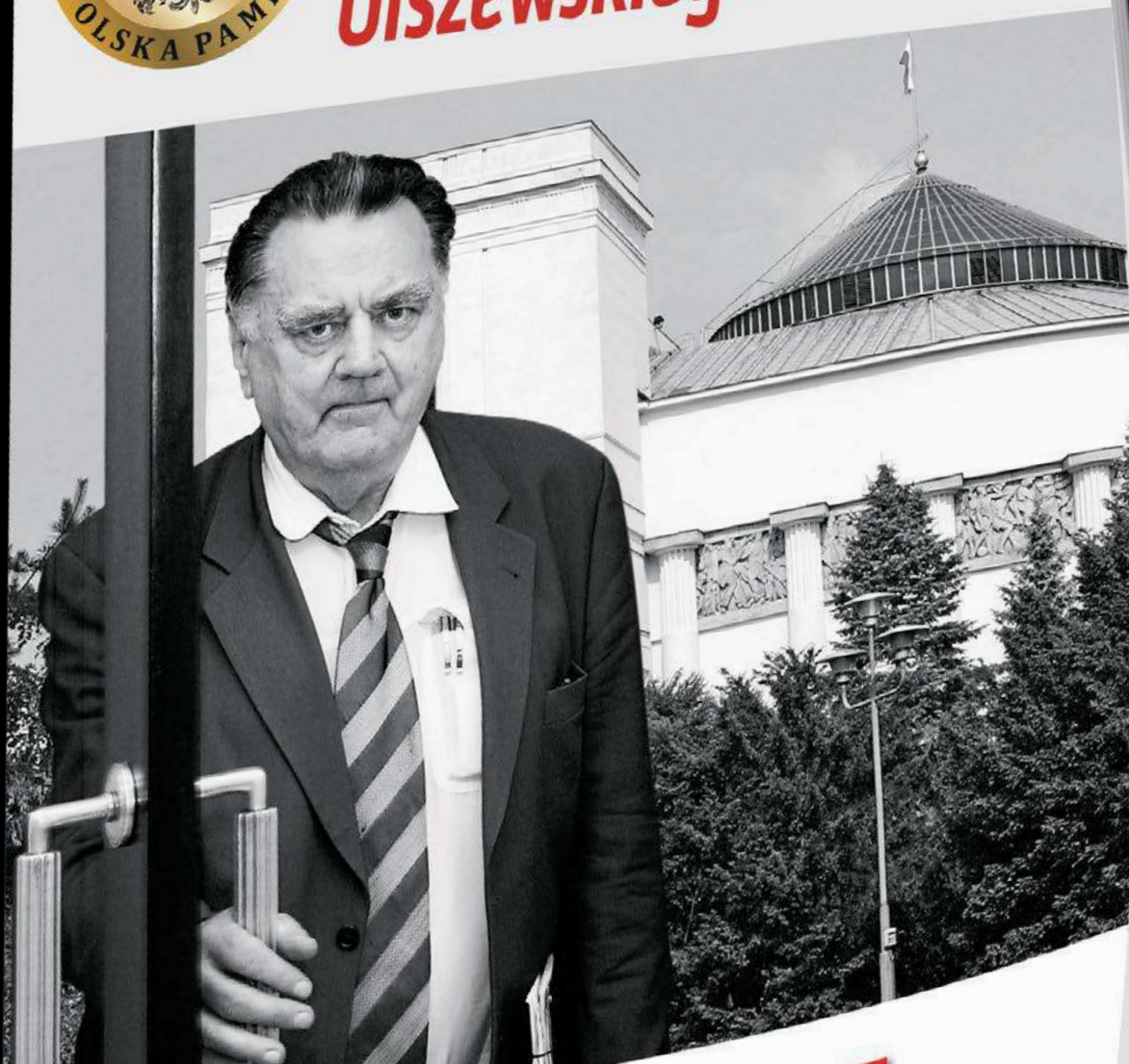
Już 29 maja w **DO RZECZY** dodatek



DODATEK SPECJALNY

Obalenie rządu Olszewskiego

- Kulisy rozgrywki
- Tajne dokumenty
- Rozmowa z byłym premierem





PWPW

POLSKA WYTWÓRNA
PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

www.pwpw.pl

NASZ NARODOWY WYTWÓRCA



Przykładowe zabezpieczenia banknotu 500 zł



filigran
jednotonowy znak wodny



SPARKLIVE®
farba optycznie zmienna



wielotonowy
znak wodny
eprasa.pl 6c26d81afd

NAJWYŻSZY NOMINAŁ
NAJNOWSZY BANKNOT
NAJLEPSZE ZABEZPIECZENIA



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Białe pendolino odjeżdża

Kiedy „opozycja totalna” upajała się zorganizowanym przez siebie powitaniem na warszawskim dworcu Donalda Tuska, udającego się na męczeńskie przesłuchanie w prokuraturze, pozdrawianiem przez męczennika z prokurator-skiego okna i wreszcie sondażem, wedle którego w hipotetycznej drugiej turze wyborów Tusk pokonałby w granicach błędu statystycznego Andrzeja Dudę, pisałem, że czeka ją straszne rozczarowanie. Tusk tylko stara się postraszyć PiS, że może przyjechać i korzystając z nimbu „prezydenta Europy”, odebrać mu władzę, by PiS dał mu spokój oraz zaniechał rozliczania go – i jedynie dlatego wziął udział w cyрку urządzanym dla niego przez PO i KOD. Jednak wracać naprawdę, porzucać bogate, beztroskie życie eurokraty na rzecz niepewnego

i chybliwego żyrandola w kraju, którym notabene raz już przecież wzgardził tylko po to, by ratować tyłki swoim zagrożonym rozliczeniami dawnym stronnikom, wobec których już okazywał, że nie poczuwa się do wdzięczności? Na pewno nie.

Wtedy opierałem to przekonanie na swej znajomości Tuska płynącej z wieloletniej obserwacji jego kariery. Od chwili, gdy Tusk postanowił zostać w Polsce twarzą pogroźek Komisji Europejskiej i antypolskich sankcji, wiemy to już na pewno. Tusk nie musiał straszyć nas osobiście, do polskiej kamery, że mamy brać relokowanych do końca czerwca albo zapłacimy. To w ogóle nie jego robota, tylko Junkera albo Timmermansa. Po przednio zapalił zielone światło dla antypolskiej akcji cichutko, niepostrzeżenie. Dlaczego teraz

zrobił to demonstracyjnie, zamykając sobie drogę powrotu?

Widocznie eurokraci jego niedawne krajowe gesty poczytali za gotowość zdrady i musiał zademonstrować im lojalność. Chłopaki, spoko, jestem z wami na dobre i jeszcze lepsze, nie będę brał strony Polski, po zakończeniu przewodniczenia RE nadal uważajcie mnie za swego i uwzględniajcie w zasobie kadrowym.

Z jakiego konkretnie powodu dalsze puszczenie oka do Polaków, sugerowanie: „Mogę wrócić” uznał za niewskazane, nie wiemy, ale wiemy jedno – ci, dla których był ostatnią nadzieją, że „znowu będzie, jak było”, mogą zacząć płakać. Nie przybędzie na białym pendolino, nie wyciągnie ludzi minionego systemu z tarapatów. Muszą dalej robić to, co im zupełnie nie wychodzi: radzić sobie bez niego. ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O żandarmach postępu

Umnie w Italii panoszą się wszędzie. Ścigają i donoszą z pryncypialną gorliwością Pawki Morozowa. I tak jak dzielny Pawka nie oszczędzają nawet własnej rodziny, choć pojętej szerzej – ideowo i politycznie.

Debora Serracchiani, lewicowa gubernator regionu Friuli-Wenecji Julijskiej, skomentowała brutalną próbę gwałtu w Trieście na nieletniej Włoszce: „Trudniej społecznie i moralnie pogodzić się z przemocą seksualną, gdy dokonuje jej ktoś proszący o gościnę w naszym kraju”. Zgwałcić 15-latkę usiłował bowiem starający się o azyl Irakijczyk.

Ruszyła nagonka. Na czele stanął pisarz Roberto Saviano („Gomorra”), as intelektu i autorytet moralny lewicy. Zawyrokował, że pani gubernator nie jest godna piastować swojej funkcji, i zachęcał, by usunięto ją z szeregów Partii Demokratycznej. Deputowany zaś Roberto Fico wypalił, że Serracchiani jest rasistką, która zhańbiła swoją partię i całą Italię.

Dostało się też Salvatore Aranzulli, udzielającemu informatycznych porad na FB, z których korzysta pół miliona Włochów. Niedawno zirytowany poinformował, że w tramwaju nr 9 w Mediolanie w biały dzień bez żadnego powodu zaatakował go pijany Murzyn. Zideologizowani

pałkarze bezprzykładnie zelżyli go w Internecie i obsobaczyli w postępowej prasie: rasista!

W obronie obojga stanął Mattia Abdu, syn imigranta z Egiptu, lewicowy radny w Neapolu. Żandarmeria postępu okrzyknęła go rasistą, wyzywając w Internecie od głupich Arabów.

Co porażające, ale i komiczne, zacierzawieni postępowcy z Saviano na czele zupełnie jak pan Jourdain nie zdają sobie sprawy, że mówią prozą. Bolszewicko-faszystowską. A sprawy zaszły tak daleko, że pomoc może już chyba tylko modlitwa do św. Judy Tadeusza, patrona spraw beznadziejnych. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia



NOTATNIK MALKONTENTA

Kasty dobre, kasty złe

PiS deklarował się od zawsze jako ugrupowanie zaciekle walczące z kastami. Uprzywilejowane kasty były dla polityków PiS jedną z przyczyn złego stanu państwa i w zdecydowanej większości była to diagnoza słuszna. Kastowe przywileje zawsze rodziły sprzeciw także w elektoracie partii rządzącej.

Okazuje się jednak, że z punktu widzenia PiS są kasty złe, ale są i dobre, a niektóre warto nawet stworzyć i dać im nadzwyczajne przywileje. Złe są oczywiście i przede wszystkim kasty prawnicze – sędziowska czy komornicza. Z nimi Prawo i Sprawiedliwość twardo wojuje. Jednak nie jest już zła choćby kasta górników. Tak, kasta – bo wzięwszy pod uwagę upór we wspieraniu nierentownych zakładów przemysłu górniczego, specjalne uprawnienia emerytalne i płacowe w państwowych koncernach górniczych, mamy ewidentnie do czynienia z nadzwyczajną kastą pracowników.

Jakby jednak tego było mało, PiS powołał właśnie kolejną kastę – farmaceutów. Ustawa „apteka dla aptekarza”, forсована przez najgorszego ministra w rządzie Beaty Szydło – Konstantego Radziwiłła – oprotestowana przez Mateusza Morawieckiego i Jarosława Gowina, została podpisana przez prezydenta Andrzeja Dudę i w ten oto sposób kasta farmaceutów otrzymała

uprzywilejowaną pozycję wobec przedsiębiorców będących właścicielami aptek oraz wobec techników farmaceutycznych. Jest tylko kwestią czasu, gdy polscy przedsiębiorcy, którzy na swoje apteczne firmy – w ogromnej części lokalne, niewielkie sieci – pracowali mozolnie latami, zaczną je tracić z różnych powodów, a nowych założyć już nie będą mogli. Wśród nich PiS nie ma już co szukać poparcia. Tę grupę właśnie stracił bezpowrotnie.

Przez ponad półtora roku rządów PiS zdążył już sprzeniewierzyć się różnym swoim wybor-

Ustawa „apteka dla aptekarza” została podpisana przez prezydenta Andrzeja Dudę

czym obietnicom, jednak ten przypadek – którego negatywne konsekwencje klienci aptek odczują niechybnie w ciągu kilkunastu miesięcy – jest szczególnie drastyczny. Partia, która na sztandarze miała wypisaną walkę z przywilejami, dała właśnie gigantyczny przywilej niewielkiej grupie obywateli kosztem innej grupy – przedsiębiorców, którym obiecywała w kampanii przychylić nieba. Rezultaty tej decyzji najślimiej zaś odczują we własnych portfelach właśnie wyborcy PiS. ©©



Ziobro chce dymisji prezesa sądu

Szef resortu sprawiedliwości wystąpił do Krajowej Rady Sądownictwa z wnioskiem o odwołanie sędziego Piotra Raczkowskiego – obecnego wiceprezesa KRS – z funkcji prezesa Wojskowego Sądu Garnizonowego w Warszawie. Raczkowski stracił już delegację do sądu okręgowego. Bulwersujące fakty z przeszłości obecnego wiceprezesa KRS ujawnił tygodnik „Do Rzeczy”.

– Minister sprawiedliwości wystąpił do Krajowej Rady Sądownictwa z zamiarem odwołania sędziego płk. Piotra Raczkowskiego z funkcji prezesa Wojsko-

wego Sądu Garnizonowego w Warszawie i poprosił KRS o wyrażenie opinii w tej sprawie – potwierdza nasze informacje Sebastian Kaleta, rzecznik ministra Zbigniewa Ziobry.

O przeszłości sędziego Raczkowskiego pisaliśmy pod koniec kwietnia. Ujawniliśmy m.in., że w 2008 r. Wojskowa Prokuratura Okręgowa chciała postawienia Raczkowskiego w stan oskarżenia, zarzucając mu, że wykorzystywał służbowe samochody do prywatnych celów, a swoimi działaniami doprowadził podległy mu sąd do straty ok. 50 tys. zł. (ww) ©©

ROSĄ NOTOWANIA RZĄDU

Ponad połowa Polaków dobrze ocenia pracę rządu – wynika z majowego badania CBOS, które opublikowała Informacyjna Agencja Radiowa. Pracę gabinetu Beaty Szydło pozytywnie oceniło 51 proc. badanych (to o 3 punkty procentowe więcej niż w kwietniu). Negatywną opinię wyraziło 38 proc. Wzrosło również zadowolenie z pracy samej premier Szydło. Jak podaje Centrum Badania Opinii Społecznej, pozytywnie pracę szefowej rządu ocenia aktualnie

47 proc. ankietyowanych (wzrost o 2 punkty procentowe w porównaniu z poprzednim miesiącem). Kto pozytywnie ocenia rząd? Przede wszystkim popiera go elektorat Prawa i Sprawiedliwości – wśród tych badanych dobrze o pracach rządu wypowiada się 95 proc. Spośród osób identyfikujących się z prawicą dobre noty wystawia 80 proc. Pozytywnie pracę rządu ocenia też większość wyborców ruchu Kukiz'15 – takie zdanie ma 52 proc. z nich. (luz) ©©

Zamek, w którym mieści się wiele instytucji, w tym Opera i Operetka, galerie, kino i restauracje, został zamknięty. Od razu pojawiły się opinie, że jest to jedna z największych katastrof w regionie, nie tylko zresztą budowlanych, lecz także politycznych. Opozycja skwitowała to dosadnie: „Przez 800 lat historii zamku nie został on tak zniszczony jak przez lata koalicji PO i PSL”. Są jednak i tacy, którzy w katastrofie upatrują symbol rządów ostatnich lat, kiedy to dominowała filozofia „bezrefleksyjnego inwestycyjnego entuzjazmu i kolesiostwa”.

Katastrofę od razu skojarzono z remontem północnego skrzydła zamku, który tak bardzo doceniła rok wcześniej kapituła konkursu „Szczecińska Roku”, że przyznała ten tytuł dyrektor Zamu – Barbare Igielskiej. Remont polegał m.in. na wprowadzaniu innowacji w zabytkowej budowlę. Wiązał się też z budową przeszklonej platformy widokowej na dachu, na poziomie renesansowej attyki, i montażem nowoczesnej windy obok XVI-wiecznych schodów.

Sprawą zajęła się prokuratura. Postępowanie prowadzone jest w kierunku przestępstwa z art. 163 par. 1 pkt 2 Kodeksu karnego, czyli spowodowania zagrożenia dla życia osób albo dla mienia w dużych rozmiarach.

POMIESZANIE DZIEJÓW

Gospodarzem zamku odbudowanego ze zniszczeń wojennych w latach 50. XX w. są władze województwa. Okres „modernizacji zamku” to był czas – jak twierdzą krytycy obecnej władzy w regionie – bezrefleksyjnego inwestowania. Ich zdaniem urzędnicy decydujący o sposobie wydatkowania pieniędzy budżetowych, w tym funduszy unijnych, mieli upodobanie do gadże-

Zamkowa katastrofa

Niespełna dwa lata po remoncie, który pochłonął 23 mln zł, w Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie zawaliły się trzy kondygnacje



FOT. BARTEK WĄDŁOWSKI

tów i wszelkiego rodzaju „innowacji”. Nie zważając na ograniczenia, tworzyli też koncepcje zamku jako elementu współczesnej przestrzeni publicznej. Postanowiono więc zrobić z Zamku Książąt Pomorskich, którego najstarsza część pochodzi z XIV w., w pełni funkcjonalny, nowoczesny budynek, dostępny dla mieszkańców i turystów, który będzie spełniał standardy XXI w. Pomysł od samego początku

budził duże wątpliwości, ale koncepcja przebudowy uzyskała akceptację zarządu województwa. Tak więc powstać miały taras widokowy na dachu i winda. Atrybuty nowoczesności: szkło, nikiel, aluminium i oczywiście tony betonu. Z jakichś powodów zdecydowano nawet o wymianie oryginalnych marmurowych stopni schodów w głównej klatce schodowej w skrzydle północnym na stopnie z piaskowca, który

ponoć bardziej odpowiadał estetyce renesansu. Koszty nie grały roli.

JAK TO SIĘ STAŁO?

Okazuje się, że zlekceważono nie tylko możliwy konflikt estetyczny i funkcjonalny, lecz także zasady fizyki, by nie powiedzieć wprost – konstrukcji. Tak przynajmniej uważają niektórzy krytycy „unowocześniania” zamku, w tym niezależny szczeciński radny i społecznik Andrzej Grodecki. Były radny sejmiku zachodniopomorskiego, a obecnie poseł Michał Jach (PiS) mówi wprost: „To nie jest przecież »wiedza tajemna«; parametry można było wyliczyć. Nawet w tak starym budynku jak zamek”. Jak to się stało, że tego nie zrobiono albo zrobiono to źle? Na te pytania marszałek Olgierd Geblewicz nie odpowiada. Zarząd województwa też nie.

Andrzej Grodecki, którego w ubiegłym roku wykluczono z konkursu na dyrektora zamku „z przyczyn formalnych”, wytyka, że do katastrofy doprowadziły: niekompetencja, nepotyzm i infantylizm władzy w regionie. Jego zdaniem wojewoda winny jest mianowania dyrektorem zamku Igielskiej, ona sama winna jest zaś braku nadzoru nad inwestycją. – Osobny temat to „nadzór konserwatorski”. Dopuszczono do tego, że na zamku doszło do dewastacji historycznego budynku za 20 mln zł – mówi Grodecki. I dodaje: – Pani konserwator powinna jako pierwsza podać się do dymisji.

Krytycy „beztroskich inwestycji” obecnego zarządu województwa ostrzegają, że niebawem możemy być świadkami kolejnej katastrofy inwestycyjnej. Już na etapie projektowania modernizacji Teatru Polskiego w Szczecinie pojawiły się wątpliwości, czy wytrzyma to skarpa. Inwestycja jeszcze się nie rozpoczęła, choć pozwolenie na budowę już jest. ©© **Roman Ciepliński**



Mobilność

Tylko Orange znosi roaming

Tylko w Orange od 15 czerwca
Twoje nielimitowane rozmowy,
SMS-y i pakiety internetu
bez dodatkowych opłat
we wszystkich krajach
Unii Europejskiej

**Unia Europejska
bez limitów,
jak w Polsce**

Konsumenci mają w strefie 1 warunki jak w kraju. Rozmowy, SMS-y, MMS-y z uwzględnieniem promocji i pakietów dostępnych w Polsce. Internet jak w kraju z uwzględnieniem limitów GB w niektórych planach taryfowych. Nielimitowane połączenia, SMS-y i MMS-y dostępne w kraju będą również dostępne w Unii. Obniżka cen obowiązuje od 15.06.2017 r. Więcej w cenniku usług w roamingu na orange.pl.

**sieć
#1**

orange™

BIZNES ŻYCIA

Dominika Zasiewska, która dawno temu była celebrytką, bo w skąpych strojach podawała wodę w programie Kuby Wojewódzkiego bardzo tęskni za show-biznesem. Z programu musiała odejść, gdy zaszła w ciążę. Skarżyła się zresztą, jak źle została wtedy potraktowana. Dominika nie bardzo ma pomysł na siebie, choć ciągle próbuje zaistnieć. Widać, że się u niej nie przelewa i mocno kombinuje, na czym tu zrobić interes. Aż wykombinowała. Na Facebooku zamieściła ofertę sprzedaży pudełek po butach luksusowych marek. Naprawdę! „Dziewczyny, która potrzebuje trochę lansu w garderobie i chce kupić pudełka po butach/torebkach/szalikach i torby zakupowe LV [Louis Vitton – przyp. red.]? Wysyłka 24h. Mam do sprzedania jeszcze opakowania i torby Gucci i D&G jakby co” – napisała, zamieszczając fotki kartonowych pudełek z logotypami marek. Zdziwiona ofertą była Paulina Młynarska. „To się odsprzedaje? W życiu by mi do głowy nie przyszło” – napisała do Zasiewskiej. „No jasne kochana!!! I to za całkiem niezłą kaszkę, odkryłam to na francuskim E-bay, szukając używanej torebki od LV. Też na początku nie dowierzałam, ale jak zobaczyłam cenę, to od razu postanowiłam odsprzedać swoje” – odpowiedziała Zasiewska, dodając, że w swojej garderobie nie ma miejsca na tyle pudełek. Portal Pudełek sprawdził, że za takie pudełko można dostać nawet do 500 zł! Nie chce nam się wierzyć, że są ludzie gotowi kupować kartony po butach. Jednak jeśli są... Wychodzi na to, że trzeba eks-Wodziance pogratulować. Złoty laur przedsiębiorczości się jej należy!

ZAZDROSNY JAK MISTER

Rafał Maślak, były mister Polski, który nie może wytrzymać dnia, by nie wrzucić do Internetu jakiegoś swojego najlepiej półnagiego zdjęcia, wypowiedział się na temat popularności Lewandowskich. Kto jak kto, ale on się akurat na popularności zna. To znaczy ciągle o nią rozpaczliwie zabiega z takim sobie skutkiem. Ostatnio postanowił wypowiedzieć się w kwestii popularności Lewandowskich, którzy publikują w sieci zdjęcia swoje i swojego nowo narodzonego dziecka. – To są najgorętsze nazwiska w show-biznesie – przyznał Maślak, nie bez żalu. – Oni nie tylko są popularni w Polsce, ale też na świecie. Nie wiem, czy im zazdrościć czy współczuć. Podobają się im to, że ich obserwują. Dużo zdjęć wrzucają ze swoim dzieckiem w Internecie – dodaje. Naczelny



FOT. PAMEŁ GORDON

Narcyz show-biznesu zarzucający innym, że lubią rozgłos! Czy może być jeszcze śmieszniej?

NOS BLOGERKI

Maffashion, czyli jedna z czołowych blogerek modowych, zwanych też szafiarkami, raczy nas ostatnimi czasy wynurzeniami na temat szczegółów swojego życia codziennego, także tych, o których niekoniecznie chcemy wiedzieć. Ona – widać – ma inne zdanie. Relacjonowała już w Internecie wizytę u lekarza, opowiadała o depresji, o powiększeniu ust, które sobie zafundowała, a ostatnio poinformowała świat, że zamierza zoperować sobie przegrodę nosową. Co więcej, jest na to „w 100 proc. zdecydowana!”. – Sami możecie teraz zauważyć, że tutaj widać mi mam płatki w nosie, a tutaj nie, ponadto mam mega popękane naczynka, tu mam popękane i tu też mam popękane – opowiadała w relacji na żywo. – I tak jest dobrze, bo nie mam krwotoków z nosa, bo jako nastolatka miałam je praktycznie codziennie, budziłam się w nocy i albo właśnie ta krew mi leciała i napływała do ust, masakra, albo już byłam gdzieś oblana tą krwią i ona już była zaschnięta, fatalnie – kontynuowała opowieść. Opowiedziała też o tym, jak jej zdaniem będzie wyglądała operacja. – Nie wiem, ile będę do siebie dochodzić po tym, to się chyba wbija młotek i tam dłużej tak, czy łamie i skrzywia, w sensie nastawia. Dobra, wolę się nie zastanawiać. Operacja będzie na pewno nieprzyjemna, ale finał będzie pozytywny – zakończyła. Maffashion narzeka też na media plotkarskie, które źle o niej piszą i przysparzają jej hejterów. Sprawdziliśmy więc natychmiast, co takiego piszą. Otóż, najczęściej ją po prostu obficie cytują. Okrutnicy!

GWIAZDĄ BYĆ

Projektantka Joanna Przetakiewicz bierze udział w drugiej edycji programu „Azja Express”, w którym celebryci bawią się w biednych, którzy nie mają gdzie spać i muszą przeżyć za jednego dolara dziennie. – Kocham ryzykować. Ja nigdy nie byłam pod namiotem, nienawidziłam tego. Raz byłam pod namiotem kilka godzin z chłopakiem i uciekłam.



FOT. RADOSŁAW NAWROCKI/FBIRUM

Azja Express to największa przygoda mojego życia. Uwielbiam chodzić po ostrej krawędzi. Zastanawiałam się, co wygra, czy moje zamiłowanie do czystości, luksusu, komfortu, czy moja waleczność i ambicja – stwierdziła. My wiemy, co wygrało. Zamiłowanie do show-biznesu. Kiedyś zwane potocznie parciem na szkło. ©©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, pisowska opresja zdaje się nie mieć końca. Po rozmontowaniu Trybunału, podeptaniu konstytucji, zakazie wolności zgromadzeń, delegalizacji opozycji i ustanowieniu państwa wyznaniowego rząd zajmie się najmłodszymi, niewinnymi i bezbronnymi osobocznymi.

Otóż, jak alarmuje zaniepokojona nasza ulubiona gazeta, po reformie edukacji uczniowie będą musieli czytać rocznie aż sześć-siedem całych książek, a do tego dużo poezji i fragmenty obszernych tekstów. Jest to okrutne pogwałcenie zgody, jaką społeczeństwo wypracowało na przestrzeni ostatnich lat: iż książki są t!dr; poezji nie czytają nawet rodziny twórców, a jako fragmenty obszernych tekstów mogą służyć jakieś cytaty z generatora.

Ciekawe, co będzie kolejnym krokiem w deprawowaniu młodzieży i rozmontowywaniu nowoczesnego, świeckiego państwa? Zakaz snapowania? Obowiązkowe pisanie wypracowań dłuższych niż 160 znaków? Powtórkowe

efekt złośliwej pisowskiej propagandy?

Tak między nami mówiąc: mogliby się wreszcie na coś zdecydować, iż od ciągłego zmieniania myślenia na ten temat zaczyna nam się kręcić w głowie :/

Czy zdajecie sobie sprawę, iż sześć książek po 100 stron rocznie to jakieś dwie strony do przeczytania dziennie?

I kiedy niby osoboczeń ma na to znaleźć czas?

A zrozumieć? Bo of kors nie ma tak „dobrze”, że przeczytasz i już, jako iż wymagane jest czytanie ze zrozumieniem

lekcje z używania znaków diakrytycznych? Aż się boimy pomyśleć (i trochę nam się nie chce), jak daleko jeszcze przesuniemy granice swobód i praw obywatelskich.

Niektórzy z tego tematu śmieszczą, ale czy zdajecie sobie sprawę, iż sześć książek po 100 stron rocznie to jakieś dwie strony do przeczytania dziennie?

I kiedy niby osoboczeń ma na to znaleźć czas? A zrozumieć? Bo of kors nie ma tak „dobrze”, że przeczytasz i już, jako iż wymagane jest czytanie ze zrozumieniem. A co jeśli ktoś nie rozumie albo nie ma czasu rozumieć, albo rozumie co innego? Oczywiście niska ocena, wykluczenie i terror. Tu naprawdę nie ma się z czego śmiać.

Grzegorz Schetyna ogłosił właśnie, iż w sprawie uchodźców jest za realizacją zobowiązań i umów podjętych przez poprzedni rząd.

Czy dobrze myślimy, iż to oznacza, że tak naprawdę Platforma zawsze była za przyjmowaniem uchodźców, a ostatnie słowa Scheta to były żarty i wygłupy czy raczej

Czytaliśmy, iż koncern Orlen z sukcesami funkcjonuje w Czechach i Niemczech, gdzie otwiera i przejmuję coraz więcej stacji benzynowych. Of kors gospodarczy nacjonaliści się z tego cieszą, a nas martwi pewna rzecz.

Otóż jesteśmy bardzo ciekawi, czy Orlen uczciwie płaci w Niemczech, Czechach i w innych krajach podatki, które się tamtym państwom należą w zamian za to, iż Orlen u nich działa i zarabia?

Of kors pojawiają się zaraz fałszywe analogie dotyczące zachodnich korporacji i koncernów oraz tego, czy płacą one podatki w tym kraju.

Kochani, jest tu zasadnicza różnica: to my powinniśmy im dopłacać w podziękowaniu za przynoszenie do tego kraju europejskich standardów. A tenkrajowe firmy działające za granicą powinny dziękować i dopłacać, że mogą za tą granicą prowadzić interesy. I to jest właśnie ta zasada gospodarczej równości i współpracy w praktyce xD ☺☺

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO



Uwaga, na prawicy włączył się gen samozagłady! To powszechna radość z powodu spadku na pysk notowań partii Ryśka Petru-Swetru. Głupie pytanie nas więc naszło: Czy wolicie, żeby w nowym Sejmie było 20 proc. pełowców i 10 proc. ryśkowców, czy żeby obyło się bez tych ostatnich, za to Grześ Schetyna miał 30 albo 35 proc.? Tak tylko jątrzymy.

W ramach akcji „Ratujmy Ryśka” Rysiek Petru-Swetru oświadczył, że IPN i CBA to ważne oraz potrzebne instytucje, PO jest do kitu, a na 13. emeryturę nas nie stać. Kaczafi lepiej by tego nie ujął. To już jawny sojusz?

dwaj panowie **g**

Tymczasem w terenie. Drzwi się nie zamykają, a najbardziej namolni wąża oknem. Tak wygląda transfer partyjnych dołów z Nowoczesnej Kropki do PeŁo. Partyjna góra opowiada zaś, że z powodu nadmiaru chętnych musiała nawet wydać nakaz nieco wolniejszego przyjmowania. Z tego, co wiemy, bilety na „Titanica” też się świetnie sprzedawały.

Podobny kłopot mają kukiści. Tyle że do nich wąża tłumy chętnych z partii Wolność, dawniej KORWiN, dawniej kawałek kongresu Nowej Prawicy itp. Po odejściu z polityki Przemek Wiplera bardziej kumaci działacze doszli do wniosku, że czas dołączyć do takich wolnościowców, którzy są w Sejmie i mają szansę wejść do niego ponownie. Złośliwi opisują rzecz inaczej. Przemek Korwin-Wipler miał swoje ambicje, więc rozmowy o współpracy były trudne. A teraz są łatwe.

Kukiści mają jednak chytry plan. Nie chcą wolnościowców przyjmować tak ot, po prostu. Chcą ich najpierw przefiltrować przez stowarzyszenie Endecja. Tam się okaże, kto kosmopolita, a kto porządny wolnościowiec-narodowiec.

Właściwie rozumiemy działaczy partii Wolność. Po odejściu Korwin-Wiplera ostał im się jeno oryginalny Korwin-Mikke. A ten podczas najbliższych wyborów do polskiego Sejmu będzie już o rok starszy niż Leonid Breżniew w chwili, gdy żegnał się na dobre z ziemską egzekutywą.

Wracając do Nowoczesnej Kropki. Ledwie do Legnicy przyjechała na spotkanie jej gwiazda, wicemarszałek Barbara Dolniak, a już jedenaścioro działaczy opuściło ugrupowanie. Nie wiemy, jak się to skończy, bo czołówka Nowoczesnej chce przed konwencją programową odwiedzić jeszcze wiele miast.

Swoją drogą nie bardzo rozumiemy, po co Nowoczesnej Kropce konwencja programowa i nowy program. Przecież jeden już mają. W dobrym stanie, nieużywany.

Maleją szanse SLD na wejście do Sejmu. W sprawie naszych czerwonych braci od dawna byliśmy sceptykami, teraz zyskaliśmy pewność. Okazało się bowiem, że Włodek Czarzasty od półtora roku nie pije. No i jak tu integrować partyjne doły? Jak prowadzić pracę u podstaw i podstawek? Nie bez powodu lewicy najlepiej szło za czasów Olka Kwaśniewskiego i Józka Oleksego. Oni rozumieli potrzeby. Ludu oraz własne.

SLD próbuje za to nawiązać do innej tradycji. Rewolucyjnej. W czasach Związku Sowieckiego ludzie na przykład nie mieli imion, tylko pierwsze literki. Lektor czytający ścieżkę dźwiękową produkcji z CCCP informował więc: „Scenariusz – A. Nikiforow, zdjęcia – B. Aleksiejew, reżyseria – W. Niczyporuk”. W SMS-ach ze sztabu prasowego SLD jest podobnie: „Konf.pres.g.14, stolik prasowy, goście: K. Gawkowski, J. Zemke, A. Rozenek” i tak dalej. Apelujemy do czerwonych braci – nie dajcie się skrać. W końcu lewica niejedno ma imię.

Rosną szeregi artystów, których nikt nie zaprosił na festiwal w Opolu, więc w ramach protestu na nim nie wystąpią. Potwierdzamy: nas też nie zaproszono i też nie wystąpimy.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI



A szkoda. Opowiedzielibyśmy dowcip o Gąsce Balbince. Albo o Kurze.

Rosną szeregi głodujących. I maleją. Mecenas Hamburga zakończył bowiem głodówkę w obronie prześladowanych w Niemczech Polaków. Trwała dwa dni. Jednak hamletyzowania przy tym było tyle, że można obdzielić pięć dramatów Szekspira. Najpierw Hamburga głodówkę ogłosił, potem ci, w których obronie głodował, czyli Związek Polaków w Niemczech, poprosili, by ją zakończył. Mecenas rzekł wtedy, że będzie głodował do skutku. Skutek musiał przyjść już następnego dnia.

Jeszcze o hamletyzowaniu. Doigralście się! Jacek Sasin ma dość! Po przygodach z ustawą o warszawskiej metropolii doszedł do wniosku, że chyba już nie chce być prezydentem Warszawy. Dołączył tym samym do innych, którzy tego nie chcą. Czyli do wszystkich.

Żli ludzie z PiS opowiadają, że Gośka Sadurska, szefowa Kancelarii Prezydenta Andrzeja Sebastiana, pielgrzymuje ostatnio na Nowogrodzką. Ma bowiem marzenie – chciałyby trafić do europarlamentu. Wybory już w 2019 r. Rok przed wyborami prezydenckimi w Polsce. Czyżby Gośka nie wierzyła w reelekcję Andrzeja Sebastiana?

Inni chcieliby pielgrzymować ku Nowogrodzkiej, bo po prostu marzą o wejściu do PiS. Kilku parlamentarzystów-kaczystów opowiadało nam, że na potęgę klei się do nich trochę platfusów. Jeszcze nie tak dawno za nosiciela nadziei uważali oni Nowoczesnego Ryśka, ale wraz ze słupkami sondaży ta miłość osłabła. Jeden z chętnych do transferu chłopaków z Peło obiecuje nawet, że jako wkupne może przynieść na srebrnej tacy głowę Grzeška Schetyny. Bo ma trochę ciekawych informacji. Nie wierzymy. Nic, co dotyczy Grzeška, nie może być ciekawe.

Apropos Grzeška. Niegdyś miał on ksywę Zniszczę Cię. Od kiedy jednak zafundował sobie nową

szufladkę, znaczy użębienie, mówią na niego w Peło inaczej. Grzegorz Szablony.

Nie widać końca krzywd ludu ukraińskiego. Po Krymie, Donbasie, Nowaku i Balcerowiczu teraz na Ukrainę spadło nieszczęście w postaci Bartłomieja Sienkiewicza. W tej tragedii są jednak elementy komiczne. Pierwszy – Bartek podobno jest tam wolontariuszem. Drugi – doradza rządowi Ukrainy, jak dbać o dobry wizerunek. Chyba wiemy, jak brzmi porada numer jeden: nie chodzić do żadnych restauracji.

Pewnego rodzaju sensację wzbudziła notatka jednego z Panów G. na Twitterze, że czas już najwyższy, aby CBA zaczęło wsadzać także PiS-owców. Autor notatki na privie został zasypany przez PiS-owców, którzy sugerowali, kogo z kolegów powinno się zamknąć, bo złodziej i łapówkarz. I wiecie co? O połowie nie wiedzieliśmy! Tym naszym korespondentom podesłaliśmy więc numer telefonu zaufania pod tzw. dziewiątki, jak swoją centralę nazywają agenci CBA.



Na koniec kultura i sztuka. Impreza firmowa Poczty Polskiej. Gościem wieczoru jest Natalia Kukulska. Kolejne numery przechodzą bez większego aplauzu. Frenetyczne okłaski zrywają się dopiero przy numerze „Lepiej późno niż wcale”. Jak dla nas mógłby to być nawet hymn polskich pocztowców. Choć przyznacie, na imprezę firmową CBA też by pasowało.

Nie podzielamy hejtu na „Wyborczą”, która rozpacza, że uczniowie będą musieli czytać rocznie siedem, a może nawet osiem książek. Rozumiemy ten szloch, bo doczytaliśmy tekst do końca i wiemy, że niektóre tytuły to będą książki Olgi Tokarczuk. ©

Jesteśmy za przyjmowaniem przez Polskę uchodźców, nie chcemy i nigdy nie chcieliśmy w Polsce uchodźców, to nasz rząd obronił Polskę przed uchodźcami, zdecydowanie potępiamy wyłamywanie się przez Polskę z europejskiej solidarności w sprawie uchodźców, to hańba, żeby katolicki kraj nie przyjmował uchodźców, ignorując samego papieża, nie mówmy, że 40-milionowego państwa nie stać na przyjęcie kilku tysięcy uchodźców, nigdy nie byliśmy za relokacją uchodźców, broniliśmy się przed nią i obroniliśmy, za niewywiązywanie się ze zobowiązania przyjęcia uchodźców złożonego przez nasz obecny rząd powinien zostać przez UE ukarany nałożeniem na Polskę sankcji, powtarzam jeszcze raz – Platforma zawsze broniła Polski przed napływem imigrantów. Trochę to skomplikowane, ale oddać wiernie linii PO w tej sprawie nie da się krócej.

Politycy PO i całego w ogóle obozu III RP nigdy nie byli wzorami konsekwencji, ale diametralna zmiana zdania zajmowała im kiedyś nieco więcej czasu. Teraz potrafią zbombardować odbiorcę wszystkimi tymi sprzecznymi przekazami w ciągu jednej doby. W porannych wiadomościach ogląda wyborca „setkę” przewodniczącego PO zapewniającego, że „w tej chwili nie ma w ogóle problemu uchodźców”, około południa może obejrzyć, jak była minister Kudrycka w europarlamencie gromi swój kraj pochodzenia za nieprzyjmowanie uchodźców i zapewnia Europę, że opozycja jest w tej sprawie innego zdania niż PiS-owski rząd, potem dowiaduje się od byłego ministra Siemoniaka, że stanowisko europoseł Kudryckiej nie jest stanowiskiem PO, a z serwisu informacyjnego – że europosłowie PO zagłosowali za ukaraniem sankcjami Węgier, by wreszcie w wiadomościach wieczornych zobaczyć gniewnego Donalda Tuska – uważanego przecież za faktycznego, acz oddalonego lidera PO i na takiego przez samą PO kreowanego akcjami w rodzaju przywitania na warszawskim dworcu – stawiającego Polskę w imieniu Unii Europejskiej ultimatum: przyjęcie uchodźców do końca czerwca albo sankcje.

A po takim dniu kolejnego poranka były minister Budka mówi w radiu, że dumny jest, iż uczestniczył w rządzie, który Polskę zabezpieczył przed napływem imigrantów.

Prawdę mówiąc, przekracza to granice groteski. Tym bardziej że sprawa relokacji uchodźców nie jest bynajmniej jedyną, w której PO kompletnie się zaplątała – jest tylko najbardziej nośną społecznie i zarazem najbardziej wygodną dla rządu linią polaryzacji sporu z „opozycją totalną”, dlatego najczęściej się do niej wraca. Jednak przekaz PO w większości innych kwestii jest równie

czyli po prostu jego podniesienie. Rzońca atakuje też PiS za podnoszenie płacy minimalnej, która „zabija miejsca pracy” (akurat w chwili, gdy bezrobocie jest niższe niż kiedykolwiek, a dane ekonomiczne znakomite), gdy tymczasem dosłownie dzień wcześniej Schetyna zapewniał, że jest za jej „systematycznym podnoszeniem” – tłumacząc zarazem, że wypowiedź sprzed dwóch dni, odebrana

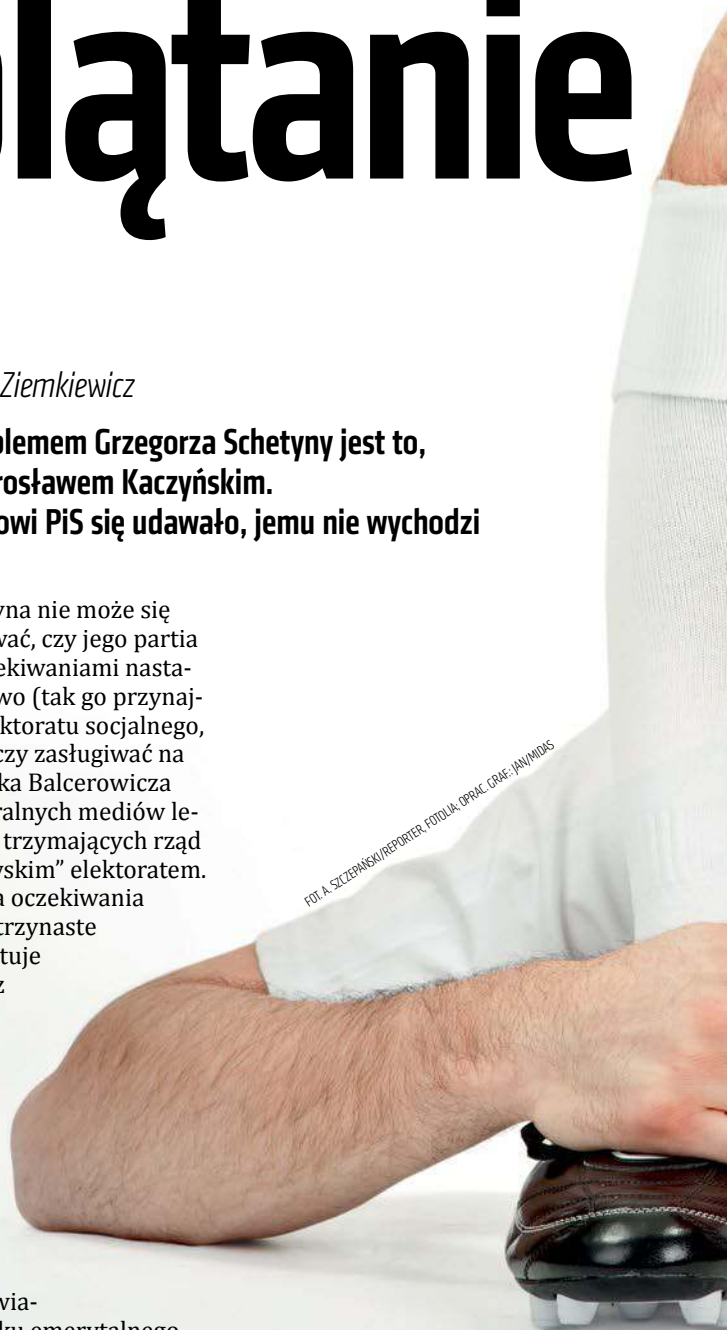
Splątanie



Rafał A. Ziemkiewicz

Największym problemem Grzegorza Schetyny jest to, że chciałby być Jarosławem Kaczyńskim. Jednak to, co szefowi PiS się udawało, jemu nie wychodzi

bezsensowny. Schetyna nie może się generalnie zdecydować, czy jego partia chce podążać za oczekiwaniami nastawionego roszczeniowo (tak go przynajmniej postrzega) elektoratu socjalnego, aby odebrać go PiS, czy zasługiwać na dobre cenzurki Leszka Balcerowicza i generalnie neoliberalnych mediów lewicowo-liberalnych, trzymających rząd dusz nad „antypisowskim” elektoratem. Jednocześnie spełnia oczekiwania socjalne, obiecując „trzynaste emerytury”, i prezentuje jako swą nową twarz oraz stratega ekonomicznego Andrzeja Rzońcę, kolejnego po Ryszardzie Petru ekonomistę wchodzącego do polityki z poręki wspomnianego już Balcerowicza – a ten w pierwszych słowach zapowiada „urealnienie” wieku emerytalnego,



FOR A SZCZEPANSKI/REPORTER, FOTOLIA, OPRAW, GRAF, JAWNICKS

jako zapowiedź likwidacji płacy minimalnej, była „przejęzyczeniem”.

O równie niejasnym stosunku PO do programu „500+” można by po kilkunastu miesiącach jego funkcjonowania napisać całą epopeję, wyliczając kolejne sprzeczne deklaracje. Z jednej strony ataki na PiS za rozdawanie pieniędzy, rujnowanie budżetu, „wyprowadzanie kobiet z rynku pracy” i prowadzenie

państwa do greckiego bankructwa, w tym pełne nieskrywanej pogardy dla biednych filipiki przeciwko sponsorowaniu z pieniędzy „ludzi na pewnym poziomie”, jak chce identyfikować swój elektorat stronnictwo III RP, jakichś nierobów, pijaków i rodzin patologicznych. Z drugiej strony – równoległe ataki na PiS za to, że rozdając „500+”, dyskryminuje rodziny z jednym tylko dzieckiem,

obietnice, że PO błąd ten naprawi i rozda znacznie więcej. Ostatnio Schetyna spróbował połączyć te sprzeczne linie zapowiedzią, że PO „500+” nie zlikwiduje, a nawet zwiększy, ale żeby program nie wykluczał z rynku pracy i nie zachęcał do nieróbstwa, ograniczy go tylko do tych, którzy pracują, względnie „aktywnie pracy poszukują”. Delikatnie rzecz ujmując – nie było to przemyślane, bo

W PO

przetłumaczone na język prosty oznacza po prostu tyle, że po ewentualnym powrocie PO do władzy, jeśli ktoś straci pracę, to jeszcze odbiorą mu zasiłek na dzieci.

LEPSZY SORT TO NIE WSZYSTKO

I tu chyba dotykamy istoty samozapłatywania się Schetyny: długoletnie doświadczenie w polityce podpowiada mu, że głosami wyłącznie elektoratu lepiej sytuowanego, czulego na retorykę „ludzi na pewnym poziomie”

i w istocie czującego się „lepszym sortem Polaków” (stąd taka popularność w nim słów przypisanych Kaczyńskiemu) Platforma nigdy do znaczenia nie





Wszystkie niekonsekwencje Schetyny wynikają z tego, że atakując Kaczyńskiego, jednocześnie się na nim wzoruje. FOT. WITOLD ROZBICKI/REPORTER

■ wróci. Kluczem jest odebranie PiS sympatii szerokiej rzeszy wyborców na co dzień nieangażujących się w politykę, mało podatnych na emocje „obrony wolności” czy „trzymania się Europy”, myślących raczej portfelami niż kategoriami tożsamościowej wojny polsko-polskiej. Podobnie jak całe jego środowisko uważa, że elektorat ten można łatwo kupić socjałem i populistycznymi obietnicami, których i tak się potem nie będzie realizować, jak nie realizowano podczas rządów Tuska i Kopacz obietnic wyborczych PO sprzed roku 2007. Próbując jednak takie obietnice składać, nie ma ani wystarczająco silnej woli bądź wpływu na własną partię, by zasadniczo zmienić jej przekaz na populistyczno-socjalny (co mogłoby się udać, bo żelazny antypisowski elektorat bardziej nienawidzi Kaczyńskiego niż populizm, czego przykładem jest wciąż będący dla niego wyrocznią Balcero-wicz, którego liberalizm tam, gdzie się zaczyna nienawiść do PiS i Kaczyńskiego, kończy się jak nożem uciąć), ani zręczności wiecowego demagoga, by

stwarzać pozory harmonijnego godzenia ognia z wodą, którą to sztukę do perfekcji opanował obecny przewodniczący Rady Europejskiej. Doświadczenie Schetyny jest doświadczeniem polityka gabinetowego, człowieka, którego żywiołem było zawsze rozgrywanie personalnych intryg i ustawianie spraw na zapleczu lidera, biorącego na siebie kontakt z masami. Teraz sam znajduje się na scenie i wciąż sobie na niej nie radzi, to przeszarżowuje, to znowu, przestraszony skutkami własnej szarży, zanadto się cofa, wytwarzając wrażenie chaosu i wprowadzając swych ludzi w stan niepewności.

PODSTAWOWY BŁĄD

Sama niezręczność Schetyny w kontaktach z mediami, nie mówiąc już o przemawianiu do tłumów, tylko potęguje wizerunkowe kłopoty PO, ale ich główna przyczyna leży gdzie indziej.

Największym problemem Grzegorza Schetyny wydaje się bowiem to, że chciałby być Jarosławem Kaczyńskim. Podziwia jego niezatapialność, podziwia

oddanie i zaangażowanie, jakim zdołał się otoczyć prezes PiS, oraz dyscyplinę, którą narzucił swojej partii. A najbardziej podziwia to, jak pomimo tylu przeciwności zdołał przetrwać osiem lat rządów PO i w końcu, wbrew wszystkim prognozą, zdobyć ze swą partią Belweder oraz samodzielną większość w parlamencie. Wszystkie opisane wyżej niekonsekwencje Schetyny wynikają z tego, że atakując Kaczyńskiego, jednocześnie się na nim wzoruje. Tylko że to, co Kaczyńskiemu wychodziło, Schetynie nie wychodzi. A nie wychodzi, bo wyjść nie może z prostej przyczyny, której lider PO najwyraźniej nie rozumie: że sytuacja dzisiejszej „opozycji totalnej” i jej przywódcy jest zasadniczo odmienna niż sytuacja PiS w czasach rządów PO.

Schetyna popełnił ogromny i chyba już niemożliwy do naprawienia błąd, nie próbując zrealizować zapowiedzi, które swego czasu składał publicznie w wywiadach, powrotu partii do jej liberalno-konserwatywnych korzeni. A to właśnie było oczywistą drogą do sukcesu i powrotu do władzy, skądinąd zresztą wynikającą z samej istoty demokracji i stanowiącą po prostu standard we wszystkich kultywujących ją od długiego czasu krajach. Narzucało się jako najoczywistsze posunięcie nowego lidera PO wygłosić chruszczowski referat, że czasy Tuska były „okresem błędów i wypaczeń”, odciąć się, znaleźć oraz rozliczyć winnych i tak dalej – w duchu „partia ta sama, ale już nie taka sama” czy raczej „znowu taka sama” jak wtedy, gdy Polacy jej masowo ufali. Tylko w ten sposób poradziłaby sobie PO z dwoma głównymi przyczynami podwójnej wyborczej klęski – uwikłaniem w afery, patologie i w cwaniactwa, których symbolem stały się nieszczęsne ośmiorniczki u Sowy, oraz powrotem na centrowy, zdroworozsądkowy kurs partii odrzucającej ideologiczne szaleństwa, z którego Tusk mocno skrzył ku obyczajowej lewicy – zresztą doskonale wiedząc, że niszczy w ten sposób swoją partię, ale też wiedząc, że bez wykazania się przed Europą genderowo-tęczową gorliwością nie ma co marzyć o unijnej synekurze.

Być może Schetyna, gdyby mógł pozwolić sobie na szczerą rozmowę o tych sprawach, tłumaczyłby się, że nie mógł, bo powstała Nowoczesna, która w konkurencji nowości i odcinania się

od „błędów tuskizmu” mogłaby z nim wygrać, albo że do podjęcia licytacji, kto będzie wobec PiS opozycją bardziej totalną, zmusiły go generalnie obstawiające Petru i Kijowskiego antypisowskie media. Decydująca była chyba jednak wspomniana fascynacja skutecznością Kaczyńskiego.

SMOLEŃSK A „ZABIERANIE WOLNOŚCI”

Tak czy owak – dla Schetyny, wbrew deklaracjom o „zarzucaniu konserwatywnej kotwicy” i „powrocie do korzeni”, wzorcem nie była bynajmniej dawna PO, ta z czasów Rokity, Gilowskiej, Płażyńskiego i programu „3 x 15”, ale PiS z roku 2010. Wybierając samobójczą w istocie dla niego formułę „opozycji totalnej”, naśladował Kaczyńskiego, który po przegranych wyborach prezydenckich z dnia na dzień zrzucił maskę „polityka wszystkich Polaków”, odrzucił prawomocność wyboru Komorowskiego i w ogóle rządy PO jako skutek oszustwa i smoleńskiej zbrodni, odmówił uczestnictwa w pracach Biura Bezpieczeństwa Narodowego, symbolicznie delegitymizując cały system i dzięki temu wszystkiemu spoił bardzo silnymi emocjami żelazny elektorat – do którego dopiero potem „dokleił” milczącą większość obietnicami socjalnymi. O tym, że cała działalność opozycji po przegranych wyborach w 2015 r. jest kopiowaniem ruchu Klubów „Gazety Polskiej”, miesięcznik smoleńskich i retoryki nazywanej wtedy przez obóz III RP „rokoszem przeciwko państwu”, pisano już wielo-

krotnie i chyba nie trzeba udowadniać rzeczy oczywistych.

Można dyskutować, czy proste podstawienie „łamania konstytucji” czy „wyprowadzania z Europy” w miejsce „zamachu w Smoleńsku” i skopiowanie całej reszty zbudowanej na nim strategii PiS z czasów rządów PO w ogóle jest możliwe. W Smoleńsku doszło jednak, jakkolwiek była przyczyna, do prawdziwej tragedii, a trumny, do których wrzucano jak leci, czasem po dwie głowy do jednej, pozostają niezmywalną hańbą i symbolem upadku państwa za czasów Tuska. Tymczasem „zabieranie Polakom wolności” jest zwykłą

wszystko, co tymi pomrukami opozycja ugrała, obróci się przeciwko niej.

Schetyna uwierzył wyraźnie, że ograwszy Kijowskiego i Petru, może już wyjść z tego narożnika i z sondażami, podpowiadającymi, co chce usłyszeć „zwykły Polak”, zabrać się do pozyskiwania „mas”. Dał się uśpić bezpiecznemu przekonaniu, że nienawidzący PiS żelazny elektorat przełknie każdą woltę (w istocie populistyczne deklaracje trzynastych emerytur czy poszerzenia „500+” przyjmował on komentarzami w stylu: „Trudno, trzeba kłamać i obiecywać, żeby ratować Polskę przed Putinem”) – i chyba też trochę uwierzył,

**Przyznać trzeba, że strategia „opozycji totalnej” przyniosła Schetynie drobny sukces – zdominowanie rywali.
Jednak zarazem zagnała go w sekciarski narożnik**

operetką. Jednak nie bardziej, niż były nią „duszna atmosfera rządów PiS” czy „zaszcucie Blidy”, które sprawdziły się przed laty. Przyznać trzeba, że strategia „opozycji totalnej” przyniosła Schetynie drobny sukces – zdominowanie rywali (choć nie wiadomo, na ile to raczej oni zniszczyli samych siebie). Jednak zarazem zagnała go w sekciarski narożnik. Strategia „ulica i zagranica” zawiodła. Ulica opustoszała, pomruki z zagranicy PiS przetrwał bez trudu, co gorsza – stawianie na ostrzu noża przez Komisję Europejską relokacji sprawi teraz, że

że wraz z funkcją przewodniczącego odziedziczył również zręczność Tuska, który w „za, a nawet przeciw” zagrał kilka razy z sukcesem.

Już widać jednak, że do poszerzania „bazy” zabrał się za wcześnie, nieumiejętnie, nie rozplanowawszy sobie ról w partii, tak jak umiał zrobić to Kaczyński, kreując na wybory Dudę i Szydło. Nie przemyślał też swojej gry. W efekcie próba wyjścia z narożnika tuskowym dryblingiem zakończyła się zaplątaniem we własne nogi i utratą piłki.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

POWIEDZIELI, ŻE COCO ZAGINĘŁA W NOCY. **KŁAMALI.**

Nowy thriller psychologiczny zdobywczyni prestiżowych nagród
EDGAR AWARD oraz MACAVITY AWARD FOR BEST MYSTERY NOVEL.

ALEX MARWOOD W POLSCE!

26 maja 2017 **WARSZAWA**

27 maja 2017 **WROCŁAW**

Szczegóły na www.wydawnictwoalbatros.com

Książkę poleca: **CBS reality**

Zapraszamy do salonów

empik

i na **empik.com**



Wydawnictwo Albatros

Wylączny dystrybutor:



MAREK MIGALSKI: Na początek mam dla pana dobrą wiadomość – nie zapytam pana o maderską wyprawę pana lidera.

ADAM SZŁAPKA: Kilka razy już o tym mówiłem, więc cieszę się i dziękuję.

Nie mogę jednak pana nie zapytać o przyczyny tego gwałtownego zjazdu Nowoczesnej w sondażach.

Dla mnie, jako sekretarza generalnego, wyzwaniem był raczej gwałtowny wzrost notowań naszej partii rok temu.

O, to teraz nie macie tego problemu.

Wtedy do świeżo powstałej partii rozpoczął się owczy pęd. I to był dla nas poważny problem.

Ponieważ przychodzili do was ludzie podejrzeni?
Tak bym nie powiedział.

A ja tak, bo współzakoładałem dwie partie i wiem, jak wygląda ten pęd.

Wtedy ciągnęło do nas wielu ludzi. Całe koła z innych partii.

Z PO?

Z PO, ale też z SLD.

Teraz się chyba zatem cieszyacie, bo wszyscy od was uciekają.

Przychodzą nadal. Bilans jest wciąż dodatni. Nadal się powiększamy.

Tylko że wciąż czytam, jak kolejni lokalni działacze od was odchodzą.

Media nie mówią o tym, że w danym tygodniu przyszło do nas 30 osób, tylko informują, że odešlo 10.

Złe media. To jest jednak pana wina. Pan, szef struktur, powinien o tym trąbić na cały świat.

W chwili założenia partii mieliśmy ok. 1 tys. członków. Dzisiaj mamy ich więcej niż 5 tys.

Gdyby liczba członków miała decydować o sile partii, to w Polsce rządziłoby dziś PSL, z ponad 100 tys. członków. Co z tymi sondażami?

Gdy wchodziliśmy do polityki, wniesiliśmy powiew świeżości.

A teraz przestaliście być świeży?

Nie powiedziałbym tak.

Dlatego powiedziałem to ja.

Nowoczesna powstała jako partia otwartości, tolerancji, racjonalności gospodarczej, europejskości. Nie spodziewaliśmy się, że po wejściu do Sejmu przyjdzie nam walczyć o podstawowe wartości demokratyczne. Czyli o to, na co PiS zrobił zamach. I my, z tą naszą naturalnością, bo nie chciałbym powiedzieć: naiwnością, zaczęliśmy o to



Z Adamem Szłapką, posłem, sekretarzem generalnym Nowoczesnej rozmawia Marek Migalski

Schetyna będzie dobrym PiS-owcem



walczyć. Został nadmuchany balon oczekiwań wobec nas, ale mówiąc bardzo szczerze, my na tamtym etapie, gdy mieliśmy 31 proc. w sondażach, nie mieliśmy na to „papierów”

To znaczy?

Nie zgromadziliśmy wokół siebie dostatecznej liczby ekspertów, nie mieliśmy tak dużych struktur. Oczekiwania wobec nas były bardzo duże.

Za duże?

Trochę tak. A kiedy nadzieje są duże i popełnia się błędy – bo my się przyznajemy, że je popełniliśmy – spadek jest bardzo gwałtowny. To była trochę taka zawiedziona miłość. I to, co teraz musimy zrobić, to przypomnieć, na jakich wartościach Nowoczesna została zbudowana. Musimy też pokazać, że nasza partia to nie tylko Ryszard Petru, lecz także inni świetni politycy, tacy jak Kasia Lubnauer, Kamila Gasiuk-Pihowicz, Asia Scheuring-Wielgus, Monika Rosa...

No i pan.

I ja (śmiech). Że razem jesteśmy w stanie odbudować to wcześniejsze zaufanie.

Czyli chcecie teraz przestać wciąż się zajmować PiS-em i zacząć prezentować swój liberalny program?

Częściowo, bo jednak musimy nadal pokazywać nasz dystans do PiS.

On jest większy niż do PO?

Oczywiście.

Jednak przecież powstałście także jako alternatywa dla Platformy.

Tak, ale w wielu sprawach fundamentalnych możemy się z PO porozumieć. Zwłaszcza po to, by odsunąć PiS od władzy.

A w czym się nie zgadzacie z PO?

Nie będziemy się z nikim ścigać na populizm, a mam wrażenie, że PO stanęła do wyścigu z PiS na populizm właśnie.

Antyimigrancki, ekonomiczny?

To jest droga donikąd.

Dla was czy dla nich?

Dla Polski. W kategorii populizmu z PiS nie można wygrać. A to niszczy życie publiczne w Polsce, bo albo się udaje, że się to robi, albo – co gorsza – naprawdę ten populizm chce się zrealizować.

Jeśli PO chce wygrać z PiS, jeśli chce mieć 30–40 proc. poparcia, to nie może iść pod prąd tego, co myśli większość Polaków. Wy jesteście w innej sytuacji. Wam wystarczy 10 proc.

Powtarzam – jeśli PO wygra pod tymi PiS-owskimi hasłami wybory i tych obietnic nie spełni, to po raz kolejny zawiedzie nadzieje wyborców. Jeśli zaś

je spełni, to będziemy mieli scenariusz grecki. Nie ma na to naszej zgody.

Schetyna może się okazać dobrym PiS-owcem?

Nie wykluczam tego, że Schetyna będzie dobrym PiS-owcem, ale to nie byłoby dobre dla Polski. W naszym kraju musi jednak być ktoś, kto mówi, że wiek emerytalny jednak trzeba będzie podwyższyć...

I wy to mówicie?

Tak. Nie możemy pozwolić, by w naszym kraju zwyciężył populizm. Czy to w odniesieniu do uchodźców, czy też kwestii gospodarczych. Do Schetyny mam olbrzymie pretensje, że pozwala na ten populizm, że przejął jego hasła.

Na takie antypopulistyczne myślenie może sobie pozwolić tylko partia aspirująca do 10 proc. poparcia.
Do 15 proc.

Proszę bardzo, bądźcie ambitni. Jednak tak nie może myśleć partia, która, tak jak PO, idzie po 40 proc.

Zgoda. My swojego programu jednak nie zmieniliśmy i nie mamy zamiaru zmieniać. Być może w następnych wyborach będziemy mieli 15 proc., a PO 25 proc., ale w debacie publicznej będzie słyszalny głos rozsądku, tolerancji i racjonalności.

Idzie raczej ku temu, że PO będzie miała 35 proc., a wy 4,9 proc.

Absolutnie się z tym nie zgadzam.

Pewnie, że nie. Jak mógłby się pan zgodzić?! Pan naprawdę wierzy, że wróćcie do 31 proc. poparcia? Jestem w stanie uznać, że macie szansę na 10 proc., ale marzenia o byciu liderem opozycji jednak się skończyły.

Na razie nie myślę o 31 proc.

A o ilu pan myśli? O tych magicznych 15 proc.?

Chciałbym, żebyśmy w nieodległej przyszłości mieli stabilne poparcie na poziomie 15 proc. I żebyśmy po odsunięciu PiS od władzy mogli z naszym potencjalnym koalicjantem dyskutować o realizacji tej wizji Polski, która jest w naszym programie.

Jak pan widzi wyborcę Nowoczesnej?

Najczęściej powyżej 28 lat...

To dziwne, że nie przekonujecie do siebie najmłodszych.

Myślę, że za dwa lata będziemy dla nich atrakcyjni, bo srodze rozczarują się polityką PiS i Kukiza.

Poza tym kto?

Ludzie o wyższych aspiracjach, kończący studia, chcący się rozwijać, pracować, nie być na zasiłku.

Raczej duże miasta?

Raczej tak, ale widzimy nasz potencjał także w miastach powyżej 20 tys. mieszkańców. Co ciekawe, chcą na nas głosować ludzie powyżej 60. roku życia.

O, to ci, którym chcecie zafundować kilka dodatkowych lat pracy. Ciekawe, Nowoczesna partia emerytów.

Tego nie powiedziałem.

To są moje małe złośliwości. Przepraszam.

Nic nie szkodzi. To są ludzie, którzy doskonale rozumieją, że nasze postulaty są dobre dla ich wnuków.

Jesteście w stanie wyjść z tego korkociągu, w którym się znaleźliście?

Na niedzielnej konwencji nie chcemy wymyślać nowych rzeczy, ale przypomnieć swoją tożsamość.

Tożsamość liberalną?

Tak. Określam się jako liberał. To słowo zostało bardzo wypaczone i zdezwuouowane przez Kaczyńskiego, ale ja się tego nie boję. Tak, jestem liberałem.

I uważa pan, że jest w Polsce 15 proc. ludzi, którzy też tak siebie określają?

Tak. To ludzie, którzy nie chcą tępej polityki rozdawnictwa, pragną tolerancji, otwartości, świeckości, proeuropejskości, równości praw kobiet i mężczyzn, waluty euro...

Jesteście za przyjęciem euro?

Tak. I to nie tylko ze względów ekonomicznych, lecz także bezpieczeństwa. To drugie może przekonać wielu wyborców PiS do tego pomysłu.

Życzę powodzenia w przekonywaniu elektoratu PiS do euro.

Klub Jagielloński, przez wiele lat bardzo podkreślający kwestie podmiotowości Polski, obecnie rozpoczął debatę nad tym, czy jednak – ze względów bezpieczeństwa międzynarodowego i zagrożenia ze strony Rosji – nie byłoby dobrze przyjąć nowej waluty.

A wam nie jest bliżej do SLD niż do PO? Tak sobie właśnie pomyślałem, czy wy na końcu nie

wylądujecie w ramionach Czarastego? Albo on w waszych.

Proszę pamiętać, że my jesteśmy liberalni ekonomicznie.

Oni właściwie też. To może wy jesteście „macronistami”?

Bardziej komunitarianami.

Serio?

Nie twierdzimy, że wspólnota jest czymś złym. Nie jesteśmy fanami Roberta Nozicka, nie jesteśmy anarcho-liberałami. Jednak z tym Macronem to pan dobrze trafił.

To mógłby być wasz kandydat na prezydenta.

Przypomnę, że partia Macrona złożyła akces do ALDE w Parlamencie Europejskim, czyli do frakcji liberałów, z którą jesteśmy stowarzyszeni. PO ściga się z PiS w kwestiach socjalnych i sądzę, że będzie w Polsce rosło zapotrzebowanie na ugrupowania liberalne ekonomicznie.

Faktycznie PO robi wiele, żeby wam dać trochę przestrzeni.

Także to zauważam (śmiech). To wiąże się też ze wzrostem liczby ludzi otwartych światopoglądowo. To nasza szansa. Zwłaszcza że elektorat SLD jest obyczajowo konserwatywny.

To słynny emerytowany milicjant z Sosnowca, który głosuje na SLD, ale gdy słyszy o „pedałach”, sięga do niegdysiejszej kabury.

Oczywiście. Kto wprowadził finansowanie religii w szkołach? Z kolei związki partnerskie czy finansowanie in vitro nigdy nie były załatwione za rządów Sojuszu. Dlatego widzę dla nas szansę. PO i PiS zaczęły popełniać błędy. My to chcemy wykorzystać.

Czyli liczycie na cud?

Nie. Polityka to długi marsz. Trzeba być konsekwentnym i wiernym swoim wartościom.

I trzeba mieć trochę szczęścia.

Tak, i trzeba mieć trochę szczęścia. Liczę na to, że tego ostatniego też nam nie zabraknie. Większość Polaków chce odsunięcia PiS od władzy, ale w tej grupie jest spora liczba tych, którzy chcą świeckiego państwa, proeuropejskości, wolności gospodarczej, tolerancji i otwartości. Mamy dla nich najlepszą ofertę.



Z Piotrem Liroyem-Marcem,
posłem klubu Kukiz'15
rozmawia Marcin Makowski

Żyjemy w kraju fasadowym

MARCIN MAKOWSKI: Dużo czasu poświęca pan ostatnio dzikiej reprywatyzacji. Wysłał pan nawet list do Zbigniewa Ziobry. W treści kuliszy zaniechał Hanny Gronkiewicz-Waltz i prośba o interwencję. Prezydent Warszawy miała świadomość, że przekazuje kamienice za bezcen?

PIOTR LIROY-MARZEC: Według materiałów, do których udało nam się dotrzeć, jest duże prawdopodobieństwo, że wiedziała, w czym bierze udział. Nie chcę jednak ferować wyroków, bo nie jestem sędzią. Dlatego wysłałem list do ministra sprawiedliwości, aby odpowiednie organy zbadały sprawę.

Przypomnijmy: chodzi o pismo z 12 sierpnia 2010 r., w którym ówczesny burmistrz dzielnicy Śródmieście informuje prezydent o stanie prawnym kamienicy przy ul. Hożej, która nie powinna być reprywatyzowana, tylko przekazana na rzecz Skarbu Państwa. Miało to dotyczyć wielu innych budynków...

Tamta nieruchomości na szczęście nie została oddana handlarzom roszczeń, ale nikt nie zainteresował się zbadaniem analogicznych przypadków. Hanna Gronkiewicz-Waltz, za pośrednictwem Biura Gospodarowania Nieruchomościami, w 2013 r. podjęła decyzję o „niekontynuowaniu przedmiotowego postępowania kontrolnego”. Nie widziała problemu.

Dlaczego?

Właśnie na to pytanie powinna odpowiedzieć prokuratura.

Niektórzy mówią, że w przypadku dzikiej reprywatyzacji mamy do czynienia z mafią.

To mocne słowo. Nie wiem, czy do brze oddaje istotę problemu. My wolimy mówić o ośmiornicy reprywatyzacyjnej, ponieważ osoby zamieszane w proceder są ze sobą bezpośrednio powiązane i mamy na to konkretne dowody. W mętnej wodzie łatwiej rybę złowić i przez dekady taki stan wszystkim rządcom, nie tylko PO, odpowiadał. Żyjemy w kraju fasadowym, który nie potrafi przez de-

Do tej pory zawsze widziałem tylko fasady praworządności, za którymi każda kolejna władza żerowała na podatnikach

kady wyprodukować ustawy reprywatyzacyjnej. Może lepiej byłoby powiedzieć „nie chce”. Jednak czego innego można się spodziewać po ludziach, którzy żyją z okradania społeczeństwa? Ja się wychowałem na ulicy i nie trzeba doktoratu, żeby wiedzieć, że złodziej nie będzie krzyczał, kiedy inny kradnie.

Czyli wyborcy też muszą być winni, bo tych „złodziei” wybrali?

Co ja poradzę, że zamiast stawiać na organizacje obywatelskie, niektórzy wołają

kogoś, kto już im raz pałką w łeb dał, ale przynajmniej jest znany, bo nauczył się żyć za cudze. Dopóki nie zmienimy władzy na proobywatelską i nie sprawimy, że art. 4 konstytucji [mówiący o tym, że władza należy do narodu – przyp. red.] będzie respektowany, dopóty ludzie nie będą się mogli czuć w pełni bezpiecznie. Miałem 18 lat, gdy w 1989 r. doszło do prowizorycznej zmiany ustroju, i do tej pory zawsze widziałem tylko fasady praworządności, za którymi każda kolejna władza żerowała na podatnikach. Nie interesowano się obywatelami, tylko liderem partii, bo to on daje jedynkę i decyduje o politycznym „być albo nie być”.

Rozumiem, że Kukiz'15 to ruch bez lidera, a jego nazwa to jakiś skrót, a nie nazwisko polityka.

Kiedy my walczymy z zapędami wodzowskimi! Paweł nie może nikomu rozkazywać, nie jest nieomylnym despotą. Ktoś musiał być twarzą ruchu, a posłowie nie reprezentują Kukiza, tylko obywateli. Mamy wolny mandat. Czy to się w PiS, PSL, Nowoczesnej i PO komuś w głowie mieści?

A może to jest utopia i nie da się zbudować skutecznej organizacji bez dyscypliny oraz ośrodka decyzyjnego?

Na świecie wiele takich inicjatyw powstało, więc i w Polsce się da. W czym jesteśmy gorsi np. od Szwajcarii, w której z powodzeniem działa demokracja



■ bezpośrednia, a obywatele są tak świadomi, że w referendum odrzucili nawet pokusę dochodu podstawowego. Więc jednak może być system, w którym nikt niczego nie każe, a społeczeństwo nie chce zniszczyć swojego kraju. Dojrzeliśmy już do tego, aby oddać władzę w ręce ludzi, a nie polityków.

Wracając do reptrywatyacji – rząd powołał niedawno komisję, która ma za zadanie ścigać przypadki nieprawidłowego przekazywania nieruchomości. Polityczny PR czy faktyczne przywracanie sprawiedliwości?

Mnie chodzi o sprawiedliwość, dlatego też byłem za powołaniem tego ciała. Jako Kukiz'15 postulowaliśmy, aby nie skupiać się tylko na Warszawie, ale na początek dobre i to. Będziemy uczestniczyć w pracach komisji i już w tej chwili mogę zapowiedzieć, że ujawnimy sporo nowych i ciekawych dokumentów. Jeśli te posiedzenia zamienią się w nawałankę po łbach dwóch politycznych klanów, to na pewno nie będziemy milczeć.

Nie zraża pana zatem, że Gronkiewicz-Waltz nazywa tę komisję „niekonstytucyjną i bolszewicką”?

Pani prezydent może ją sobie nazwać nawet nazistowską. To jest jej prywatne zdanie, tylko pytanie: Jaki to ma sens i czy ktoś się z tym zgadza? Na razie jest jeszcze wolnym człowiekiem.

Zmienimy nieco temat. Mówi się od jakiegoś czasu, że poseł Piotr Liroy-Marzec gra pod siebie, rozbija ruch Kukiza i jego stowarzyszenie Skuteczni to załączek nowej partii.

Na razie jestem w ruchu Kukiz'15 i nie wybieram się nigdzie indziej. Stowarzyszenie nie było inicjowane przeze mnie, tylko w moim okręgu świętokrzyskim ludzie po wyborach sami stwierdzili, że jest ono potrzebne i powinno walczyć o prawa obywateli. Zgodziłem się z nimi i założyliśmy Skutecznych. Obecnie działamy w całej Polsce, budujemy struktury. Takich inicjatyw jest w Kukiz'15 kilka.

Każda z odmiennymi priorytetami, stylem komunikacji, własnymi frontmanami. Nie robi się z tego kakofonia?

Nigdy nie było inaczej. Jesteśmy zborem ludzi od środka do prawa i reprezentujemy różne środowiska, różne też obietnice składaliśmy własnym wyborcom.

Dobrze, dajmy na to, że jestem zwykłym wyborcą. Oddaję głos na Kukiz'15, czyli właściwie za

jakimi ideami jestem? Kogo wspieram? Narodowców, frakcję Liroya-Marca, frakcję Pawła Kukiza, kogoś jeszcze?

Z jakiego pan jest regionu?

Z Małopolski.

No to w Małopolsce oddaje pan głos np. na Agnieszkę Ścigaj i ona pana reprezentuje w Sejmie. Do niej się pan zgłasza ze sprawami do załatwienia i ją rozlicza z realizacji obietnic wyborczych.

Tylko to oznacza, że nie reprezentuje mnie frakcja parlamentarna ze spójnym przekazem – a więc również spójnymi priorytetami i siłą oddziaływania – tylko ten czy inny poseł, który często niewiele może.

Mamy drużynę mocnych zawodników. Proporcjonalnie do wielkości złożyliśmy najwięcej projektów ustaw i interpelacji, jesteśmy silni w regionach. Gdzie tu problem? Co się panu w tym nie podoba? Wołałby pan, gdyby był jeden wódz, a reszta pokornie wykonywała jego polecenia?

Oczywiście, wołałbym faszyzm (śmiech). Panie pośle, pytam, bo czytelnicy mają prawo wiedzieć, jak wygląda wasz ruch od środka.

Ja wolę nasz model, gdzie zabiegamy o interesy obywateli i regionu, a nie o interesy partii, której racją bytu jest utrzymanie się przy korycie. Jasne, można się formatować. Ostatnio wszyscy u nas to robią – partie, radia, telewizje. I do czego to prowadzi? Wracając do Skutecznych – to nie jest masowy ruch, na razie raczej kadrowy. Jego celem jest walka na tyłach i współpraca z innymi organizacjami obywatelskimi.

A jeśli przyjdzie do walki na froncie, to będzie gotów?

Jeżeli stowarzyszenie kiedyś przekształci się w partię, to pogadamy. Dzisiaj skupiamy się na innych rzeczach. Mam też przecież fundację, która nigdy nie została niczym innym.

Jak pan znosi te wszystkie złośliwe plotki o „frakcji alkoholowej”, która spotyka się w restauracji Za Kratą w Sejmie i nic, tylko szyje intrygi wymierzone w Pawła Kukiza?

I oczywiście ja pociągam tam za sznurki. Proszę pana, to wymysł dziennikarzy. Ja do pijących raczej nie należę, moi koledzy również.

Jednak posłowie Jarosław Porwich, Andrzej Kobylarz i wiceprezes Skutecznych, Maciej Maciejowski, już bywają tam częściej.

Jezu, Maciejowski to Za Kratą był może kilka razy w życiu i wypił, ale kawę...

Czyli „frakcja kawowa”.

No raz na jakiś czas piwo wypijemy, jak każdy obywatel, ale spisków nie ma. Ja sobie nawet zrobię taką koszulkę z napisem: „Alcohol party”, bo to mnie śmieszy.

„Ucho prezesa”, gdzie nieparlamentarnym językiem sprzecza się pan z Kukizem o przywództwo w ruchu, też śmieszy?

Lubię ten kabaret, ten odcinek był zabawny, ale bazował na samych stereotypach. Przychodzę w czapce z daszkiem, bluzgam, gadam o medycznej marihuanie i tyle. Myślałem, że pokażą coś głębiej i więcej. Skłamałbym, mówiąc, że się nie kłócę z Pawłem. Dziwne by było, gdybym kiwał głową jak leming na wszystko, co Paweł mówi. Powtórzę to raz jeszcze – u nas lider nie jest despotą i nawet w okresie kampanii wyborczej możemy zachować różne zdania.

Była też mowa o starcie na prezydenta Warszawy. Nie ma pan apetytu na władzę?

Apetyt mam na wiele rzeczy, ale chyba na władzę najmniejszy. Nigdzie nawet nie sugerowałem, że marzę, by kandydować na prezydenta stolicy.

Teza, że informacja o wykupie przez Pawła Kukiza za niewielkie pieniądze mieszkania komunalnego w Warszawie wypłynęła z pana środowiska, to też fake news?

To ciekawa koncepcja, ale gdyby tak było, sam bym sobie strzelił w kolano. Wyobraża pan sobie, że chciałbym klęski kogoś, kto zakładał ruch, w obrębie którego działał? Przecież to dyskredytuje całą naszą pracę, moją też.

To kto tak donosi na lidera?

A, to pan jest dziennikarzem, pan to powinien sprawdzić. Różne dziwne rzeczy się dzieją. Ja zauważyłem, że jest tendencja, że kiedy wszyscy podają te śmieszne słupki, że Kukizowi rośnie, w tym samym momencie nasila się na nas atak. Cały czas stara się nas rozgrywać – raz jesteśmy przystawką dla PiS, raz dla PO.

Przyznam, że z różnymi politykami już rozmawiałem, ale jeszcze żaden nie żalił się, że ma za duże poparcie w sondażach. Wynik na granicy prognozy wyborczego jest lepszy?

(śmiej) Na pewno wtedy przytrafia się mniej potknięć, bo gdy rosną słupki, zazwyczaj wyskakują też kolejne afery i nasi przeciwnicy zacierają ręce. Wystarczy się zastanowić, kto najwięcej zyskuje przy naszych klęskach, komu zależy na naszym wykrwawieniu.

Jest taka koncepcja, popularna również wśród kukizowców, że to endecy podstawiają nogę i grają na swój sukces.

Ja tego tak nie widzę. My wszyscy się znamy, lubimy, zgłaszamy wspólne projekty ustaw. Mam prośbę do wszystkich ludzi, którzy uważają, że ja czy endecy ryjemy od środka. Dowody na stół proszę. Jeśli ich nie ma, to nie ma o czym rozmawiać.

Zostawmy w takim razie plotki, a przejdźmy do konkretów. Widziałem niedawno żart komiksowy. Dwie osoby rozmawiają ze sobą i jedna mówi coś w stylu: „Tego Lirya to mi szkoda. Zostawił spokojne życie rapera i poszedł do tej całej sejmowej patologii. Zniszczył człowieka”.

O, to akurat dobre, ale rozumiem, że w domyśle jest pytanie, czy nie żałuję swojej decyzji? Nie, inaczej po co miałbym w ogóle w tym Sejmie siedzieć? Mój wybór był świadomy i jestem dumny z tego, co udało się osiągnąć. Niedługo głosujemy nad medyczną marihuaną, jedną rejestracją dla samochodów, zaraz wchodzi czasowe wyrejestrowanie aut.

No właśnie, co pan robi poza słynną marihuaną? Jest pan przecież wiceprzewodniczącym Polsko-Chińskiej Grupy Parlamentarnej, działa w Komisji Kultury i Środków Przekazu, Komisji Cyfryzacji, Innowacyjności i Nowoczesnych Technologii.

Zajmuję się wszystkim tym, co robiłem w życiu od lat i co obiecałem ludziom w kampanii. W tej chwili kończymy przygotowywać pakiet ustaw dla wolnych zawodów i ludzi kultury, czyli zwrot 50 proc. kosztów uzyskania przychodu, na co PiS dał zielone światło. Chcemy zwiększyć z 33 do 50 proc. udział polskiej muzyki w rynku muzycznym, aby nasi twórcy nie musieli być puszczani w radiu po północy. Pracuję też nad pomysłem mecenatu kultury, tj. możliwości odpisania od podatku 1 proc. na polską kulturę oraz ustanowienia specjalnej emerytury dla artystów. Działam również na rynku IT, na którym jestem aktywny od 1996 r. Jedną z pierwszych stron artysty w Polsce była moja, później zbudowałem portal sprzedający muzykę

– jeden z najtańszych na świecie – oraz portal społecznościowy Koniaczek, za nim Facebook zdobył swoją popularność. Intensywnie zabiegam również o budowę kolei Hyperloop, która jest tańsza i szybsza od pomysłów rządu, a w kraju mamy jeden z najlepszych zespołów zajmujących się tą technologią. Chciałbym również przyczynić się do wdrożenia e-votingu, czyli głosowania przez Internet. Mógłbym tak długo wymieniać.

Sporo osób musiał pan rozczarować. Dlaczego?

Miał pan być największym barbarzyńcą tej kadencji, a tu projekt za projektem, prawie 95 proc. frekwencja na posiedzeniach. Z niepokornego rapera zrobił się prymus.

Już nie przesadzajmy, święty nie jestem, ale po prostu od dawna interesowałem się branżą IT, o czym niektórzy mogli nie wiedzieć. A ci, którzy myślą, że jak raper, to musi być prosty, chyba nigdy rapu nie słuchali. Jeśli ktoś ma swój wyrazisty styl, to raczej do głupców nie należy.

PSL w Świętokrzyskiem tak się rozsiało, że nawet sprzątaczką w urzędzie musi być w partii.

Mam w d... barwy partyjne i wszystkich złodziei

Na koniec dobra zmiana. Obserwuje pan to wszystko od środka, prawica spełnia pokładane w niej nadzieje?

Zależy czyje. Wyborców PiS pewnie tak, ale gdyby nawet Jarosław Kaczyński zaczął jeść kawior, niektórzy z nich przyklasnęliby i mieli wrażenie, że jedzą razem z nim. Wiele rzeczy mi się w rządzie nie podoba, a mój główny zarzut jest taki, że pomimo krótkiej ławki często nie chcą przyjąć pomocnej dłoni innych partii. Na Komisji Kultury czy Cyfryzacji często posłowie Prawa i Sprawiedliwości zadają takie pytania, że na poważnie zastanawiamy się, czy ktoś sobie robi z nas jaja. Jednak później rad nie chcą słuchać i są najmądrzejsi. Nawet zgłaszając dobre ustawy, można je wdrażać siłowo i robić im krzywdę. Gdy mucha komuś wpadnie do oka, da się ją wyjąć palcem i baseball. Efekt ten sam – muchy nie ma, ale ktoś tam w partii czasami zapomina o skutkach ubocznych.

Gdyby miał pan taką możliwość, kogo by pan w rządzie zrekonstruował?

Bez chwili wahania – ministra zdrowia. Konstanty Radziwiłł to jeden z najgorszych ministrów na tym stanowisku w historii III RP. Zupełnie odporny na argumenty, najnowsze badania i fakty – zamknięty na dyskusję.

A pomysł prezydenta na referendum konstytucyjne się panu podoba?

Mam mieszane uczucia. Już raz widziałem, co się dzieje, gdy ktoś za pomocą referendum chce zrobić wyborcom krzywdę. Bronisław Komorowski ze swoim pomysłem na JOW-y, nieprzygotowanym i użytym do celów politycznych, nadwerżył zaufanie do instytucji referendum. Poza tym bez względu na frekwencję referendum i tak nie jest obligatoryjne dla rządzących, dlatego czy zarządzi je Duda, czy kto inny, to w dużej mierze zabawka w rękach polityków, a nie narzędzie w rękach obywateli. Nadal nie wiemy, jak będą sformułowane pytania. Czy będą podatne na różne interpretacje? Czy będzie kwestia euro, uchodźców, czy tylko ustroju? Jeśli to ma mieć sens, to muszą się odbyć poważne konsultacje i musi zostać zniesiony próg frekwencyjny, tak jak w przypadku konstytucji z 1997 r.

Jak pan widzi swoją polityczną przyszłość? Niedługo wybory samorządowe, bardzo mocno walczy pan o rodzimy region świętokrzyski. Jeśli nie Warszawa, to może chociaż prezydent Kielc?

Żaden prezydent. Walczę o Świętokrzyskie, bo tam mieszka moja rodzina i o tym województwie zapominają politycy w Warszawie. To problem całej „Polski B”. Zostawiają nas tam na wymarcie, nie budują dróg, stawiają kolejne tanie montownie z Zachodu. Najbliższe wybory samorządowe nie mogą mieć barw partyjnych. Będę walczył ze wszystkich sił, aby ludzie potrafili się ze sobą dogadać, bo to dla nas naprawdę ostatnia szansa. Może się panu wydawać, że dramatyzuję, ale to są konkretne statystyki. Niedługo skończą się dotacje unijne i zacznie się upadek samorządów. Nigdy się na to nie zgodzę. Do wyborów samorządowych pójdę jako Piotrek, zwykły chłopak z podwórka. PSL w Świętokrzyskiem tak się rozsiało, że nawet sprzątaczką w urzędzie musi być w partii. Mam w d... barwy partyjne i wszystkich złodziei. To jest moja polityczna przyszłość. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Wojciech Wybranowski

Były wiceszef Kancelarii Prezydenta Lecha Wałęsy dostał 200 tys. euro od handlarzy nieruchomości za pomoc w nielegalnym przejęciu działki w stolicy – dowiedziało się „Do Rzeczy”

Prokuratorzy w Warszawie i we Wrocławiu prowadzą dziś 175 śledztw dotyczących reprivatyzacji, 50 z nich realizują wspólnie z CBA. Łupem gangów handlarzy nieruchomości w samej stolicy mogło paść nawet kilkaset działek i kamienic. – To są bardzo wstępne szacunki, które mogą się jeszcze zmienić. Na przykład jedno ze śledztw dotyczy aż 50 nieruchomości, są postępowania, które dotyczą kilkunastu lub kilku, a co jakiś czas uruchamiane jest kolejne postępowania kontrolne – mówi nam jeden z funkcjonariuszy Centralnego Biura Antykorupcyjnego.

Kilkanaście dni temu CBA zatrzymało kolejnych osiem osób, które zdaniem śledczych są zamieszane w proceder nielegalnego przejmowania nieruchomości w stolicy. Zdaniem prokuratury wyrządzili oni Skarbowi Państwa i prawdziwym spadkobiercom przejętych nieruchomości szkody w wysokości ok. 46 mln zł. Chodzi o reprivatyzacje nieruchomości przy ul. Siennej 29, ul. Twardej 8 i 10 oraz ul. Królewskiej 39.

Wobec pięciu z nich sąd zastosował areszt tymczasowy. Za kratkami znaleźli się m.in. znany adwokat Andrzej M., którego nazwisko przewija się w większości kontrowersyjnych „reprivatyzacyjnych” przejęć, dwóch adwokatów – Grażyna B. i Tomasz Ż. – którzy jako kuratorzy działali na szkodę spadkobierców, oraz Tomasz Sz., rzeczoznawca majątkowy, i Maciej M., czołowy gracz na rynku warszawskiej „reprivatyzacji”.

– Można powiedzieć, że w rękę śledczych są dwa prawdziwe reki „dzikiej reprivatyzacji”, czyli adwokat Andrzej M. i biznesmen Maciej M. – mówi „Do Rzeczy” Jan Śpiewak, lider stowarzyszenia Wolne Miasto Warszawa, który od lat monitorował i alarmował w sprawach nieprawidłowości przy procesach reprivatyzacyjnych. – To spory cios dla grup



Reki reprivatyzacji w sieci



FOT. STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS

dobrze pokazuje, jak funkcjonował jeden z mechanizmów dzięki reprivatyzacji w stolicy.

PRAWA RĘKA WACHOWSKIEGO

Kiedy po Andrzeja K. przyszli funkcjonariusze Centralnego Biura Śledczego, podobno nie był zaskoczony. Miał ponoć nawet sugerować, że biorąc pod uwagę informacje mediów, spodziewał się tego. Jednak już podczas przesłuchania we wrocławskiej prokuraturze miał dosyć szybko „pęknąć”, przyznając się do udziału w procederze.

– W jednym bardzo konkretnym przypadku mocno pomógł w działaniach grupie, która w nielegalny sposób przejmowała nieruchomości w Warszawie – opowiada nam jedna z osób zaangażowanych w śledztwo w sprawie tzw. afery reprivatyzacyjnej. – Wpadliśmy na jego trop m.in. dzięki zeznaniom osób mieszkających poza granicami Polski, które straciły swoją nieruchomość – dodaje.

Andrzej K., specjalista od organizacji i zarządzania, jeden ze współtwórców Fundacji Gospodarczej NSZZ „Solidarność”, był w przeszłości jednym z najbliższych współpracowników Lecha Wałęsy. Do Belwederu trafił wraz byłym prezydentem i jego ekipą: Andrzejem Drzycimskim, Mieczysławem Wachowskim, Arkadiuszem Rybickim i ks. Franciszkiem Cybulą. Przez pięć lat (1990–1995) pracował w Kancelarii Prezydenta, przez pewien czas pełniąc funkcję jej wiceszefa, a później członka zarządu Instytutu Lecha Wałęsy. Był też prawą ręką Mieczysława Wachowskiego i – jak wówczas uważano w prawniczych środowiskach – człowiekiem, który może pomóc załatwić różne sprawy.

Śledczy uważają, że „załatwianiem” Andrzej K. miał się zająć również w sprawie przejęcia wartościowej działki (480 mkw.) przy ul. Królewskiej w Warszawie (ostatecznie to przejęcie się nie udało). Dawniej na tym terenie stała kamienica, później pawilony, a po ich rozbiorce pozostała atrakcyjna inwestycyjnie działka. Do nieruchomości teoretyczne prawa miało kilkoro spadkobierców – Andrzej K. był dalszą rodziną jednego z nich. Tymczasem zainteresowana przejęciem nieruchomości przy ul. Królewskiej była rodzina M.: ojciec Maciej, znany handlarz nieruchomościami w Warszawie, i jego syn Maksymilian. Do wykonania zadania wyznaczili, jak w wielu podobnych przypadkach, adwokata Andrzeja M.

– To szczególnie ciekawa postać. Andrzej M. działał na rynku handlu zreprivatyzowanymi nieruchomościami od lat 90. Uczestniczył w większości procesów reprivatyzacyjnych – wskazuje Jan Śpiewak.

Reprezentujący rodzinę M. adwokat Andrzej M. skontaktował się z Andrzejem K. „Gazeta Wyborcza”, która w 2015 r. częściowo opisała sprawę próby przejęcia tej działki, stwierdziła, że w 2009 r. Andrzej K. wspólnie z Andrzejem M. podjął bezskuteczną próbę unieważnienia wydanej w latach 50. decyzji odmawiającej spadkobiercom praw do działki, a także, że wystawił prawnikowi „reprivatyzatorów” pełnomocnictwo pozwalające na dalsze czynności. To fakt. Jednak zaangażowanie Andrzeja K. było znacznie większe. Nasi informatorzy związani z organami ścigania twierdzą, że K. miał pomagać Andrzejowi M. w dotarciu do kilku pozostałych spadkobierców.

– Oszukiwał ich, że chodzi o ziemię nic niewartą, że to teren nieinwestycyjny, i przekonywał do sprzedaży praw do spadku dosłownie za grosze – relacjonuje nasz informator.

Andrzejowi M. nie udało się odkupić udziałów od wszystkich spadkobierców. Dzięki otrzymanemu od K. pełnomocnictwu, przekonując, że nie udało się ustalić wszystkich właścicieli praw do spadku, wystąpił o ustanowienie dla nich kuratorów. Rodzina „reprivatyzatorów” zdobyła w końcu prawa do nieruchomości przy ul. Królewskiej. Długo się nimi nie nacieszyła, bo o odzyskanie działki zaczął walczyć też Andrew Mossin – syn jednego ze spadkobierców, który odmówił Andrzejowi M. sprzedaży praw do spadku. Gdy dowiedział się, że nieruchomość została już przejęta, a jej właścicielem jest Maksymilian M., syn „reprivatyzatora” Macieja M., podniósł alarm. Samorządowe Kolegium Odwoławcze unieważniło przekazanie majątku.

Jak twierdzą nasi informatorzy, za swoją część spadku i pomoc w procedurze Andrzej K. miał otrzymać ok. 200 tys. euro.

URZĘDNIKI I GRUBA RYBA

Przed ostatnimi ujęciami funkcjonariusze CBA zatrzymali w sprawie reprivatyzacji już wiele osób. W styczniu pięć, a w lutym trzy. Wśród nich byli: urzędnik ze stołecznego ratusza, prawnik, były zastępca dyrektora Biura Gospodarki Nieruchomościami Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy i dwie inne osoby

przejmujących nielegalnie kamienice w stolicy i usuwających stamtąd dotychczasowych lokatorów. Jednak kilka grupbych ryb funkcjonuje nadal – zauważa.

Zarzuty usłyszeli też Andrzej K., były wiceszef Kancelarii Prezydenta Lecha Wałęsy, oraz Maksymilian M., syn biznesmena Macieja M. Obaj pozostają na wolności. – Maksymilian M. występuje w wielu procesach reprivatyzacyjnych, ale można przyjąć, że odgrywał rolę usługową dla swojego ojca. Był po prostu jego „słupem” – twierdzi nasz informator z organów ścigania.

Z kolei Andrzej K., dawny współpracownik Lecha Wałęsy, usłyszał zarzut popełnienia jednego oszustwa znacznej wartości. Śledztwo w jego sprawie

z tego biura pracujące w jednostkach samorządowych Warszawy. Postawiono im zarzuty m.in. oszukania spadkobierców polskiego generała Tadeusza Kasprzyckiego, którzy stracili przeszło 27 mln zł; udzielenia i przyjęcia korzyści majątkowej w wysokości 2,5 mln zł; podrobienia dokumentu pełnomocnictwa i posłużenia się nim w postępowaniu spadkowym przed sądem w Warszawie.

Funkcjonariusze Biura zaczęli też kontrolę sprzedaży zabytkowej części parku Skaryszewskiego w Warszawie przez spółkę Miejskie Przedsiębiorstwo Realizacji Inwestycji kierowaną przez urzędników Hanny Gronkiewicz-Waltz. Chodzi o zbycie działki o powierzchni blisko 5,5 tys. mkw. z niskimi budynkami o łącznej powierzchni ponad 1,4 tys. mkw. Przy okazji funkcjonariusze zamierzają skontrolować także inne prywatyzacje przeprowadzane przez tę miejską firmę.

W czerwcu mają się rozpocząć prace komisji weryfikacyjnej.

Hanna Gronkiewicz-Waltz już zapowiedziała, że się przed nią nie stawi

Odkupił prawo do roszczeń od spadkobierców za ok. 50 zł, a następnie zażądał od miasta 5 mln zł odszkodowania za wieloletnie wykorzystywanie budynku. To on także w kontrowersyjnych okolicznościach przejął warszawską kamienicę przy ul. Nabelaka. Przeciw tej „reprzywatyzacji” protestowała Jolanta Brzeska, aktywizując środowiska lokatorów i organizując liczne akcje społeczne. (Jej spalone ciało znaleziono w Lesie Kabackim w marcu 2011 r. Śledztwo umorzono. Dopiero niedawno dzięki decyzji ministra sprawiedliwości

spółek przez rzekomych spadkobierców ich dawnych właścicieli. Tak reanimowane spółki domagają się potem zwrotu nieruchomości należących przed wojną do firmy. Jak wynika z komunikatu Prokuratury Krajowej, od 1 stycznia 2016 r. do 31 grudnia 2016 r. we wszystkich prokuraturach regionalnych w odniesieniu do spółek zawiązanych przed 1 września 1939 r. prowadzono łącznie 105 spraw z udziałem prokuratora.

– Przy okazji śledztw związanych z reprzywatyzacją warszawską pojawiły się zawiadomienia dotyczące podobnych oszustw dokonywanych w innych miastach Polski, np. Łodzi i Krakowie – powiedział w Polskim Radiu 24 prokurator krajowy Bogdan Święczkowski. Dodał, że skala ewentualnych nieprawidłowości jest trudna do oszacowania. – Nie chcę określać skali finansowej, ale w moim przekonaniu są to olbrzymie sumy pieniędzy przekraczające setki milionów złotych, jeżeli nie miliardy. Jednak oczywiście w tej chwili nie mamy określonych żadnych kwot, nie mamy określonych wartości tych nieruchomości – mówił Święczkowski.

RUSZA KOMISJA WERYFIKACYJNA

W czerwcu ma się rozpocząć praca powołanej przez Sejm komisji weryfikacyjnej, która będzie sprawdzać prawidłowość procesów prywatyzacyjnych w Warszawie. Jak informowało Radio RMF FM, pierwszą rozpatrywaną sprawą będzie reprzywatyzacja działki przy ul. Narbutta 60. Akt notarialny dotyczący tej działki został prawdopodobnie podpisany przez notariusza, który nie istniał. Mimo to w 2014 r. Jerzy M., zastępca dyrektora stołecznego Biura Gospodarki Nieruchomościami, podpisał decyzję o zwrocie tej nieruchomości. CBA zatrzymało go w lutym.

Tymczasem choć komisja nie rozpoczęła jeszcze pracy, napotyka opór. Prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz zapowiedziała, że nie uznaje jej za „konstytucyjną” i nie zamierza się przed nią stawić ani tym bardziej złożyć zeznań. – Jeżeli pani prezydent uzna, że nie będzie odpowiadała przed tymi organami państwa, to wtedy prokurator będzie musiał dokonać oceny, czy to zachowanie nie wyczerpuje czasem przestępstwa z art. 231 Kodeksu karnego – ostrzegł prokurator krajowy Bogdan Święczkowski.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Prokurator krajowy Bogdan Święczkowski uważa, że skala nieprawidłowości przy reprzywatyzacjach jest trudna do oszacowania. Na zdjęciu: z ministrem Zbigniewem Ziobrą. FOT. HUBERT MATHIS/REPORTER

Dla lokatorów miejskich kamienic, które w ostatnich latach padły łupem handlarzy nieruchomości, ważniejsze zapewne będzie to, że CBA coraz intensywniej analizuje „reprzywatyzacje” tych kamienic, które ostatecznie znalazły się w rękach znanego antykwariusza Marka M. Słynął on z odkupywania za niewielkie pieniądze praw do kamienic, a następnie obciążania dotychczasowych lokatorów wysokimi kwotami z tytułu „bezprawnego korzystania z nieruchomości”. Tak postąpił m.in. w przypadku kamienicy przy ul. Hożej 25 w Warszawie.

Zbigniewa Ziobry prokuratura ponownie podjęła śledztwo w sprawie jej zamordowania).

Marek M. w ubiegłym roku został oskarżony o wprowadzenie sądu w błąd i próbę wyłudzenia prawa do zarządzania budynkiem przy ul. Targowej 66 w Warszawie. Z informacji „Do Rzeczy” wynika, że niebawem reprzywatyzacyjny antykwariusz może usłyszeć kolejne, znacznie poważniejsze zarzuty.

Prokuratura sprawdza też prawidłowość reaktywowania przedwojennych



**Z wiceministrem Tomaszem Szatkowskim,
podsekretarzem stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej
rozmawia Maciej Pieczyński**

Polska będzie fortecą

MACIEJ PIECZYŃSKI: We wtorek MON oficjalnie ogłosi nowy Strategiczny Przegląd Obrony. Czym będzie się różnił od poprzednich tego typu dokumentów?

TOMASZ SZATKOWSKI: Podstawowa różnica to punkt wyjścia. Wcześniej jako dogmat przyjmowano politycznie poprawne założenie, zgodnie z którym nie grozi nam poważne zagrożenie militarne. Według ustnych relacji dopiero grupa amerykańskich ekspertów z wynajętej firmy konsultingowej nakłoniła kierownictwo jednego z wcześniejszych przeglądów, aby do zestawu przeprowadzanych przez nich scenariuszy dołączyć sytuację obrony terytorium Polski, podczas gdy nasi specjaliści woleli analizować... wyprawę polskiej misji pokojowej na Cejlon. To oderwanie od rzeczywistości w kręgach elit kierowniczych i dowódczych pokutuje u nas od czasów Układu Warszawskiego.

Grozi nam konwencjonalna agresja?

Nie możemy tego wykluczać. Tak naprawdę od 2000 r. trwa proces odbudowy rosyjskiej potęgi militarnej, który bardzo przyspieszył w ostatnich latach. W efekcie – o ile wcześniej optymistycznie zakładano, że o ewentualnej agresji rosyjskiej dowiedzielibyśmy się z wielomiesięcznym bądź nawet wieloletnim wyprzedzeniem, o tyle teraz takie zagrożenie może powstać w ciągu kilku dni, najdalej tygodni. Polska może być celem ubocznym konfrontacji Rosji z częścią Zachodu. Oczywiście taką ewentualność znacznie zmniejsza

nasz ubiegłoroczny sukces, w którym MON grało bardzo ważną rolę – decyzja o istotnej obecności jednostek pod sztandarem USA oraz NATO. My jednak nie możemy sobie pozwolić na spoczęcie na laurach i konstatację, że te decyzje wystarczą i na wieczne czasy rozwiążą nasze problemy bezpieczeństwa. Priorytetami ministra Macierewicza są dwie kwestie. Pierwsza i najważniejsza to stworzenie własnego skutecznego potencjału odstraszającego – zgodnie z rzymską zasadą si vis pacem, para bellum. Dopiero druga, choć też niezwykle ważna, to kwestia sojuszniczych gwarancji. Miałem zaszczyt brać istotny udział w pracach na obu tych kierunkach. Tak się chronologiczniełożyło, że najpierw udało się dokonać fundamentalnej zmiany w postaci istotnej, odstraszającej obecności naszych sojuszników w Polsce. Dzięki temu mamy czas i sposobność budować własny potencjał, z czego nikt nas przecież nie zwolnił.

Wracając do SPO: w jaki sposób ten dokument może wpłynąć na nasze bezpieczeństwo i zwiększenie naszego potencjału obronnego?

Mimo że składające się na SPO analizy krytycznie odnoszą się do zastanego przez nas stanu obronności, to jednocześnie rysująca się perspektywa pozwala założyć, że Polska będzie mogła nie tylko bardzo skutecznie się bronić, lecz także pomóc sojusznikom, jeśli zajdzie taka potrzeba. Jeśli nie zboczymy z przewidzianej w SPO linii – sprawnego wydatkowania na efektywne, precyzyjnie wskazane

zdolności, a nie na efektowne fanaberie – to jeszcze przed horyzontem SPO, czyli 2032 r., zwiększymy nasz potencjał na tyle, że agresor raczej wyłamie sobie zęby, niż nas połknie. Prawdziwym efektem będzie jednak odstraszanie ewentualnych agresywnych planów. Mając świadomość ryzyka swych strat, ewentualny agresor przeliczy koszty agresji i dojdzie do wniosku, że to się zwyczajnie nie opłaca.

Jakie konkretnie założenia SPO mogą sprawić, że obronimy się przed Rosją?

Już Clausewitz zauważył, że najmocniejszym sposobem prowadzenia walki jest obrona. Atakujący zawsze musi się poruszać, co już czyni go bardziej wrażliwym na przeciwdziałanie broniącego się. Broniący tymczasem może wykorzystać znajomość i przygotowanie terenu. Dlatego, zgodnie z założeniami SPO, postawimy na umacnianie potencjału defensywnego. Będziemy budować tzw. kompleks antydostępowy. Podobnie jak Rosjanie w obwodzie kaliningradzkim czy Chińczycy nad zachodnim Pacyfikiem postawimy na zintegrowany system obronny, na który złożą się: przygotowanie operacyjne terenu (włączając w to minowanie), obrona powietrzna, zintegrowane rażenie oparte na walce elektronicznej i cyberoperacjach, precyzyjna artyleria, środki przeciwpancerne i rakiety ziemia-ziemia oraz ziemia-woda. Słowem – wszystko, co uniemożliwi potencjalnemu przeciwnikowi swobodne poruszanie się po naszym terytorium. Nie ma sensu przygotowywać się do działań stricte zaczepnych, bo te spowodowałyby znacznie większe straty. Nie oznacza to jednak, że pod naszym parasolem antydostępowym nie będziemy się przeciwnikowi skutecznie odgryzać, jeśli zajdzie taka potrzeba. W realizacji takiej strategii pomoże nam to, że opisane wyżej środki są z reguły znacznie tańsze od środków ofensywnych.

Co więc kupimy? Co zbudujemy? Co zorganizujemy konkretnie?

Nasze środowisko walki jest skupione na lądzie. Powstanie czwarta dywizja, zwiększymy potencjał wojsk operacyjnych, które w połączonym działaniu z Obroną Terytorialną będą w stanie nasycić teren powiązanymi systemami ogniowymi. Wielokrotnie zwiększymy potencjał rażenia, dzięki dużym inwestycjom w artylerię lufową, raketową, oddziaływanie elektroniczne, przez co przeciwnik będzie skutecznie niszczone i związany już od

■ momentu wkroczenia do Polski przez odpowiednio przygotowane oddziały korzystające z bardzo dużego wsparcia wojsk inżynieryjnych. Te z kolei będą znacznie trudniejszym celem ze względu na to, że zainwestujemy w nowy system maskowania operacyjnego i taktycznego. Ponadto zależy nam na zwiększeniu floty okrętów podwodnych i rakietowych oraz minowych systemów obrony Wybrzeża. Nie mamy szans panować na pełnym morzu, ale możemy z niego zrobić strefę śmierci – uniemożliwić desant przeciwnika i jego panowanie na sąsiadujących z nami akwenach. Siłę rażenia wzmocnią dodatkowo śmigłowce szturmowe i autonomiczne systemy uderzeniowe. Zwiększymy także potencjał Sił Powietrznych – zakładamy nie tylko kompleksową naziemną obronę powietrzną, lecz także wymianę generacyjną i pewne zwiększenie liczby samolotów bojowych. Sama siła ognia oczywiście nie wystarczy, bo przecież trzeba jeszcze wiedzieć, gdzie jest nieprzyjaciel, dlatego zainwestujemy w środki rozpoznania i łączności niepodatne na zakłócenia. Poprzednia władza zredukowała oddziały rozpoznania na poziomie dywizji, pozbawiając niejako jednostki liniowe „oczu i uszu”. My je odbudujemy na każdym szczeblu. W działaniach połączonych z sojusznikami stworzymy taki potencjał obronny, że Polska stanie się fortecą, realnym zwornikiem całej wschodniej flanki NATO, umożliwiającym w razie potrzeby skuteczny manewr sił sojuszniczych.

Tylko czy na pewno nas na to wszystko stać? Rząd prowadzi hojną politykę socjalną...

Wydatki zaplanowane w SPO mieszczą się w ramach przewidzianych w Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Ponadto ten przegląd, znów w odróżnieniu od poprzednich, jest bardzo dokładnie zbudżetowany. Jest to postęp, ponieważ wcześniej strategię dla wojska były tworzone bez realnego kosztorysu. Według wyliczeń NIK poprzedni plan modernizacji technicznej był przynajmniej dwukrotnie

niedoszacowany. Resort wydający dziesiątki miliardów złotych powinien działać jak sprawne przedsiębiorstwo, w którym kluczową sprawą jest rzetelne wyliczenie kosztów i zestawienie ich z planowanymi efektami. Około 2012 r. wycofano utrzymywany fasadowo amerykański system, implementowany w ramach wejścia do NATO, który miał dawać taką wiedzę. Oddzielnym skandalem jest to, że nie mieliśmy kodów źródłowych ani nie weryfikowaliśmy założeń tego systemu, ale wygląda na to, że naszych poprzedników ta kwestia w ogóle nie interesowała, a może w ogóle o tym nie wiedzieli. Tę smutną prawdę odkrył jeden z ostatnich raportów NIK, po czym kierownictwo Izby zdecydowało o jego najdalej idącym utajnieniu. W ostatnich dniach kilku generałów rezerwy czy w stanie spoczynku krytykuje nas za rzekomy brak profesjonalizmu, a ja pytam, czy profesjonalne było, gdy akceptowali nowomowę jako podstawę naszej strategii, czy gdy w oparciu o dane z sufitu planowano rozwój naszych wojsk i ich użycie, gdy rozmontowywano dywizje jako prawdziwe związki bojowe lub likwidowano system uzupełniania rezerw osobowych. Być może zresztą ci fachowcy tak naprawdę nie mają o tym pojęcia. Bo i skąd? Takie zagadnienia jak organizacja wojsk były wykładane po polsku ostatnio w 1946 r. w Edynburgu. Katedrę Sztuki Operacyjnej na AON zlikwidowano na początku tego wieku, a jej brak niestety jest widoczny w przygotowaniu części wyższej kadry – wychowanków tych gwiazd Twittera czy „Kropki nad i”. W ramach SPO musieliśmy z pomocą ekspertów zewnętrznych i znanych mi z „wcześniejszego zawodowego życia” genialnych pasjonatów od podstaw stworzyć zręby systemu analiz operacyjnych. Jest jednak światło w tunelu – wielu oficerów średniego szczebla czeka tylko na warunki do uwolnienia ich energii. Wielokrotnie w ramach SPO

wykazali się inicjatywą, tworząc np. bardzo ciekawy system budżetowania rozwoju naszych wojsk.

Co w tym aspekcie zmienia nowe SPO?

Tak jak powiedziałem – działaliśmy bardzo metodycznie i jednocześnie rewolucyjnie. W oparciu o wypracowane i zbudżetowane moduły przeprowadziliśmy sporo wieloszczeblowych symulacji i gier wojennych, wykorzystując różne narzędzia, zakładając zróżnicowane scenariusze, zderzając nasz realny potencjał w różnych konfiguracjach i w oparciu o różne plany operacyjne z potencjałem przeciwnika. Uwzględnialiśmy przy tym czasem bardzo szczegółowe pytania badawcze, np. czy w walce z czołgami bardziej skuteczne w stosunku do kosztu są haubice z amunicją przeciwpancerną działające przy wsparciu dronów, śmigłowce szturmowe, czy może inne czołgi. Ile potencjału potrzeba do obrony Wybrzeża? Przeprowadzone symulacje dały zresztą bardzo ciekawe i rewolucyjne wnioski nie tylko dla planowanych zdolności, lecz także założeń doktryny użycia wojsk i planów operacyjnych użycia sił zbrojnych. Do testowania zagadnień związanych ze zdolnościami wykorzystaliśmy także największe od lat i pierwsze realistycznie przeprowadzone ćwiczenia dowódczo-sztabowe, których celem była weryfikacja założeń systemu kierowania oraz dowodzenia, który jest integralną częścią SPO.

Czy wcześniej nie organizowano takich ćwiczeń?

W poprzednich latach sztabowe gry wojenne miały wymiar jednostronny. Przypominały raczej odgórnie przygotowany spektakl teatralny niż starcie planów, strategii i zasobów. Uczestnicy takich „gier wojennych” znali



dobrze scenariusze, wiedzieli cały czas, jakie są zamierzenia „drugiej strony”. Co więcej, zdarzało się, że takie ćwiczenia były po prostu reżyserowane, np. dopiero dnia X wróg mógł dojść do punktu Y, a dopiero dnia Z do Warszawy. Nie było żadnego elementu zaskoczenia. Co umożliwiało taką sytuację? Brak rzeczywistej cywilnej kontroli nad siłami zbrojnymi, do której potrzebne są determinacja i kompetencja. Minister Macierewicz wsparł mój pomysł, aby ćwiczenie „Zima 2017” po raz pierwszy po 1989 r. mogło sprawdzić nie tylko założenia przygotowywanej reformy systemu dowodzenia, lecz także aby kierownictwo cywilne resortu mogło bezpośrednio przetestować przygotowanie naszych sztabów i procedur do prowadzenia realistycznej operacji obronnej. Tym razem gotowe schematy działania okazały się nieprzydatne, a wcześniejsze, nigdy nietestowane założenia – nietrafne.

Wojskowi musieli radzić sobie z podejmowaniem decyzji w zmieniających się sytuacjach i poddani byli presji realistycznej oraz kreatywnie działającego zespołu „czerwonych”. Okazało się to niełatwym zadaniem, które odśloniło wiele prawd o naszym potencjale obronnym. Diagnoza była niezwykle potrzebna, aby realnie usprawnić nasz system dowodzenia, przygotowania sztabowców i potwierdzić wnioski SPO dotyczące zdolności obronnych. Bez tego rodzaju przedsięwzięcia nie byłoby to możliwe. Tego typu ćwiczenia z udziałem kierownictwa resortu muszą się stać stałą praktyką MON. Co istotne, tylko determinacja ministra Macierewicza umożliwiła to



Tomasz Szatkowski – prawnik, ukończył m.in. kurs polityki wywiadowczej (King's College w Londynie) oraz kurs programowania polityki obronnej i zarządzania strategicznego (brytyjska Akademia Obrony – Shrivenham). Był m.in. doradcą koordynatora ds. służb specjalnych Zbigniewa Wassermannna w rządzie PiS oraz prezesem think tanku Narodowe Centrum Studiów Strategicznych.

beprecedensowe przedsięwzięcie. „System” usiłował się bronić przed realnym testem do ostatniej chwili...

Platforma szermowała hasłami o unowocześnianiu armii...

Modne było, szczególnie na początku rządów poprzedniej koalicji, werbalne naśladowanie wszystkiego tego, co usłyszano na Zachodzie, ale niekoniecznie były to najświeższe i najbardziej pasujące do naszych realiów teorie. Dlatego w dokumentach strategicznych z tamtego okresu czytamy głównie o takich zagrożeniach jak terroryzm, ekstremizm, zmiany klimatu czy utrudniony dostęp do zasobów naturalnych. W Wizji Sił Zbrojnych z maja 2008 r. firmowanej przez ministra Klichy, a przygotowanej przez jednego z aktualnych krytyków „niszczenia armii przez Macierewicza”, wprost marginalizowano zagrożenie jakimkolwiek konfliktem militarnym w naszym sąsiedztwie

– działo się to dwa miesiące przed wojną w Gruzji. Trzy lata później zaktualizowano SPO, ale dalej ignorowano potencjalne niebezpieczeństwo ze Wschodu.

Pan też podjął współpracę z amerykańskimi ekspertami...

Rzeczywiście, w przygotowaniu SPO bardzo pomocne były moje wcześniejsze kontakty z ekspertami amerykańskimi, brytyjskimi czy holenderskimi. Mam tu jednak na myśli prawdziwych liderów myśli strategicznej, a nie specjalistów od lansowania sloganów. Podjęliśmy wymianę intelektualną z zespołem legendarnego gen. McMastera – ówczesnego dyrektora w TRA-

DOC – mózgu US Army, obecnego doradcy prezydenta Trumpa ds. bezpieczeństwa, którą kontynuowaliśmy w ramach SPO, tak samo jak formalną współpracę z podobnymi centrami u naszych innych sojuszników. Proces SPO daje nam szansę na współkształtowanie kierunków w strategii militarnej w NATO. Już teraz postrzegani jesteśmy jako jeden z liderów reformy strategii odstraszenia. Nasz program strategicznych „gier wojennych” stawia nas w czołówce tego trendu, który został odnowiony w ostatnim czasie w Pentagonie przez zastępcę sekretarza obrony Roberta Worka i wiąże się z zainteresowaniem innych sojuszników czerpania z naszych osiągnięć.

Jakie są koszty SPO?

Całościowy budżet to 700 tys. zł, ale wydamy niewiele więcej niż połowę tego. Dla porównania – pierwszy SPO zrealizowano za blisko milion złotych. Do 2030 r. chcemy zwiększyć wydatki na obronność do 2,5 proc. PKB. Koszt wszystkich inwestycji, które zamierzamy zrealizować w ramach SPO, to około pół biliona złotych, przez najbliższe 15 lat. Te wydatki planujemy oczywiście realizować w taki sposób, aby stanowiły istotny bodziec rozwojowy dla naszej gospodarki. Chcę podkreślić, że opracowanie i implementacja SPO to wysiłek zespołowy. Nie mogłoby się odbyć bez woli i wsparcia ministra Macierewicza, bez fantastycznej pracy urzędników, żołnierzy. Konkluzja SPO łączy się z pracami wiceministra Kownackiego nad stworzeniem Narodowej Polityki Zbrojeniowej, pracami wiceministra Dworczyka i dyrektora kadr Petermana nad systemem szkolenia i rezerw osobowych, pracami wiceministra Fałkowskiego nad odnowieniem wojskowego szkolnictwa wyższego i wojskowej służby medycznej oraz wreszcie wysiłkami wiceministra Grabskiego związanymi z odbudową infrastruktury i logistyki.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone





Piotr Gursztyn

Kanał przez Mierzę Wiślaną nie jest ekstrawagancją. To rozwiązanie, które jest racjonalne i było planowane od stuleci

W długi majowy weekend w jednym z centralnych punktów Krynicy Morskiej turystów witał duży baner z napisem: „Krynica Morska nie dla przekopu”. Aby w taki dzień dojechać do tego nadmorskiego kurortu, rzeczywiście trzeba wleć się w sznurku samochodów wolno sunących jedyną wąską szosą. Wniosek stąd, że mieszkańcy może mają rację – kanał żeglowny Bałtyk–Zalew Wiśłany odetnie ich od „kontynentu” i pozbawi źródła utrzymania, jakim są turyści.

Na miejscu jednak się okazało, że w Krynicy – jednej z najbogatszych polskich gmin – nie wszędzie można płacić kartą. Bankomat jest tylko jeden i akurat się zepsuł. A na wielkim parkingu za postój można płacić tylko gotówką. W takim momencie przychodzi złośliwa myśl, że Krynica może uchronić się przed spadkiem liczby turystów w prosty sposób. Zadbać o to, aby było kilka czynnych bankomatów, a nie uprawiać pazerną i rabunkową gospodarkę wobec turystów, z których część prędko już tam nie pojedzie. W 2017 r. bankomat nie jest już luksusem.

Ta obserwacja towarzyszyła mi, gdy czytałem tekst Stefana Sękowskiego o przekopie Mierzei Wiślanej („Do Rzeczy” 19/2017). Tekst coraz rzadziej spotykany w polskich mediach, bo uczciwie przedstawiający argumenty za i przeciw. Na samym jednak początku autor zadaje pytanie o zaplanowany kanał: „Co zrobić, by nie stał się tylko kosztownym pomnikiem władzy?”. Moja odpowiedź jest krótka: nic. Przekop nie jest bowiem projektem kosztownym, wręcz jest bardzo tani. W planie jego budowa ma kosztować 880 mln zł. Dla porównania – tyle kosztuje wzniesienie, bez gruntu, wieżowca w Warszawie. Albo tyle samo kosztuje 15 km obwodnicy Olsztyna lub jeszcze krótsza trasa w Gdyni zwana czerwoną drogą.

DLA KOGO?

Zresztą nie jest pewne, czy kanał powstanie. W lutym aż 401 posłów zagłoso-

Musimy mieć kanał



Czy „dobro” 1,3 tys. mieszkańców Krynicy Morskiej można przeciwstawiać interesowi okolicznych miast lub kraju? FOT. TOMASZ WASZCZUK/PAP

wało za projektem budowy, przeciw było tylko dziewięciu, a 18 wstrzymało się od głosowania. Może jednak się zdarzyć, że Komisja Europejska zakwestionuje z jakiegoś – tzw. środowiskowego – powodu budowę. Wtedy przeżyjemy powtórkę Rospudy. Media totalnej opozycji znów odkryją w sobie miłość do przyrody i w kółko będziemy wysłuchiwać dramatycznych wypowiedzi sympatycznych brodatych ekologów oraz zrozpaczonych wizją nędzy mieszkańców Krynicy. Wtedy warto sobie przypomnieć, że „dobro” 1,3 tys. mieszkańców Krynicy będzie przeciwstawione dobru 121 tys. mieszkańców Elbląga, a także Tolkmicka, Fromborka, Braniewa, gdzie również są porty. Zresztą sama Krynica ma przystań jedynie od strony Zalewu Wiślanego. Dzięki kanałowi uzyska połączenie z pełnym morzem.

Stawiane jest pytanie: A dla kogo ten kanał? Jak już wspomniano, Elbląg to miasto 120-tysięczne. W elbląskich stocznich „za Niemca” wodowano okręty wielkości niszczycieli i lekkich krążowników. Cały obecny ciężki przemysł Elbląga to dziecko tamtych czasów. Fabryki będące spadkobiercą PRL-owskich zakładów Zamech (wcześniej stocznia Schichaua) produkują gigantyczne turbiny okrętowe i energetyczne. Ich wyroby są tak wielkie, że nie można przewozić ich kolejną ani tym bardziej samochodami. Przewozi się je barkami śródlądowymi do Gdańska, skomplikowaną trasą przez Szkarpawę i Wisłę, gdzie muszą długo stać, czekając na otwarcie kolejnych śluz.

Kanał będzie jednak służył nie tylko Elblągowi. Wspomniane porty nad Zalewem Wiślanym są niewielkie, ale dziś całkiem puste. Tam nie ma tyłu żagli co na Mazurach, mimo że akwen jest bardziej atrakcyjny. Lokalna żegluga pasażerska ogranicza się do kilku stateczków. Jeszcze ważniejsze jest to, że „hinterlandem” Elbląga i Zalewu Wiślanego jest całe województwo warmińsko-mazurskie, liczące 1,5 mln mieszkańców i obciążone smutnym rekordem pod względem wysokości bezrobocia.

I tu pojawia się kontrargument: Po co, skoro niedaleko jest Gdańsk? To argumentacja wywodząca się z mentalności, która wytworzyła niesławny „dyfuzyjno-polaryzacyjny” model rozwoju kraju. Czyli ładujemy pieniądze w największe ośrodki, które i tak mają większe szanse na rozwój, a reszta...

A resztę się zaorze, bo przecież zwoleńnicy tej egoistycznej darwinowskiej koncepcji nie mają żadnej oferty dla regionów słabiej rozwiniętych.

Taki ton pojawił się także w tekście Sękowskiego, który napisał, że nie potrzebujemy kolejnego portu, bo mamy już cztery. Rzecz w tym, że mamy już ten piąty port. W Elblągu są nadbrzeża, bocznice, cała infrastruktura. Tyle że stoi niewykorzystana, budząc frustrację miejscowych, którzy dzisiejsze obrazy porównują z przedwojennymi zdjęciami zapchanego statkami portu. Jeśli spojrzymy na mapę Niemiec z początku XX w., to według tego myślenia los pokarał ich katastrofalną sytuacją. Mieli bowiem za dużo portów na Bałtyku. Klajpeda, Królewiec, Elbląg, Gdańsk, Szczecin, Rostock, Lubeka, Kilonia, nie licząc dziesiątków portów średniej i mniejszej wielkości. Wystarczy pojechać do któregoś z tych miast i popatrzeć na ocalałą zabudowę, by stwierdzić, że jakoś dawałi sobie radę z tym „nieszczęściem”.

Z tego właśnie powodu – znaczenia Elbląga, a wcześniej także Braniewa – co rusz pojawiały się koncepcje przecięcia Mierzei Wiślanej jeszcze jedną cieśniną. Tak by nie trzeba było pływać

niezamieszkaną pas wydmy i tylko jedna mała osada – Piaski, zwane też Nową Karczmą.

EKOARGUMENTACJA

Ekolodzy wskazują na zagrożenia. Przykładowo takie, że nowy wlew wody do zalewu zmieni warunki ekologiczne i że dostaną się tam gatunki inwazyjne. Zapominają, że mierzeja jeszcze kilkaset lat temu była ciągiem wysp. Dzisiaj zaś jedyne połączenie, Cieśnina Piławska, zostało pogłębione i poszerzone przez Rosjan na potrzeby ich marynarki wojennej do szerokości ponad 700 m. Co sztorm wlewają się przez nie gigantyczne masy wody. I nie ma tam żadnej śluzy, w odróżnieniu od projektu polskiego, który przewiduje jej budowę.

Następny argument ekologów dotyczy tego, że przerwanie Mierzei Wiślanej, jako piaszczystego pasa wydmy, doprowadzi do wypłukiwania piasku po wschodniej stronie kanału i związanej z tym niebezpiecznej erozji. To prawda, że jest takie ryzyko. Tyle że można się przed tym zabezpieczyć, bo Mierzeja Wiślana jest przzerwana już w trzech miejscach. Laicy sądzą, że zaczyna się w Kątach Rybackich, czyli tam, gdzie mapa pokazuje, iż kończą

Mając sąsiada tak nieprzewidywalnego i nieracjonalnego jak Rosja, nie mamy innego wyjścia, jak tylko budować kanał

naokoło do Cieśniny Piławskiej (dziś na terenie Rosji). Pierwsze pomysły przekopu pojawiły się z inicjatywy króla Stefana Batorego. Potem ponawiano je w czasach królów z dynastii Wazów oraz w epoce porzoborowej. W okresie międzywojennym Niemcy, mimo że nie mieli sytuacji takiej jak my, czyli Cieśnina Piławska nie była zablokowana przez obce państwo, też chcieli przekopywać mierzeję. Ciekawostką jest to, że łączyli to z planem osuszenia zalewu i zamienienia go w poldery takie same, jakie są tuż obok na Żuławach. Elbląg i inne porty nad zalewem miały być połączone siecią kanałów żeglownych. W niemieckim planie przekop miał być wykonany na wschód od Krynicy. Dzisiaj planowany jest na zachód od miasteczka, z czego biorą się obawy mieszkańców związane z utrudnieniami komunikacyjnymi. Może wrócić do niemieckiego pomysłu? Na wschód od Krynicy ciągnie się długi

się Żuławy. W istocie zaczyna się ona już w okolicach Westerplatte w Gdańsku. Pierwsza przerwa w jej ciągu to wynik działania natury. W 1840 r. z powodu zatoru lodowego wody Wisły przerwały wydmy i utworzyły istniejące do dziś ujście zwane Wisłą Śmiałą. 50 lat później Prusacy, by uchronić Żuławy przed ciągłymi powodziąmi, przebili tzw. Przekop Wisły pod Mikoszewem. Trzeci przerwa to oczywiście Cieśnina Piławska, bo mierzeja ciągnie się jeszcze kilkanaście kilometrów dalej na północny wschód.

Mając sąsiada tak nieprzewidywalnego i nieracjonalnego jak Rosja, nie mamy innego wyjścia, jak tylko budować kanał. Prawo międzynarodowe w kwestii tranzytu przez cieśninę jest po naszej stronie. Rosja jednak, na złość wszystkim, woli odmrozić sobie uszy. Mogłaby bowiem zarobić na tranzycie, ale jedynym komunikatem z tamtej strony jest tradycyjne już „nie lizia”.



Andrzej Krzystyniak

Śląsk dawno przestał być terenem pogranicza, a mimo to niektórzy z uporem chcą wskrzeszać jego „wielokulturowość”

Obszar pogranicza zazwyczaj bywa obszarem styku wielu kultur czy narodowości. Z tego powodu często nazywany jest „wielokulturowym”. Bogaty w mozaikę zwyczajów wydaje się o wiele ciekawszy niż obszar „jednorodny” pod względem kulturowym. Wielokulturowe obszary pogranicza były, a często jeszcze są, terytoriami krwawych konfliktów między kłócącymi się o nie narodami, państwami czy organizacjami. To, co dla owych obszarów było na przestrzeni wielu lat niebywałym bogactwem, czyli owa wielokulturowość, nierzadko stawało się swoistym krwawym przekleństwem, wieloletnim konfliktem.

Takim obszarem na pewno był Górny Śląsk. Jego położenie na styku kilku państw i kultur, ukryte na jego terenie bogactwa naturalne, które przyciągały uwagę państw, sprawiały, że stawał się on powodem sporów. Śląsk dawno przestał już być geograficznie, a i w dużej mierze kulturowo, obszarem pogranicza. Natomiast z wielokulturowością, usilnie wskrzeszaną przez niektórych, ma już niewiele wspólnego.

KULTUROWO OBCY?

Dzisiaj ci, którzy podkreślają odrębność Śląska od Polski, przypominają o aspektach mających rzekomo świadczyć o tym, że jest on kulturowo obcy Polsce. Śląsk, podzielony między Polskę a Niemcy po 1922 r., stawał się później areną bezpardonowej walki, niszczenia owej wielokulturowości przez niemieckich nazistów. Dla przypomnienia w noc kryształową na Śląsku spłonęło 80 synagog podpalonych przez niemieckich nazistów, a był to ledwie prolog tego, co miało nastąpić później – eskalacji mordów ludności polskiej i czyszczenia obszaru ze wszystkiego, co nie było niemieckie.

W wielu wspomnieniach mieszkańców Śląska z czasów władzy nazistów w Niemczech przebiegała pozytywna



Upiór wielokulturowości

opinia o sprawowaniu przez nich rządów: „Stosunek mego otoczenia do faszystowskiej polityki był typowy, jak u większości niemieckiego społeczeństwa. Początkowo ludzie byli zadowoleni z wodza, bo dał im pracę, wprowadził ład i porządek, no i roztaczał przed rodakami nadzieję na szczęśliwą przy-

szłość” (ten cytat i kolejne pochodzą z pracy Zbigniewa Kurcza „Mniejszość niemiecka w Polsce”, Wrocław 1995).

Obraz końca wielokulturowego pogranicza znajdujemy we wspomnieniach jednego z mieszkańców, który tak oto mówi o sytuacji zaraz po wkroczeniu Niemców: „Zapanował chaos, nie było



FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

nia polskości, mordowania polskich elit. Okres od września 1939 do lutego 1940 r. to zaś próby intensywnego „oczyszczania” polskiego Śląska z Polaków mogących zagrozić niemieckiemu panowaniu. To również wysiedlenie ok. 50 tys. Polaków. To „akcja antyinteligentka”, podczas której zamordowano ponad 2 tys. Ślązaków – przedstawicieli elity intelektualnej, byłych powstańców śląskich, dziennikarzy, polityków.

CZAS PRZESIEDLEŃ

Po przegranej przez Niemców wojnie, wkroczeniu Armii Czerwonej i zainstalowaniu w Polsce reżimu komunistycznego było jasne, że nie jest możliwe wspólne zamieszkanie wielu narodowości na jednym obszarze, a zwłaszcza Polaków i Niemców. Śląsk przestawał być rejonem pogranicza. Następował czas przesiedleń. Warto zwrócić uwagę, że los przesiedlonych z obszaru Śląska Niemców nie był najlepszy. Rodacy traktowali ich często gorzej niż Polacy. Zastanawiające jest więc to, że dotąd jeszcze nikt nie pokusił się o włączenie ich losów na obszarze Niemiec po przesiedleniu do tzw. tragedii górnośląskiej.

Tak wspominał jeden z przesiedlonych: „Przybyliśmy do Górnej Bawarii i tam rozpoczęło się nasze ciężkie życie. Było ono pełne kłopotów i trosk. Skończyła się wojna, ale my, Górnoślązacy, byliśmy źle traktowani przez Górnoślązaków. Miejscowość nazywała się Loleberg, leżała w powiecie Kotzingen, niedaleko czeskiej granicy. Ja jeszcze pamiętam, jak nas wyzywano. Nie mieliśmy co jeść. Chodziliśmy po ludziach i prosiliśmy o kawałek chleba. Zostałem zmuszony do tej żebraniny. Wyzywano nas od świńskich uciekinierów i za pomocą innych obraźliwych słów. A chodziło tylko o kawałek chleba”.

Po wojnie nikt nie myślał, że Polacy i Niemcy będą mogli jeszcze kiedykolwiek współistnieć pokojowo na jednym obszarze. Edmund Osmańczyk dosyć stanowczo i radykalnie określał konieczność rozdzielenia Niemców od Polaków, wskazując na niemożliwość wzajemnego pokojowego współżycia katów i ofiar: „Trzeba skończyć z tym wrzodem niemieckim, radykalnie wyciąć go, usunąć go. Polacy mają prawo do tego, żeby nie mieszkać obok swoich katów”. Nie był to głos odosobniony, po latach okupacji, mordów i grabieży wielu nie wyobrażało sobie wspólne-

go współżycia obu narodowości obok siebie.

Wysiedlenia Niemców bardzo często przybierały charakter selektywny, a obejmowały osoby związane z aparatem nazistowskim, nie zawsze były prowadzone „na ślepo”: „Z mojej wsi wysiedlono pewnej nocy wszystkich mieszkańców, którzy należeli do SA lub w okresie hitlerowskim zmienili nazwiska polskie na niemieckie. Wysiedlenie odbyło się szybko i nie można było zabrać całego dobytku”.

Po zakończeniu wojny warunki, jakie panowały w obozach jenieckich, przetrzymywanym tam żołnierzom niemieckim wydawały się wręcz luksusowe w porównaniu z tym, w jaki sposób traktowali np. jeńców sowieckich. Oto wspomnienia byłego żołnierza SS służącego na obszarze Rosji, po wojnie umieszczonego w obozie jenieckim na obszarze Polski: „Z jednej tej miski zupy można było zrobić sto porcji dla niewolników w Rosji i jeszcze byłaby gęsta jak tamta, i chleb – bochenek dwukilowy na pięciu, to znaczy, że głodu śmiertelnego już nie było”.

KŁOPOTLIWY PROCES

Dlaczego po ponad 70 latach od zakończenia wojny wielu usilnie dziś pragnie wskrzesić już dawno zamordowanego ducha „wielokulturowości” pogranicza Śląska? Albo co najmniej obarczyć winą za jego zniszczenie Polskę, która objęła we władanie Śląsk po 1945 r.? Otóż dla Polski jest to proces niezwykle kłopotliwy. Nie dość, że polonizację Śląska po wojnie przeprowadzali komuniści, to jeszcze czynili to w sposób dosyć niezręczny. Udowadniając odwiecznie polski charakter Śląska, na pewno działali w interesie Polaków (choć jednocześnie mordowali w kazarach najlepszych synów ojczyzny).

Od kilkunastu co najmniej lat trwa trend odwrotny – zdzieranie warstwy polskości zwłaszcza na Ziemiach Odzyskanych w imię przywracania „wielokulturowości” lub „decentralizacji”. Są to szczególnie niebezpieczne zjawiska, które w przyszłości mogą doprowadzić do dziwacznych i groźnych dla państwa polskiego procesów kwestionowania przynależności jednej trzeciej obszaru Polski. Wskrzeszony duch „wielokulturowości” może okazać się dla Polski koszmarnym upiorem, z którym trudno będzie się uporać. © Wszelkie prawa zastrzeżone

władzy, która stworzyłaby jakiś hamulec dla tych dołów społecznych o nastawieniu niemieckim, które wyżywały się w rozlewaniu krwi często bezmyślnym. Rozwydrzone bandy mordowały bez litości, załatwiając osobiste porachunki, właśnie sąsiedzkie lub kierując się zawiścią, aby tylko żądzą krwi zaspokoić i wykazać triumf Niemiec”.

Tak zakończyło się bezpowrotnie w miarę bezkonfliktowe współżycie mieszkańców różnych kultur. Owa harmonia wspólnego życia miała już nigdy nie powrócić. Inną sprawą jest, że dzisiejsi piewcy wielokulturowości wrzesień roku 1939 starają się wymazać z historii tych ziem, jakby nie pasował do swoistych nowych puzzli historycznych. Mordy popełniane od pierwszych godzin wojny miały być skierowane nie na Ślązaków, lecz Polaków, którzy – nie wiedząc czemu – zapragnęli bronić swej ojczyzny przed niemiecką armią złą. Czas okupacji to czas wymazywa-

ŁUKASZ ZBORALSKI: Czy pan się czuje nacjonalistą?

KRZYSZTOF BOSAK: Jestem rzymskim katolikiem i narodowcem z ponadstuletniej tradycji polskiego ruchu narodowego. Zgodnie z uczciwą klasyfikacją myśli polityczna polskiego obozu narodowego należy do szerokiego zbioru różnych nacjonalizmów. Nie widzę więc powodu ani możliwości, by się od tego terminu odcinać. Byłoby to hipokryzją i zaprzeczaniem aktualnemu stanowi badań akademickich z zakresu historii doktryn politycznych.

W niedawnym liście Konferencji Episkopatu Polski o „chrześcijańskim kształcie patriotyzmu” biskupi przeciwstawili nacjonalizm patriotyzmowi. Uznali go za coś złego...

To publicystyczne ujęcie, kontrastujące z tym znanym z nauczania społecznego Prymasa Tysiąclecia, który zachęcał: „Działajcie w duchu zdrowego nacjonalizmu. Nie szowinizmu, ale właśnie zdrowego nacjonalizmu, to jest umiłowania narodu i służby jemu”. Utożsamienie terminu „nacjonalizm” z jakąś konkretną skrajną ideologią czy zredukowanie go do egoizmu i szowinizmu to schemat myślowy charakterystyczny dla środowisk liberalnych. W rzeczywistości patriotyzm i nacjonalizm polskiego ruchu narodowego nie tylko nie są przeciwstawne, lecz także w naszej historii były i są komplementarne.

Hierarchowie widzą to inaczej. Podkreślają, że patriotyzm to dbanie o wspólnotę, ale i otwartość na innych ludzi. A jeśli innych postrzegam jako gorszych, obcych, to jest to już właśnie nacjonalizm.

To smutne, że osoby redagujące ów dokument nie zadbały o właściwą precyzję pojęciową w tej ważnej i delikatnej kwestii. Autorzy posłużyli się negatywnym stereotypem nacjonalizmu, wzmacniając go niepotrzebnie. Otwartość bywa pożyteczna, ale jej absolutyzowanie prowadzi do niechrześcijańskiej utopii tzw. społeczeństwa otwartego, głoszonej kiedyś przez Karla Poppera, a dziś przez George’a Sorosa. Tymczasem katechizm poucza nas, że „od każdego domaga się roztropności, a szczególnie od tych, którym zostało powierzone sprawowanie władzy”. To dotyczy także polityki imigracyjnej i otwierania granic.

Biskupi zwracają uwagę, że strzeżenie granic niesie niebezpieczeństwo postrzegania innych jako gorszych.

Takie konkretne słowa w dokumencie nie padają. Są natomiast przestrogi



Z Krzysztofem Bosakiem, wiceprezesem Ruchu Narodowego rozmawia Łukasz Zboralski



Nacjonalizm to nie szowinizm

przed pogardą, nienawiścią, ideologicznymi uproszczeniami, przemocą jednych narodów nad innymi i egoizmem. Z tym wszystkim jako katolik i narodek nie mogę się nie zgodzić.

Katolicki nacjonalizm – dla pana w tym sprzeczności nie ma?

Wielu niezorientowanych widzi w tym terminie sprzeczność, a tymczasem jest on dobrze znany badaczom nacjonalizmu. Polecam np. pracę prof. Grotta z UJ pt. „Dylematy polskiego nacjonalizmu”. Działaczami ruchu narodowego było wielu duchownych katolickich. Warto przypomnieć członka Komitetu Narodo-



FOT. STEFAN MAZEMSKI/REPORTER

przyjmująca interes narodowy i podmiotowość państwa narodowego, ale zarazem dokonująca samoograniczenia w działaniu zasadami etyki katolickiej. Jest to także doktryna w sposobie rozumienia tego, czym jest interes narodowy, kierująca się tradycyjną katolicką nauką społeczną o dobru wspólnym.

Czyli w skrócie – Bóg ponad interesem narodowym. Czy bliźni rozumiany po chrześcijańsku też jest ponad interesem narodowym w nacjonalizmie?

Dylemat ten wyjaśnia katolicka zasada porządku miłości. Jak uczył nas prymas Wyszyński, „ład w miłowaniu – ordo caritatis – wymaga, aby człowiek, który staje na czele jakiejś grupy społecznej i przyjmuje na siebie odpowiedzialność za nią, pamiętał najpierw o obowiązkach wobec dzieci swego narodu, a dopiero w miarę zaspokajania i nasycania najpilniejszych, podstawowych potrzeb własnych obywateli, rozszerzał dążenie do niesienia pomocy na inne ludy i narody, na całą rodzinę ludzką”. Ta zasada pozwala nam właściwie zróżnicować podejście do naszych rodaków i reszty ludzkości.

A może łatwo przekroczyć cienką granicę i zacząć postpowować innych, którzy nie należą do naszej wspólnoty?

We wszystkich ideach politycznych istnieje ryzyko, że się przedobrzy. Gdy się przesadza w walce z nadmiarem regulacji, można popaść w liberalizm; z troską o biednych można przesadzić i popaść w socjalizm; można też – źle rozumiejąc miłość do narodu – popaść w szowinizm lub rasizm. Takie ryzyko było i będzie. Pytanie tylko: Jakie mamy z tego wyciągnąć wnioski? Uważamy, że właśnie dlatego nasze działanie musimy opierać na nauce katolickiej. Czyli nigdy nie kierować się nienawiścią do innych grup czy narodów, a zawsze miłością do Boga i swojego narodu. Miłość bowiem jest konstruktywna. Ten moralny bezpiecznik wbudowany w polski ruch narodowy jest wystarczający i pokazała to dobrze postawa polskich narodowców podczas II wojny światowej. Polska doktryna narodowa zdała historyczny egzamin moralny.

Znów rozumie pan chyba inaczej niż biskupi. Oni w liście podkreślali piękno epoki jagiellońskiej, gdy naszą wspólnotę tworzyło wielu ludzi – także tych innych kultur i wyznań: prawosławni, Żydzi, muzułmanie...

Rzeczywistość społeczna i kulturalna Polski przedzobiorowej jest naszym dziedzictwem historycznym, ale dziś żyjemy w zupełnie innym państwie: mniej, w zasadzie jednowyznaniowym i jednonarodowym. Żyjemy w Europie, która uległa głębokiej laicyzacji, a w tej chwili ulega depopulacji i postępującej islamizacji. Musimy myśleć, jak dbać o dobro naszego narodu oraz Kościoła tu i teraz. To jest kontekst, w którym żyjemy, a nie ciekawostki ideowo-polityczne sprzed 200 czy 300 lat. Na marginesie dodam, że utożsamianie uporządkowanego pluralizmu dawnej Rzeczypospolitej z chaosem zachodniego multikulturalizmu jest całkowitym nieporozumieniem. W Rzeczypospolitej było nie do pomyślenia atakowanie kultury wiodącej i panującej religii. A Zachód dziś popadł w dekadencję i nihilizm.

Biskupi wskazują, że patriotyzm ma łączyć, a nie poprzez upolitycznienie powodować podziały.

Oczywiście patriotyzm powinien budować wspólnotę narodową i w tym sensie powinien łączyć Polaków, nie dzielić. Natomiast w mojej opinii istotnym i pominiętym wątkiem jest w tym kontekście problem samej demokracji. Święty Tomasz z Akwinu w traktacie „O królowaniu” zauważył, że ustroj inny niż monarchia prowadzi do niezgody pomiędzy obywatelami. Jak możemy zaobserwować, w demokracji niezgoda została zinstytucjonalizowana i podniesiona do rangi głównej osi ustroju państwa. Walcząc o władzę, partie muszą bazować na niezadowoleniu i stereotypach, wygrywać przeciw sobie negatywne emocje społeczne, a prawda w tej walce staje się funkcją nastrojów, sondaży i przedmiotem głosowań. Politycy, którzy chcą być skuteczni w grze demokratycznej, stają przed iście szatańskimi dylematami. Młodzi narodowcy dobrze to rozumieją i stąd ich sceptycyzm względem obowiązującego dziś w Europie bałwochwalczego kultu tzw. liberalnej demokracji. W swoim ostatnim dokumencie Episkopat Polski nie dotyka tych kwestii. Katechizm jednak jasno stwierdza, że „różne ustroje polityczne są moralnie dopuszczalne”, czego nie wszyscy katolicy dziś mają świadomość. To władza, a nie demokracja, pochodzi od Boga.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Krzysztof Bosak – były poseł Ligi Polskich Rodzin i były prezes Młodzieży Wszechpolskiej, współorganizator Marszów Niepodległości, wiceprezes partii Ruch Narodowy.

wego Polskiego ks. Marcelgo Godlewskiego, pośła endeckiego ks. Kazimierza Lutostawskiego, pośła bp. Józefa Teodorowicza, pośła ks. Marcelgo Nowakowskiego czy kapelana NSZ ks. prof. Jana Salamuchę. Nacjonalizm chrześcijański to doktryna polskiego ruchu narodowego, za swój główny punkt odniesienia

Klara Lewandowska, córka Anny i Roberta Lewandowskich, przyszła na świat 4 maja. Poinformował o tym sam dumny tata. Na facebookowym profilu zamieścił zdjęcie, na którym trzyma zawiniętą w kocyk córkę. „Dzisiaj zostaliśmy szczęśliwymi rodzicami Klary! Dziękuję mojej dzielnej żonie Anna Lewandowska za wytrwałość!” – napisał. I choć na zdjęciu ledwie można było dostrzec czubek głowy dziewczynki, to i tak były to jedno z najbardziej medialnych narodzin, jakie do tej pory widziała Polska. – Pojawienie się na świecie dzieci sportowców znanych w skali globalnej zawsze wzbudza duże zainteresowanie. Wystarczy przypomnieć narodziny dzieci Shakiry i piłkarza FC Barcelony – Gerarda Piquégo – czy pojawianie się na świecie kolejnych potomków Beckhamów. O nich też rozpisywały się tabloidy, plotkarskie portale, śledzili ich paparazzi. Tak musiało być także w przypadku Lewandowskich. W naszym rodzinnym sporcie to pierwsza para, którą można nazwać mianem polskich Beckhamów – mówi Jarosław Stróżyk z Polsatsport.pl.

EKSCYTUJĄCA ZMIANA PIELUCHY

Lewy udzielił na razie wywiadu telewizji internetowej Bayernu Monachium. Dziękował za życzenia i pochwalił się tym, że zmienił już pieluchy. – Tak, zrobiłem to! To coś zupełnie normalnego dla młodych rodziców. Jestem tym wszystkim naprawdę podekscytowany. To coś totalnie nowego i bardzo wyjątkowego – stwierdził.

Wielu fanów czeka na rodzinną sesję dla któregoś kolorowego pisma, ale Lewandowscy już w sprawie ciąży byli dość dyskretni. Przez pięć miesięcy udało im się utrzymać ją w tajemnicy. Dopiero w grudniu ubiegłego roku, podczas meczu Bayernu Monachium, Lewy ogłosił światu, że spodziewają się dziecka. Wtedy też ruszyła medialna machina. Tabloidy i plotkarskie portale analizowały zdjęcia, które na swojej stronie publikowała Lewandowska, spekulowały na temat płci dziecka i tego, czy przyjdzie na świat w polskim szpitalu czy w niemieckiej klinice. Media obieły także zdjęcia ze zorganizowanego przez przyjaciółki Lewandowskiej przyjęcia baby shower – popularnej głównie wśród celebrytów imprezy, którą organizuje się przyszłym mamom tuż przed narodzinami maleństwa.

Kiedy najpierw Robert, a potem Anna zamieścili na swoich profilach zdjęcia z zawiniętą w kocyk Klarą, ruszyły

Bardzo medialne narodziny



Agnieszka Niewińska

Chociaż Klara, córka Anny i Roberta Lewandowskich, ma dopiero kilkanaście dni, to już cieszy się dużą popularnością. Czy słynnym rodzicom uda się obronić córkę przed presją fanów i mediów?



FOT. IMAGO/GET NEWS

spekulacje innego typu. Specjaliści od przepowiedni zaczęli oceniać wybór imienia, układać horoskop Klary, wróżyć dziewczynce sukcesy. Na antenie TVN24 genetyk prof. Ewa Bartnik objaśniała zagadnienia dziedziczenia konkretnych cech po rodzicach i wyjaśniała, jakie jest prawdopodobieństwo, że mała Klara pójdzie w ślady rodziców i zajmie się zawodowo sportem. Warto przypomnieć, że zanim rozwinęła się kariera Roberta Lewandowskiego, Anna odnosiła sukcesy w karate. Ma na koncie sześć medali mistrzostw Europy i trzy medale mistrzostw świata.

– Dzieci tych najbardziej znanych na świecie sportowców są w bardzo trudnym położeniu. Oczekiwania wobec nich są ogromne. Media zastanawiają się, czy odniosą sukcesy porównywalne z tymi, które mają na koncie ich rodzice. Mówi się o pójsciu w ich ślady, o genetycznych predyspozycjach. Często to presja, stałe porównywanie z rodzicami i życie pod okiem mediów sprawia, że nie udaje im się odnieść sukcesu w sporcie – mówi Stróżyk. I dodaje, że przykładem takiego sportowca jest Edinho Cholbi Nascimento – najstarszy syn bodaj najśłynniejszego brazylijskiego piłkarza – Pelégo. Jego pełne imię i nazwisko niewiele mówi nawet samym Brazylijczykom, którzy nazywali go po prostu synem Pelégo. Edinho rozpoczął piłkarską karierę w tym samym co ojciec klubie Santos, ale nie odniósł wielkich sukcesów. Cieniem na jego sportowej aktywności położyła się zarówno legenda Pelégo, jak i narkotyki. Nie tylko je zażywał, lecz także wszedł w narkotykowe biznesy. Kilka razy wywinął się wymiarowi sprawiedliwości – raz, gdy pędząc samochodem, śmiertelnie potrącił motocyklistę, kolejny – gdy policja zrobiła obławę na handlarzy narkotyków i zatrzymała m.in. Edinho. Kiedy rozkręcał kolejny narkotykowy interes, został ponownie złapany przez policję. W lutym tego roku sąd w São Paulo skazał go na 12 lat i 10 miesięcy pozbawienia wolności, a i tak kara jest dość łagodna, bo groziły mu aż 33 lata więzienia.

Drugi z synów Pelégo, urodzony w 1996 r. Joshua Nascimento, także nie zrobił wielkiej kariery piłkarskiej. Tak jak starszy brat zaczynał grę w Santos, choć stronił od porównań z ojcem i nie chciał nosić koszulki z jego numerem. W wielkim futbolu kariery nie zrobił, dziś figuruje jako zawodnik Tampa Spartans, drużyny uniwersytetu w Tampie na Florydzie.

Topowym sportowcem nie zostało żadne z gromadki dzieci Diego Maradony –

legendy argentyńskiej piłki. W swoim kraju najbardziej znane są jego córki. 30-letnia Dalma Maradona jest aktorką i piosenkarką. Debiutowała w wieku dziewięciu lat w serii dla młodzieży „Cebollitas” opowiadającej o graczach dziecięcego klubu piłkarskiego. Grywała w serialach, ale wystąpiła także na dużym ekranie. Druga z córek Maradony, Gianinna, to celebrytka goszcząca często na łamach plotkarskich



portali i tabloidów. Media nieustannie ekscytują się jej konfliktami z byłym już mężem Sergio Agüero, piłkarzem Manchester City, i kolejnymi związkami.

Stróżyk zaznacza jednak, że nie brakuje też pozytywnych przykładów dziedziczenia sportowej pasji. Z włoskim Milanem związane są trzy pokolenia Maldinich. – Cesare Maldini odnosił z Milanem wielkie sukcesy, ale jego syn Paulo okazał się jeszcze większym piłkarzem niż ojciec – mówi Stróżyk. W Milanie grał też przez pewien czas 20-letni dziś wnuk Cesarego – Christian. W ślady ojca poszło też czterech synów Zinédine’a Zidane’a – legendy francuskiej piłki. Dopiero są na starcie swoich karier. Wartość najstarszego z nich – 22 letniego Enzo – to dziś 750 tys. euro (Lewandowski wyceniany jest na 80 mln euro).

O znaczeniu genów w sporcie rozpisywali się francuzi po tym, jak na igrzyskach w Rio de Janeiro złoty medal w konnych drużynowych skokach przez przeszkody zdobył Philippe Rozier. To drugi złoty medal w jego rodzinie. 40 lat wcześniej złoty krążek z olimpiady w Montrealu przywiózł jego ojciec, Marcel. Zdobył go w tej samej konkurencji. Na igrzyskach w Rio w jednej dyscyplinie wystąpiła także matka z synem. Grzuję w strzelectwie reprezentowali 47-letnia Nino Salukwadze, trzykrotna medalistka igrzysk olimpijskich, i jej 18-letni syn Cotne Maczawariani. Był to pierwszy taki przypadek w historii igrzysk.

Dziedziczenia sportowej pasji nie brakuje także wśród naszych sportowców. – Choćby Wojciech Szczesny, dziś bramkarz AS Roma, a przedtem Arsenalu. Można nawet powiedzieć, że odniósł większy sukces sportowy niż jego ojciec Maciej Szczesny – bramkarz, reprezentant Polski, zawodnik najlepszych polskich klubów. Podobnie jest w przypadku Włodzimierza Smolarka i jego syna Euzebiusza Smolarka. Siatkarz Bartosz Kurek także pochodzi ze sportowej rodziny, jego ojciec był uznanym siatkarzem. W tej dyscyplinie jest zresztą więcej takich rodzin. Kiedy Małgorzata Niemczyk grała w reprezentacji Polski, trenerem był jej ojciec Andrzej Niemczyk. Marcin Gortat też pochodzi ze sportowej rodziny, jego ojciec Janusz był dwukrotnym medalistą olimpijskim w boksie. Ojciec Mirosława Klosego, słynnego piłkarza występującego w barwach Niemiec, był piłkarzem, mama piłkarką ręczną – wylicza Stróżyk. Jest zdania, że największe sukcesy w sporcie odnoszą dzieci sportowców średniej klasy. – Talent mają w genach, w domu panowała sportowa atmosfera, ale nie było tej presji i rozdętych oczekiwań. Dlatego tak ważne jest, by chronić prywatność dzieci, i wiele gwiazd sportu zaczyna to rozumieć.

JAK KATE I WILLIAM

Czy tak będzie również w przypadku Lewandowskich? – Do tej pory udawało im się utrzymać równowagę między odpowiadaniem na zainteresowanie fanów a zachowywaniem prywatności. W dość dyskretny sposób dzielą się w mediach społecznościowych swoim życiem. Przy zachowaniu odpowiednich proporcji w tej dziedzinie porównałabym ich nawet do brytyjskiej pary – księcia Williama i księżnej Kate. Wiedzą, że zainteresowanie nimi jest duże, więc publikują np. starannie wyselekcjonowane zdjęcia dzieci. Odpowiadają na zainteresowanie, ale jednocześnie nie sprzedają zbyt wiele z własnej prywatności – ocenia Joanna Gepfert, specjalistka w dziedzinie wizerunku. I dodaje, że dziś opinia publiczna oczekuje tego, by gwiazdy, nawet te największego formatu, stawały się nam bliskie, pokazywały choć kawałek życia prywatnego. – Chcemy ich widzieć jako tych, którzy tak jak my mają rodziny, podobne do nas codzienne problemy. Lewandowscy odpowiedzieli na zapotrzebowanie fanów, ogłosili narodziny dziecka, pokazali się z maleństwem, ale na dyskretnym zdjęciu. Widać, że zależy im na ochronie wizerunku dziecka.



Wiesław Chelminiak

To nie przypadek, że la pittura – malarstwo – w języku włoskim jest rodzaju żeńskiego. Bohaterkami dwóch najciekawszych wiosennych wystaw w Rzymie są kobiety

Papież Innocenty X miał powiedzieć, że Agostino Tassi to jedyny artysta, na którym się nie zawiodł – do końca życia pozostał takim samym łajdakiem, jakim był od początku. Istotnie, kryminalne dossier cenionego pejzażysty i dekoratora robi wrażenie. Siostra zarzucała mu utrzymywanie kazirodczych stosunków z własną matką. Agostino zaplanował też i opłacił zabójstwo żony, by bez przeszkód zażywać zakazanych rozkoszy ze szwagierką.

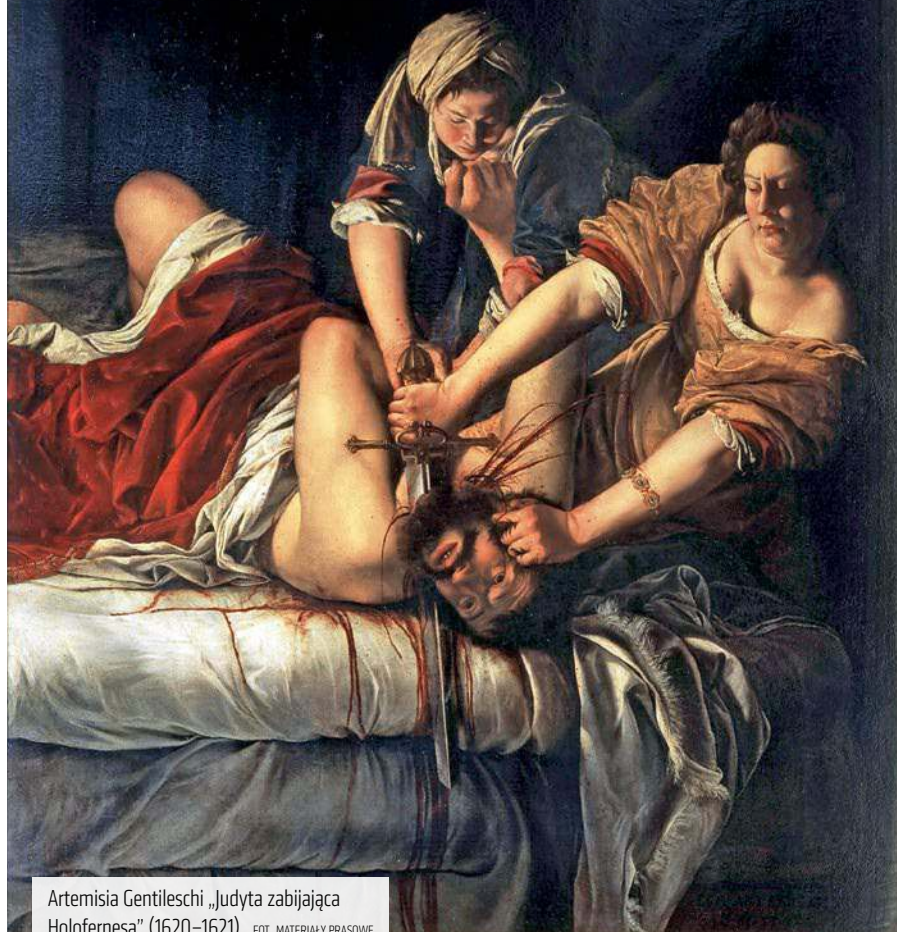
W owej epoce rzymscy wybrańcy muz notorycznie trafiali przed oblicze Temidy. Zaciągali długi, których nie raczyli spłacać, wywoływali burdy w karczmach i zamtużach oraz nosili ze sobą broń, choć było to zakazane. Rywalizowali też zaciekle o zamówienia. Orazio Gentileschi, twórca uduchowionych obrazów, zdaniem kolegi po fachu „zachowywał się bardziej jak bydlę niż człowiek”. Ze swym kamratem Caravagiem kolportowali plotki i wredne wierszyki o konkurentach, za co w końcu wsadzono ich do aresztu.

OFIARA PATRIARCHATU

O Tassim i jego bezeceństwach nikt by już dzisiaj nie pamiętał, gdyby nie sprawa Artemisii Gentileschi, córki wspomnianego Orazia. Wiosną 1611 r. Agostino, wykorzystując swój status przyjaciele domu, zgwałcił początkującą malarzkę. Ona miała wtedy lat 18, on – 34. Hultaj jeszcze przez kilka miesięcy obcował cielesnie z dziewczyną, mając ją obietnicą małżeństwa. Gentileschi, gdy się zorientował w sytuacji, poszedł prosto do sądu. Chodziło mu nie tyle o gwałt, ile o matrymonialne oszustwo. Miał też Tassiemu za złe kradzież z pracowni kilku obrazów.

Z zachowanych akt procesu wiemy, że świadkowie składali sprzeczne zeznania. Wiarygodność opowieści pokrzywdzonej badano, zginiatając jej

Mroki Italii, światła Paryża



Artemisia Gentileschi „Judyta zabijająca Holofernesa” (1620–1621) FOT. MATERIAŁY PRASOWE

kciuki. Wina Agostina nie była oczywista, więc sąd dał mu do wyboru: pięć lat galer lub wygnanie z Wiecznego Miasta. Wybrał banicję, z której rychło powrócił dzięki wsparciu możnych protektorów. Panna Gentileschi też miała dwie moż-

liwości, by wyjść ze skandalu z twarzą. Mogła wstąpić do klasztoru albo szybko wyjść za mąż. Życie zakonne jej nie pociągało, więc poślubiła pośledniego malarza z Florencji i na długich siedem lat zniknęła szydercom z oczu. Wróciła

nad Tyber już jako uznana, czyli godna szacunku, artystka.

Kto by pomyślał, że w przyszłości ów wstydlivy epizod stanie się kamieniem węgielnym pod budowę legendy Artemisii? Sławna za życia, później obsunęła się w hierarchii XVII-wiecznych malarzy na dość odległą pozycję jako przeciętnego talentu naśladowczyni Caravaggia. W górę wyniosła ją dopiero fala feministycznych rewindykacji. Któż lepiej nadaje się na symbol ofiary owdziecznej patriarchalnej opresji niż artystka, zniewolona przez innego artystę, której najlepsze płótna przypisywano jej ojcu? Mężczyźni odebrali utalentowanej rzymiance godność, obowiązkiem współczesnej krytyki oraz popkultury jest więc zadośćuczynić tej krzywdzie. Co też gorliwie robiono przez ostatnie lata. Echa tej kampanii dotarły również do Polski.

TEATR OKRUCIEŃSTWA

„Zbliżywszy się do łoża, ujęła go za włosy i rzekła: »Daj mi siłę w tym dniu, Panie, Boże Izraela!«. I uderzyła go dwukrotnie z całej siły w kark i odcięła głowę”. Ta scena z Księgi Judyty, uznanej za kanoniczną przez Sobór Trydencki, bardzo podobała się Włochom. Sztukę teatralną, sławiącą żydowską patriotkę, która wykorzystawszy słabość wodza Asyryjczyków do płci pięknej, pozbawiła go życia, wystawiano w Rzymie niemal przez cały wiek XVI. Na społeczne zamówienie odpowiedzieli również malarze. Zwykle uwieczniano chwilę po dekapitacji, gdy głowa nieszczęsnego Holoferesa, zawinięta w chustę, spoczywa już w koszu.

Caravaggio, jak zwykle przekorny, wybrał moment samego zabójstwa. Z szyi wodza tryska fontanna krwi, zaskoczony próbuje krzyczeć, zaciska dłoń na poście. Oto barokowe theatrum w pełnej krasie. Gdy Artemisia przeprowadzała się do Toskanii, mistrz już nie żył, lecz jego maniera wciąż była dla włoskich artystów najważniejszym punktem odniesienia. Wiedząc, że florenccy Medyceusze cenią dramatyczne efekty świetlne i soczystą kolorystykę, nie zastanawiała się długo nad wyborem tematu.

„Judyta zabijająca Holoferesa” otworzyła przed młodą malarką wrota do kariery. Nic dziwnego, to arcydzieło sadyzmu. Posoka strumieniami ścieka z łoża, oprawczyni rękę ma wprawną, minę zaś zawziętą. Pomaga jej służąca,

przytrzymując ręce walczącego o życie mężczyzny. Według Księgi Judyty Abra stała na czatach przed namiotem, lecz możliwość stworzenia kompozycji na planie trójkąta była zbyt dużą pokusą dla Caravaggia i jego naśladowczyni. Istnieją dwie, różniące się kolorami strojów, wersje obrazu. Pierwsza jest perłą zbiorów neapolitańskiego Museo di Capodimonte, druga pozostała we Florencji. W XVIII w. na życzenie wielkiej księżnej, która nie gustowała w makabrze, płótno przesunięto do najciemniejszego kąta Galerii Uffizi.

DUSZA W SERCU

Wystawę „Artemisia Gentileschi e il suo tempo” można uznać za próbę odeszcia od autobiograficznego odczytywania twórczości malarki, umieszczenia jej w szerszym kontekście. Co tu kryć, skazaną na porażkę. Teza, że młodzieńcza



trauma położyła się cieniem na życiu Artemisii, jest bowiem bardzo chwytliwa. Ludzie chcą widzieć w „Judytach” symboliczną egzekucję gwałticiela, w wizerunku zabójczyni dostrzec rysy artystki. Holofernes równa się Agostino Tassi i żadne dywagacje krytyków sztuki tego nie zmieniają. Zwiedzającym może co najwyżej dać do myślenia skrajny naturalizm i pornobrutalna tematyka dzieł barokowych artystów.

Mitologia i Stary Testament dawały wiele pretekstów do ukazania nagości i przemocy. Gdy Sisera, wróg Izraelitów, schronił się w namiocie Jaeli po

przegranej bitwie, gospodyni wbiła mu gwóźdź w głowę, gdy zasnął. Wymarzony temat dla donny Gentileschi, choć realizacja tym razem średnia. Wystawa w Palazzo Braschi to w ogóle istny pitał. Mamy tu: molestowanie (lubieżny satyr dobierający się do nimfy, starcy podglądający Zuzannę, żona Putyfara próbująca zbałamucić młodego Józefa), gwałt (porwanie Europy, Tarkwiniusz i Lukrecja, Danae i złoty deszcz, Leda z łabędziem), tortury (Apollo obdzierający ze skóry Marsjasza), kazirodztwo (Lot z córkami), samobójstwo (Kleopatra, Lukrecja) i dzieciobójstwo (Medea). Malarze nie musieli wyteżać wyobraźni. Za pontyfikatu Sykstusa V, który wydał wojnę bandytyzmowi, głowy skazańców wystawiono na moście św. Anioła. Dowcipkowano, że czasem jest ich więcej niż melonów na targu. Przy traktach Państwa Kościelnego można było spotkać szubienice z pościartowanymi ciałami rozbójników. Cały Rzym oglądał egzekucję ojcobójczyni Beatrice Cenci i jej rodziny.

Barok stawiał na piedestale kobiety heroiczne. „Odnaleźć można we mnie duszę Cezara zamkniętą w sercu kobiety” – chwaliła się Artemisia. Feministki przypisują jej niechęć do mężczyzn lub wręcz lesbijskie skłonności. Nie mogły one jednak być zbyt silne, skoro Gentileschi urodziła pięcioro dzieci i wdawała się w romanse. W Rzymie, ku wściekłości męża, jacyś Hiszpanie wygrywali serenady pod jej oknem. Niedawno odnaleziono listy malarki, których adresem był tokański arystokrata Francesco Maringhi, jak się okazuje – jej wieloletni kochanek. Z tej korespondencji wynika, że umiała twardo walczyć o własne interesy.

Kuratorzy wyświadczyli Artemisii niedźwiedzią przysługę, zestawiając jej obrazy z dziełami przyjaciół i rywali z Rzymu, Florencji oraz Neapolu (w którym osiadła na stałe, chociaż nie lubiła tego miasta). Znika gdzieś wyjątkowość. Widać za to wyraźne wahania formy oraz ewolucję stylu. Gdy tenebryzm wyszedł z mody, rozjaśniła paletę. Grała w tej samej artystycznej lidze co Carlo Saraceni, któremu przypięto łatkę „pierwszorzędnego malarza drugorzędnego”, czy Francesco Furini, który odłożył pędzle i został księdzem. Francuz Simon Vouet i Hiszpan Jusepe de Ribera byli zaś od niej zwyczajnie lepsi. Czyżby Gentileschi swą doczesną sławę zawdzięczała bardziej płci niż

umiejętnościom? Malarki widywało się bowiem wówczas rzadziej niż kobiety z brodą.

NIE ZAPOMNIJ KAPELUSZA!

Warto zajrzeć do Galleria Spada i obejrzyć „Madonnę z dzieciątkiem” oraz „Świętą Cecylię grającą na lutni” – dwa płótna z wczesnego, najlepszego okresu Artemisii. Można też odbyć nieco dalszy spacer na Piazza Venezia. Za fasadą monumentalnego Ołtarza Ojczyzny od marca króluje Giovanni Boldini, niegdysiejszy ulubieniec europejskich salonów, piewca belle époque. Dzisiaj pamiętają o nim już tylko rodacy. Urodzony i pochowany w Ferrarze, karierę zaczynał we Florencji. Związał się tam z ruchem Macchiaioli lansującym malarstwo plenerowe, lecz od początku ciągnęło go do wyższych sfer i bogatych wnętrz. A także do Paryża.

W 1867 r. wybrał się do stolicy Francji, zwiedził wystawę światową i doszedł do wniosku, że Italia to zabita dechami prowincja. Cztery lata później wynajął studio na Montmartrze, skąd napisał do kolegi, że Paryż jest miastem wręcz stworzonym dla artystów i nie brakuje w nim pracy ani rozrywek. Pod swoje skrzydła wziął Włocha wpływowego marszanda Adolphe Goupil, który sprzedawał też obrazy Chełmońskiego. Spod pędzla Boldiniego wychodziły urokliwe miejskie i podmiejskie pejzaże. Uwieczniał wnętrza kafejek, teatrów, kabaretów, opery oraz ich bywalców. Przyjaźnił się z impresjonistami, najbliżej z Degasem, który też wołał malować we wnętrzach. Razem wybrali się do Hiszpanii i Maroka.

Edgar żył ze spadku po ojcu – bankierze. Giovanni musiał szukać mecenasów. Dlatego na jego płótnach sprzedawców gazet, rybaków i praczek nad rzeką wkrótce zastąpili nobliwi panowie w cylindrach oraz damy w wytwornych sukniach. Zanim Boldini na stałe osiadł w Mieście Świateł, przez kilka miesięcy bawił w Londynie, gdzie naoglądał się XVII- i XVIII-wiecznych portretów non-szalanckich brytyjskich arystokratów. Czy już wtedy zaświtała mu myśl, że taka konwencja przypadłaby do gustu współczesnej śmietanie towarzyskiej? I że w podobny sposób można malować matki, żony i kochanki? Inaczej niż w czasach Artemisii Gentileschi artyści nie musieli już szukać religijnych i mitologicznych pretekstów, by sławić



Giovanni Boldini „Portret Donny Florio” (1924) FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Giovanni Boldini „Lady Colin Campbell” (1894) FOT. MATERIAŁY PRASOWE

kobietą urodę. Należało to jednak robić stylowo i z klasą. A tych cech Boldiniemu nie brakowało.

W życiu prywatnym artysty też zaszła znacząca zmiana. Po młodziutkiej Berthe jego żoną została hrabina Gabrielle de Rasty, która wprowadziła Giovanniego

w środowisko ludzi dobrze urodzonych i majątnych. Stał się częścią beau monde'u. Zachował się bilecik, w którym upominał jedną z klientek: „Perfidna Boska, nie zapomnij jutro białego kapelusza! Twój Boldini”. W wieku lat 86 wziął ślub z 30-letnią dziennikarką, która wcześniej zrobiła z nim wywiad.

ZIEŁONE OCZY

Ówczesni portreciści musieli zmagać się z coraz silniejszą konkurencją fotografów, ale Włoch dał radę. Patrząc na jego dzieła, łatwo zrozumieć dlaczego. Artysta schlebiał modelkom, choć nie zawsze musiał. Baronessa Franca Florio uważana była za jedną z najpiękniejszych kobiet Europy. Jej zielone oczy urzekły m.in. sławnego poetę d'Annunzia. Mąż, don Ignazio, nazywany „królem Sycylii”, był chorobliwie zazdrosny, choć sam miewał skoki w boki. Gdy donna Franca znalazła damską bieliznę w jego bagażu, obiecał, że za każdą zdradę będzie jej kupował jakąś błyskotkę. W ten sposób nabywała 30 kg biżuterii. Boldini specjalnie przyjechał do Palermo, by namalować piękną rodaczkę. Małżonek, ujrawszy rezultat – obnażone ramiona i nader swobodną pozę baronessy – zawrzał gniewem i oświadczył, że nie zapłaci. Malarz popętnił więc drugą, grzeczniejszą wersję, która zaginęła. Pierwsza po jego śmierci trafiła w ręce prywatne, podobnie zresztą jak większość obrazów z rzymskiej ekspozycji. Baron Florio na starość zbankrutował, jego żona zaś została pionierką operacji plastycznych.

Z londyńskiej National Gallery sprowadzono na wystawę portret innej kobiety fatalnej – lady Colin Campbell. Cała Europa pasjonowała się jej procesem rozwodowym ze szkodliwym lordem, który wymyślił sobie, że miała czterech kochanków. On sam, biorąc ślub, był zaawansowanym syfilitykiem, lecz wołał o tym nie wspominać. Pozując Boldiniemu Gertrude była już w separacji. Na jej twarzy widać satysfakcję, że zaczyna nowe życie. Wkrótce zdobyła rozgłos jako pisarka i dziennikarka. Do autora obrazu ustawiła się zaś kolejka dam, liczących na to, że unieśmiertelni ich łabędzie szyje oraz piękne stroje. I chyba się nie zawiodły. Kuratorzy rzymskiej wystawy pozwolili sobie na drobny żarcik, wieszając w przejściu lustro w starych ramach. Przystając przed nim panie mogą się przez chwilę poczuć jak modelki Boldiniego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LISICKIEGO



TYLKO U NAS!

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ O ZGUBNYM KULCIE MARSZAŁKA

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

HISTORIA
DO RZECZY



NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Jan Pisuliński – Zbrodnia „Wiśła” / Jakub Ostromecki – Zagadka śmierci Świerczewskiego / David M. Crowe – Prawdziwe oblicze Schindlera / Piotr Semka – Afera pułkownika Redla / Aleksander Podrabinek – Koszmar sowieckich psychuszek / Arkadiusz Karbowskiak – Łotysze w Waffen-SS / Łukasz Czarnecki – Historia harakiri

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl 6c26d81afd



Piotr Gociek

Miał być hollywoodzki film, będzie amerykański serial. Platforma Netflix i polskie studio Platige Image łączą siły, by przenieść na ekran sagę o Wiedźminie

Jakże długa była to droga. Kiedy pierwsze opowiadanie o wiedźminie Geralcie ukazało się w grudniu 1986 r. na łamach miesięcznika „Fantastyka”, wzbudziło uznanie spragnionych fantasy czytelników, ale sam autor był przekonany, że to jednorazowa przygoda. Myślał raczej o karierze tłumacza. Kiedy 17 maja 2017 r. amerykański serwis streamingowy Netflix poinformował, że wyprodukuje serial na podstawie sagi o Wiedźminie, najszybciej zareagowała warszawska Giełda Papierów Wartościowych, na której natychmiast w górę poszedł kurs akcji firmy Platige Image. I był to skok bajkowy: „W ciągu 20 minut skoczył z 40 do 50 zł. Jeszcze przed godziną 13 notowania sięgnęły 60,1 zł [komunikat Netflixu ogłoszono o 12.20 czasu polskiego – przyp. P.G.]. Ostatecznie, na zakończenie dnia, akcje Platige Image kosztowały 55 zł, najwięcej w historii” – wyliczał „Dziennik Gazeta Prawna”. Na tym nie koniec giełdowych emocji – właściciele i inwestorzy spółki CD Projekt także liczą na zyski: jeszcze większą sprzedaż gier komputerowych z serii „Wiedźmin”, o korzyściach czysto marketingowych nie wspominając.

Z PRL-owskiego getta miłośników fantastyki do globalnej ikony popkultury – takie historie po prostu się nie zdarzają. A jednak ta się wydarzy, bo właściwie dlaczego nie? Wiedźmin Geralt dojrzał do takiego sukcesu, a zaangażowanie tak dużego i znanego partnera jak Netflix sprawia, że szanse na powodzenie są ogromne.

MADE BY BĄGIŃSKI

„Andrzej Sapkowski będzie współpracował z twórcami serialu jako konsultant kreatywny” – poinformował Netflix. „Producentami wykonawczymi zostali Sean Daniel (cykl filmów „Mumia”, serial „The Expanse”) i Jason Brown („The Expanse”) partnerzy z firmy produkcyjnej Sean Daniel Company, a także Tomasz Bagiński (nominowany do Oscara za krótkometra-

Polska magia, polski miecz



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

zowy film animowany „Katedra”, nagrodzony BAFT-ą za „Sztukę spadania”, autor filmu „Ambicja”). Dodajmy, że Bagiński ma gwarancję reżyserowania przynajmniej jednego odcinka w każdym sezonie.

Pierwsze potwierdzone informacje o tym, że Bagiński ekranizuje prozę Sapkowskiego, pojawiły się w roku 2015. Starania o zainteresowanie „Wiedźminem” amerykańskich producentów były częścią szerszej batalii Tomasza Bagińskiego o zaistnienie w biznesie filmowym za oceanem. „Już dawno powinienem mieć za sobą fabularny debiut – mówił Bagiński w wywiadzie dla „Wyborczej” w grudniu 2015 r. – Gdybym przysiadł, skromny film o problemach rodzinnych w Słupsku mógłbym nakręcić już sześć lat temu. Ale zamarzyło mi się kino, które wymaga większego rozmachu. W dodatku wybrałem kruchą ścieżkę, bo chcę robić filmy na rynek międzynarodowy, ale mieszkać w Polsce” – dodawał.

Pytany wtedy o to, jak wyobraża sobie film, czy będzie się inspirował poprzednią ekranizacją „Wiedźmina” (serial i film kinowy z 2001 r.), czy może bardziej gramami (Bagiński współtworzył zwiastun gry „Wiedźmin 3: Dziki Gon”), reżyser odpowiadał: – Najważniejsze są opowiadania z tomu „Ostatnie życzenie”, głównie „Mniejsze zło” i „Wiedźmin”. Błędem byłoby zaczynanie od bitew na 100 tys. żołnierzy z piątego tomu sagi, najpierw trzeba wprowadzić do całego cyklu.

ZAMIANA FILMU NA SERIAL

Umowa z Netflixem nie oznacza, że tamto przedsięwzięcie trafia do kosza. Po prostu się przekształca. Formuła serialu, być może kilkusezonowego, otwiera przed twórcami zupełnie nowe perspektywy. „Doszliśmy do wniosku, że historie Sapkowskiego są zbyt duże, by można było je zmieścić w jednej krótkiej produkcji” – powiedział Bagiński kilka dni temu dziennikarce „Wyborczej”.

To prawda. Każdy, kto czytał wiedźmińskie opowieści Sapkowskiego (kilka-naście opowiadań, pięciotomowa saga plus jeszcze jedna powieść), ten wie, jak bardzo bogaty, skomplikowany i obfityjący w barwne postacie jest wykreowany przez niego świat. Zamiana filmu na serial jest najlepszą rzeczą, jaką mogła się przydarzyć temu projektowi. O ile oczywiście twórcy przedsięwzięcia zaufają oryginałowi i nie będą go dewastować z głupotą dorównującą tej, jaką wykazali autorzy adaptacji z roku 2001. To, co efektowne,

zostało wtedy wyrzucone z projektu, bo za drogie. A idiotyczne nowe wątki – dopisane. W tych nielicznych miejscach, gdzie ocalono oryginalne dialogi z Sapkowskiego, serial nabierał rumieńców. Tam, gdzie wygrywała samowolka adaptatorów, katastrofa była bolesna. Słyszałem z ust osób zaangażowanych w produkcję, że kiedy Lew Rywin (naonczas rekin polskiego kina) obejrzał pierwszą wersję filmu z Michałem Żebrowskim w roli głównej, z wściekłości zaczął rzucać krzesłami po salce projekcyjnej. Po latach widać, że z dzieła firmowanego przez Marka Brodzkiego (reżyseria) i Michała Szczerbica (scenariusz) obroniła się jedynie piosenka pt. „Nie pokonasz miłości” napisana przez Grzegorza Ciechowskiego i zaśpiewana przez Roberta Gawlińskiego.

Netflix, którego sztandarowymi projektami są takie serie jak „House of Cards”, „Narcos” czy „Stranger Things”, zapewni „Wiedźminowi” (czy raczej „Witcherowi” – bo pod takim mianem zna Gerta światowa publika) nie tylko odpowiedni budżet, lecz także dostęp do aktorów i reżyserów światowej klasy, przede wszystkim zaś dystrybucję na całym globie.

Nie będzie to żadna sensacja – taki styl działania wpisuje się w politykę działania amerykańskiego serwisu od dłuższego czasu. Polscy widzowie mogą oglądać wyprodukowane dla Netflixu serie brazylijskie i francuskie. Wśród filmów fabularnych znajdą m.in. produkcje południowokoreańskie. Dzięki ekspansji na mniejszych rynkach i agresywnej promocji Netflix daje drugie życie seriom oryginalnie skazywanym na żywot wyłącznie w małych kablowych stacjach tematycznych (takim jak „The Expanse”, ciekawy serial science fiction wyprodukowany przez SyFy, ale wypromowany przez Netflix).

Sukces serialowej wersji „Gry o tron” (HBO) udowodnił, że fantastyka przestała być biznesem dla wąskich grup fanów. We własne przedsięwzięcia tego typu inwestują kolejni potentaci. Amazon właśnie rozpoczął emisję serialu pt. „Amerykańscy bogowie” na podstawie prozy Neila Gaimana, wspomniany wcześniej serial Netflixu „Stranger Things” wskrzeszał ducha prozy Stephena Kinga i klimat rozrywki lat 80. Cykl o wiedźminie Geralcie, pogromcy potworów o szlachetnym sercu i nieugiętym sumieniu, może z powodzeniem stanąć obok tych propozycji. „Po modzie na norweskie kryminały może przyjść moda na polskie science fiction. Trochę słowiańskie, trochę inne, dziwne. Mamy unikatowe

krajobrazy, ale też stroje, estetykę, specyficzny design rodzący się na styku Zachodu ze Wschodem” – tłumaczył w 2015 r. na łamach „Wyborczej” Tomasz Bagiński.

ŚWIAT CENI KREATYWNÓŚĆ

Dodam, że niekoniecznie musi chodzić o fantastykę. Polscy twórcy z najrozmaitszych dziedzin popkultury lubią narzekać na globalizację, za której sprawą amerykańscy giganci podbijają kolejne rynki, ale nie zauważają, że można już działać także w drugą stronę. Największe anglosaskie wydawnictwa coraz częściej sięgają po autorów i książki spoza swojej strefy językowej. Każdy, kto ma do sprzedania oryginalny pomysł, ciekawego bohatera, nową fabułę, jest witany z otwartymi ramionami. O ile tylko jest w stanie odpowiednio sprawnie i zrozumiale opowiedzieć wymyśloną przez siebie historię.

Nie ma żadnego powodu, żeby do grona tych twórców nie dołączyli Polacy. Bariery są dwie – umiejętności oraz mentalna. Co do umiejętności, to proszę porównać, jak pisze Gillian Flynn czy Alex Marwood, a jak Katarzyna Bonda, i już będzie wiadomo, w czym problem. Jednak prostszego i lepszego pisania można się nauczyć. O ile tylko przełamiemy drugą barierę – mentalną. To znaczy, o ile zamiast myśleć jedynie o rynku polskim, zaczniemy myśleć o swoich książkach, filmach, serialach, komiksach, o naszych bohaterach i historiach w kontekście rynku światowego.

Sukces serialu „Wiedźmin” (czego gorąco życzę Andrzejowi Sapkowskiemu i Tomaszowi Bagińskiemu) może być przełomem. A ponieważ we współczesnej rozrywce technologie odgrywają coraz większą rolę, nie chodzi już tylko o proste życzenie „ach, żeby nas dostrzegali, przekładali i wydawali”. Gra toczy się o większą stawkę. „Polska ma kulturowy potencjał, by stać się zagłębiem kreatywnego biznesu. Musi tylko wypracować swój kulturotech, czyli splot produktów, usług i przeżyć wyrastających z kultury, technologii, nauki i sztuki – wraz z dopełniającymi je modelami biznesowymi” – pisali w styczniu 2017 r. na łamach „Pulsu Biznesu” Marcin Kobylecki i Łukasz Alwast, menedżerowie spółki Fish Ladder z grupy Platige Image. Ich manifest nosił tytuł „Kulturotech – eksportowa nowa nadzieja”. Mamy znakomitych programistów, genialnych grafików, świetnych reżyserów, rewelacyjnych autorów zdjęć, nietuzinkowych pisarzy. Najwyższy czas zrobić z tego bogactwa użytek.

Ostatni akord Klaty

Terminy konkursowych przesłuchań kandydatów na dyrektora krakowskiej sceny ułożyły się tak fatalnie, że reżyser miał cisnąć komisji w twarz sukces swej inscenizacji, wyrwany był z próby generalnej i swą kadencję musiał przedstawić bez końcowego akordu.

A akord to dość mocny, choć po Klatowemu plakatu, otoczony nieznośnymi publicystycznymi uproszczeniami, gdzie irytująca intelektualna pyszałkowatość gniewnego reżysera zagłusza często możliwe do wydobywania półtony, a momenty prawdziwego teatralnego czaru z trudem przebijają się do widza, zagłuszane przez hałaśliwe manifestacje młodzieżowego pseudobuntu, który stał się znakiem firmowym teatru Klaty.

Tym razem reżyser wziął do pomocy blackmetalowy śląski zespół o zapowiadającej nieźle emocje nazwie „Furia” i na kolumnach wzniesionych na obitej przemyślową czarną folią scenie umieścić czterech groteskowo wyglądających przejrzałych młodzieńców z trupio pomalowanymi twarzami: wzrok ponury, bladeść, czarne oczodoły. I otóż zespół ten, złożony z czterech obnażonych do pasa osobników, z ciałami w miarę szczupłymi, choć zdecydowanie nieufornymi na fit-siłkach, ze swoim ponurym trupim przekazem od razu narzucił interpretację bronowickiego wesela jako jakiegoś przerażającego straceńczego rytuału, podczas którego reprezentanci wszystkich stanów od początku wyzbyci nadziei, umęczeni, udręczeni celebrują swą niemoc, a jedyny wspólny czyn, na jaki ich stać, to transowe zarażone śmiercią płasy. Po otwierającym spektakl pytaniu Czepca: „Co tam panie w polityce?” i wybuchu szyderczego, pełnego rozpaczliwego śmiechu, doskonale komentującego rezultat konkursu o fotel dyrektora Starego Teatru, śmiechu, do którego dołącza się premierowa publiczność, rusza do boju zespół Furia i uczestnicy bronowickiej imprezy rzucają się w tany.

Trochę to za szybko, za pospiesznie rozstrzygać rezultat weselnych sporów w pierwszych minutach spektaklu, trochę za szokowe to rozpoczynanie od emocjonalnego w zasadzie finału, ale przecież Kłata lubi iść na skróty, upraszczać



Andrzej Horubała

W apogeum sporu o przyszłość Starego Teatru Jan Kłata wystawił „Wesele” Stanisława Wyspiańskiego



FOT. MAGDA RUCIEL

sprawę, złapać widza za pysk. Aktorzy raz zapamiętują się w tańcu, raz złowieszco zbliżają się do teatralnej widowni z trupio oświetlonymi natężonymi twarzami, rozczapierzając dłonie i tymi szponami chcąc porwać nas do swej skażonej śmiercią wspólnoty. Płask ten przypomina „Salto” Konwického sprzed pół wieku – skrzące się zresztą autoironią, której tu zdecydowa-

nie brakuje. Tego rodzaju otwarcie niweczy dramaturgię Wyspiańskiego, który rozwijał swą opowieść o złudnych nadziejach, o kabotynizmie swych najbliższych, który wychodząc od obyczajowej opowieści, coraz silniej odkrywał jej symboliczne znaczenie. Zaserwowanie przez Kłatę chocholego tańca na samym początku, destrukuje całe napięcie narodowej balangi. Dobitnie udowadnia to finał pozbawiony energii: ze spektaklu uchodzi powietrze i widać, że Kłacie po prostu brak konceptu na mocne domknięcie sztuki. Na razie jednak jest młodzieżowo i głośno (choć nie tak, jak można byłoby oczekiwać; obsługa wręczała nawet stopery do uszu). Kłata nie bawi się w niuanse: nie mogą znaleźć odpowiedniego klucza do „Wesela”, postanawia podbić rzecz dzikimi dźwiękami gitar.

Taki już jest: od dawna uważający, że rockowy kawałek lepiej podsumowuje spektakl niż jakieś tam nicowanie tekstu i subtelności, że teatralny teledysk to zwieńczenie teatralnej roboty.

Myślę sobie: gdyby Kłata zaprosił choćby uczestników projektu R.U.T.A., którzy wyśpiewali, wycharczeli, wyskandowali „pieśni chłopskiego buntu i niedoli”, gdyby od utworów etnofolkowych, z którymi lider tego projektu Maciej Szajkowski występował pod szyldem Kapeli ze Wsi Warszawa przeszedł do na nowo nagranych kawałków z czasów rabacji, to miałyby szansę na stworzenie jakiegoś dramatycznego napięcia: pieśni fascynujące miastowych, wciągające w folklorystyczne weselenie się, przeszłyby wraz z tonacją dramatu w żałośliwy a potem złowrogi i buntowniczy lament chłopstwa. Transowy folk przeistaczałby się w coraz bardziej hardcore’owe granie, a uczestnicy „Wesela” – w tańcu – zdaliby sobie sprawę, w jakim to obrzędzie uczestniczą.

BEZ SUBTELNOŚCI

Kłata jednak nie chce niuansować i stopniować. Zresztą oprócz bardzo ogólnej konstatacji, że Polska jest zarażona śmiercią i dramatycznie podzielona, nie proponuje jakiegoś ciekawszego komunikatu. Owszem, Czepiec na słowa: „Nie polezie orzeł w gówna”, rozchyła koszulę i pokazuje „odzież patriotyczną” – czer-

wony T-shirt z białym orłem w koronie, zaś widmo Rycerza Czarnego, Zawiszy, to eksponująca nagi biust Małgorzata Gorol z powstańczą opaską, która miast opowiadać o triumfach Grunwaldu, uwodzi umiejętnie spreparowanym tekstem o trupach i śmierci. Zamiast mocy i chwały, wiadomo: samobójcza gloryfikacja ofiary i klęski.

Od początku nie ma nadziei na wielki wspólny czyn: Wernyhora wypowiada jakieś wariackie proroctwo o Polsce od morza do morza i zamiast złotego rogu wręcza Gospodarzowi pustą plastikową reklamówkę.

Kłata prezentuje więc tradycyjne menu współczesnego polskiego inteligenta, nie podejmując próby zrozumienia dynamicznej współczesności.

Gdy oto lud wierząc i próbuje użyć demokracji (ach populizm, populizm), gdy dewastowany jest liberalny ład, gdy porządek świata chwieje się, można byłoby wyobrazić sobie bardziej drapieżne „Wesele”: rzecz o spotkaniu ludu z elitą.

Reżyser na początku swej drogi byłwał bardziej docieklivy, świetnie podważał system (choćby w „Fizdejce”, „H.” czy „Fantazym”), jego skalpel ciął ostrzej, precyzyjnie rozcinając złudzenia i mity, nie zatrzymując się na poziomie sloganu. Ale teraz, cóż, ani go lud specjalnie nie obchodzi, ani też jakieś inteligenckie złudzenia i spory, które wychodziłyby poza etykietowanie.

Kłata bywa często ciekawszy w interpretacjach swej roboty teatralnej niż w spektaklach. W wywiadzie udzielonym Jackowi Cieślakowi serwuje dziwny jak na niego tekst o podzielonej współczesnej Polsce: „W pamięci obu grup jest przeszłość, często przeszłość skłamana lub zmanipulowana dla celów doraźnej walki politycznej. Czy rozmawiając dziś o przeszłości powinniśmy, czy nie powinniśmy zapomnieć, po której stronie znajdował się nasz dziadek. Na przykład w 1946 roku, sto lat po galicyjskich zapustach. Kolejne pytanie brzmi: Czy »Myśmy wszystko zapomnieli?« jest wyrzutem, czy postulatem”. Czyli ktoś jednak w tym sporze ma rację? Czyli: trzecie pokolenie AK kontra trzecie pokolenie UB? Rzeczywiście, od Kłaty z jego korzeniami moglibyśmy oczekiwać takiej konstatacji. Ale próżno by szukać śladów tego w spektaklu.

Na szczęście spoza ściany dźwięku zespołu młodzieżowego wyzieraają od czasu do czasu słowa Wyspiańskiego. Szkoda, że niektóre dialogi oparto na wrzasku, gubiącym sensy, ale te, w których mają szanse

wybrzmieć frazy z „Wesela”, rzeczywiście dać mogą widzom satysfakcję. To, że mają się one nijak do głównej tezy i dominanty spektaklu, mniejsza, ważne, że pozwalają odczuć magię polskiego arcydramatu.

ŚWIETNE MOMENTY

I przecież tworzy Kłata razem z zespołem miejscami świetne widowisko. Daje grać aktorom i przewijają się oto przed naszymi oczyma bohaterowie kadencji Kłaty. W roli Gospodarza – Juliusz Chrzostowski, nie tylko Broniewski z haniebnej „Bitwy Warszawskiej” Demirskiego-Strzępki, lecz także Doktor Tomas Stockmann z „Wroga ludu”, któremu Kłata, gdy już nawet Merkel uznała swój błąd, kazał w jakimś dziwnym interludium agitować za przyjmowaniem uchodźców (lodowata reakcja premierowej widowni była czymś niezapomnianym). Jest Anna Dymna, której wycofanie się z hucpiarskiego spektaklu Frłjcia ostatecznie pogrzebało ten projekt. Jest w roli Stańczyka – eksponujący starcze pomarszczone ciało Edward Linde-Lubaszewski, tak brawurowo grający portiera w serialu Demirskiego-Strzępki „Artyści”. Stają w pamięci niedawne spektakle i rzeczywiście jako demonstracja zespołowej mocy i finałowy akord kadencji Kłaty „Wesele” sprawdza się wybornie. No i doskonali państwo młodzi – zniuansowany Radosław Krzyżowski, z tą swoją charakterystyczną pretensją i zarazem liryzmem w głosie, Krzyżowski, który zresztą zasiadał w ministerialnej komisji konkursowej jako reprezentant pracowników Starego Teatru, i Monika Frajczyk, jeszcze niedawno w „Triumfie woli” przekonująca do „jogi śmiechu” i fascynująca dziwnymi płaszcami, tu w mocno przerysowanej komicznej roli Panny Młodej z pokaznym ciężowym brzuchem („A to Polska właśnie” odnosić się będzie bardziej do dziecięcia w łonie niż jej serca).

Kłata dorzuca swoje pomysły, niektóre odgrzewane, niektóre całkiem świeże. Książd – w teatrze modernizatorów postać zawsze karykaturalna i śmiech budząca – śpiewa, akompaniując sobie na gitarze pieśń wielkanocną „Oto są baranki młode” (losy jej kompozytora to temat na osobną opowieść). Potem kapłan rozładuje napięcie i biorących się do bitki biesiadników zniewoli obciachowym „Chrześcijanin tańczy”. Pan Młody, biorąc od niego instrument, gra intro „Stairway to Heaven” i powtarza tym koncept z „Lochów Watykanu”, gdzie odpowiedzią na „Barkę” było „Satisfaction” Stonesów.

Ciekawie rozegrane są niektóre dialogi – flirtujący Dziennikarz startujący ze swą gadką o kozaczku do coraz to innej kobiety, aż odtrącany, po pijacku namolny, schodzi ku widowni, by zaczepić kogoś z pierwszego rzędu. Efektowne spoziewanie przez szybę na ogród czy rozpoczynające III akt pijackie zmęczone mamrotanie czterech biesiadników, na fajnym muzycznym snuju Furii, z niezapomnianą partią Nosa, przypisaną tu akurat Dziennikarzowi. I choć na premierze nie pada – może wskutek błędu – słynna fraza „Chopin gdyby jeszcze żył, toby pił”, trzeba stwierdzić, że Kłata pozwala wybrzmiewać kultowym zdaniom Wyspiańskiego.

Dziwny to efekt powoduje. Bo z jednej strony mamy plakat-komunikat Kłaty, szorstki i dość toporny, z drugiej spod jego przyciężkich farb wychodzi i perli się finezyjny tekst dramatu czwartego wieszcza. Tekst olśniewający, stanowiący arcywzór poetyckiej i teatralnej polemiki: Wyspiański bawi się swymi postaciami, w poezję zamienia ich publicystykę, pastiszuje utwory, oddaje stany ducha, rysy osobowości, a przy tym świetnie imituje towarzyską konwersację, nasycia swój tekst bon motami i zwiśnufkami, które z dramatu przenikają do mowy potocznej. Chociaż niewolny od ciągów ku pamfletowi, spór intelektualny ze swoimi przyjaciółmi i znajomymi prowadzi na najwyższym poziomie.

Łomot Furii to oczywiście zupełnie nie ta klasa. Owszem, daje satysfakcję publiczności, sugerując, że Kłata trzyma rękę na pulsie i coś wie, że przynosi nam współczesną interpretację, że zbiera to wszystko do kupy, ale przecież prostackie to mocno i słabo skrywające fakt, że żadnego subtelnego klucza do „Wesela” reżyser nie znalazł.

Kończy więc Kłata swą kadencję w sposób niejednoznaczny. Na początku urzędowania zezwalając na akty niegodne narodowej sceny, budzące słuszny sprzeciw, prowokując konflikty, w końcu spokorniał – czy nie pod wpływem zderzenia z Frłjciem? – i oddał jednak, jak umiał, hołd tradycji. Wzbogacił zespół aktorski młodymi talentami, starszych aktorów uhonorował, obsadzając w zespołowych kreacjach, wciąż pozostając wierny dość brutalnej estetyce, redukując szerokie spektrum wrażliwości, demolującą subtelne aktorstwo i delikatne formy przekazu. Opuścił stanowisko dyrektora, nie zawiesza przecież aktywności twórczej. Będziemy z zainteresowaniem i troską go obserwować.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Naprawmy świat raz jeszcze



★★★★★

REŻ. JAMES
PONSOLDT
„THE CIRCLE.
KRAĞ”
USA 2017

wyst. Emma
Watson,
Tom Hanks,
Karen Gillan,
Ellar Coltrane

Błahy film na ważny temat. Tytułowy Krag to firma high-tech, potężniejsza od Google i bardziej nachalna od Facebooka. Pracować dla niej to jak złapać Pana Boga za nogi. Dlatego młoda załoga pełna jest entuzjazmu i lekceważy sygnały ostrzegawcze (a jest ich sporo). Może potencjalni kontestatorzy utraceni są już na etapie rozmowy kwalifikacyjnej?

Jak w każdym szanującym się korpo kierownictwie urzęda zatrudnionym regularne pranie mózgu. Efektywność pracy zwiększają wszechobylskie kamery. Wiadomo: ludzie, którzy wiedzą, że są obserwowani, nie tracą czasu na głupoty i generalnie zachowują się lepiej. Zajęcia nieobowiązkowe szybko okazują się przymusowe, podobnie jak aktywność towarzyska. Każdy stara się o dobre

miejsce w rankingu popularności, ekshibicjonizm i donosicielstwo są dodatkowo premiowane. Żeby szczerze pogadać, trzeba się zamknąć w toalecie.

Totalna inwigilacja pracowników jest tylko wstępem do prawdziwej rozgrywki. Krag ma ambicje polityczne, zdobywa sojuszników w Kongresie, wrogów niszczy w sposób spektakularny. Lansuje ideę przymusowego udziału w wyborach. Brzmi znajomo? Nic dziwnego, „The Circle” to Orwell dla nowego pokolenia, które nigdy nie słyszało, że największe zbrodnie popełniono w imię naprawiania świata. Zamiar edukacyjny godny pochwały, wykonanie jednak iście toporne. Z ekranu wylewają się hektolitry pustostowania i drętowych dialogów. Scenarzyści zamiast ścigać się w wymyślaniu bon motów („wie-

dzieć dużo jest dobrze, wiedzieć wszystko – jeszcze lepiej”, „sekrety to kłamstwa”, „rząd potrzebuje nas, a nie my rządu”), powinni popracować nad bohaterami, w których można by było uwierzyć, kibicować im lub życzyć paskudnego zgonu.

Tymczasem na pozycję rozgrywającego wypchnięto dziewczcę tyleż naiwną, co bezmyślną. Desperackie wypłynięcie Mae w środku nocy kajakiem na zamglone jezioro, pomyślane jako punkt zwrotny fabuły, miało straszyć, a śmieszy. Obsada też świadczy o dużym poczuciu humoru twórców „The Circle”. Tom Hanks jako czarny charakter – po prostu boki zrywać. Szkoda, bo temat jest naprawdę na czasie. Ludzkość przeżywa kolejną fazę ślepej fascynacji technologią, internetowe konto stało się dowodem istnienia, prywatność – dobrem luksusowym, dzieciaki krzyczą: „Tato, kup mi drona!”, zaś pracodawcy biją rekordy perfidii. Autorzy, harujący na niwie political fiction, muszą jednak wykazać trochę pokory. Konstruuując przerażające antyutopie, uwzględnić siłę ludzkiej przekory. Co jeden wymyślił, to drugi natychmiast skonstruuje. Między innymi dlatego nie żyjemy w świecie przepowiedzianym przez Orwella. ©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „ZWYCZAJNA DZIEWCZYNA”

Zgrabna, zabawna opowieść o wojnie, miłości i propagandzie – akcja rozgrywa się podczas niemieckich nalotów na Londyn (tzw. Blitz). Tytułowa „zwyczajna dziewczyna” zaczyna nową pracę. Miała być sekretarką, tymczasem wspiera zespół scenarzystów filmów zagrzewających naród do oporu. Ekra-

nizacja powieści Lissy Evans w reżyserii Lone Scherfig, znanej z filmów „Włoski dla początkujących” i „Wilbur chce się zabić”. ©

Piotr Gociek

• „Zwyczajna dziewczyna” („*Their Finest*”), reż. Lone Scherfig, wyst. Gemma Arterton, Sam Claflin, Bill Nighy, Wielka Brytania 2016

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Piraci z Karaibów: Zemsta Salazara” („*Pirates of the Caribbean: Dead Men Tell No Tales*”), reż. Joachim Ronning, USA 2017
- „Smerfy: Poszukiwacze zaginionej wioski”, reż. Kelly Asbury, USA 2017
- „Mój anioł” („*Mon ange*”), reż. Harry Cleven, Belgia 2016

Szczęście za 20 euro

O takich filmach mówi się, że emanują dobrą energią. Centralną postacią jest bawidamek, który pożycza swej byłej 20 euro na taksówkę. W rewanżu zostaje uszczęśliwiony trzymiesięcznym bobasem.

Po nieudanym pościgu za wyrodną matką Samuel osiada w Londynie. Robi karierę w show-biznesie i wychowuje Głorię do spółki z kolegą – gejem. Frywolne komedie, skonstruowane wedle zasady „widsisz drzewo, lecz lasu nie dostrzegasz”, są specjalnością żabojadów. Tutaj jednak chodzi o coś więcej niż zabawę. Czyż nie żyjemy w epoce egoizmu, w której pojęcia takie jak ojcostwo i macie-

rzyństwo zmieniają swój sens, a dzieci coraz częściej muszą wychowywać rodziców?

Omar Sy jak zwykle wypełnia sobą ekran, lecz nie dlatego, że ma wzrost koszykarza. Ten aktor to bodaj największy skarb dzisiejszego francuskiego kina. Macron powinien wydać dekret zabraniający mu wyjazdu do Ameryki. W tym roku nie widziałem w kinie niczego lepszego, choć scenariusz chyba długo kiął się w szufladzie. Lansuje bowiem tezę, że Londyn to sfrancuziałe miasto. A przecież wystarczy spędzić kwadrans na Piccadilly, by zorientować się, że bliżej stąd do Katowic niż do Marsylii. ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★
REŻ. HUGO GÉLIN
„JUTRO BĘDZIEMY SZCZĘŚLIWI”
(„DEMAIN TOUT COMMENCE”)
FRANCJA 2016

wyst. Omar Sy,
Gloria Colston,
Clémence Poésy,
Antoine Bertrand



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „PERSONA 5”

Zacznę od wyznania: nigdy nie byłem wielkim fanem anime. Poza wyjątkami odstraszała mnie zbyt duża emocjonalność bohaterów i mitologizacja historii. Gdybym pozostał przy tym stereotypie, w „Personę 5” zapewne nigdy bym nie zagrał. I byłby to wielki błąd, którego państwo w żadnym

razie nie mogą popełnić. „Persona 5” po wciągnięciu w wielowątkową opowieść nie pozwala z niej wyjść. Grupa nastolatków odnajduje aplikację na smartfona, która przenosi ich w świat wykrzywionych fantazji dorosłych. Niszcząc najmroczniejsze z nich, ratują Tokio. Drugiego takiego



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

tytułu w pełnej komiksowej szacie nie znajdziecie.

©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** RPG
- **Platforma:** PS4/PS3/X360
- **Producent, dystrybutor:** Atlus/Techland
- **Klasyfikacja wiekowa PEGI:** 16+

TA MAŁPA MA TALENT!

Animowany musical odbiegający jednak od wzorców Disneya. Historia konkursu talentów zorganizowanego przez właściciela podupadającego teatru (sympatyczny, lecz pechowy miś koala Buster Moon). Działalność Moona to ciąg katastrof, więc i nowe przedsięwzięcie przyniesie mu więcej zgrzytów niż pieniędzy, nie o to jednak chodzi w tej opowieści, przypominającej slapstickowe komedie z dawnych lat. Bohaterami filmu są uczestnicy konkursu – postaci świetnie skrojone i wzruszające. Są młody goryl-gangster o aksamitnym głosie, wstydlawa słonica, która peszy się na scenie, beczelna biała mysz stylizowana na bezdomnego Sinatrę itd. Wyszło z tego zabawne skrzyżowanie „Masz talent!” z „Producentami” Mela Brooksa i „Zwierzogrodem” (ach, ta nasza miłość do antropomorficznych zwierząt). Pomysł nie jest specjalnie oryginalny, ale bohaterowie sympatyczni, całość zaś niesiona jest przez kilkadziesiąt popowych hitów zrecnie wplecionych w fabułę.



wyst. Matthew McConaughey,
Reese Witherspoon, Seth MacFarlane

★★★★★
REŻ. CHRISTOPHE LOURDELET,
GARTH JENNINGS
„SING!”
USA 2016,
UNIVERSAL

WINNI I NIEWINNI

Ekranizacja powieści Philipa Rotha. Najlepsza ze wszystkich, jakie przydały się amerykańskiemu pisarzowi. James Schamus, znany dotąd głównie jako producent, zaufał prozie Rotha. Historię żydowskiego studenta, który trafia na uniwersytet zarządzany przez bigoteryjnego rektora, opowiedział niespiesznie, długimi scenami, dając miejsce aktorom na dialogi stanowiące sedno opowieści. Marcus durzy się w dziewczynie, której do końca nie potrafi zaufać. Ta ma swoje problemy z psychiką. Ideologiczny spór między młodym żydowskim wolnomyślicielem a konserwatywnym rektorem to druga oś konfliktu. A w tle mamy wojnę w Korei. „Wzburzenie” przypomina „Pokutę” McEwana, ale nie jest tak epickie. Przypomina też, że jeśli chcesz żyć według szczytnych zasad, to nawet najdrobniejsze odstępstwo może ściągnąć cię do piekieł. A kara będzie niewspółmiernie wielka do winy.

©© **recenzuje Piotr Gociak**



wyst. Logan Lerman,
Sarah Gadon, Tijuana Ricks

★★★★★
REŻ. JAMES SCHAMUS
„WZBURZENIE – OPOWIEŚĆ O DOJRZEWANIU”
(„INDIGNATION”)
USA 2016,
IMPERIAL

KRZYSZTOF
MASŁOWSKI

MOJA PÓŁKA

Zabawa na cmentarzu

Piotr Zaremba porwał się w „Zgliszczach” na wielki temat. Chciał, wzorem Józefa Mackiewicza, stworzyć powieść podbudowaną historycznie materiałami źródłowymi, coś na kształt „Kontry”. Przedstawił dzieje Polski w pierwszych latach powojennych widziane z perspektywy PSL – partii, która pod przywództwem Stanisława Mikołajczyka próbowała w kraju zniszczonym przez Niemców i zawłaszczonym przez komunistów uprawiać względnie normalną politykę. Co udało się nie mogło.

Obok osób fikcyjnych wprowadził autor na karty powieści całą masę postaci historycznych. Od Bieruta i Gomułka przez Lunę Brystygierową i Jacka Różańskiego do Cyrankiewicza i Ochaba. Oczywiście całą plejadę ludowców, w dużej mierze zapomnianych. Powstała książka 870-stronicowa (dużego formatu!).

Autor miał świadomość tego, że przyjdzie mu się zmierzyć z czytelniczą wytrzymałością. Stąd biorą się w jego powieści wtręty wyraźnie z innych opowieści, by – w tym przypadku – nie powiedzieć: z bajek. Otóż, jeśli pojawia nam się w fabule chłop o nazwisku Pawlak, to oczywiście jego sąsiadem będzie Kargul, mieszkaniem sędziego Jarosza „zageęci” ORMOWiec Talar, a diaboliczny ubek Wład, pacyfikujący trzeciomajową manifestację studencką w Krakowie, puszcza wolno pewnego wysoce uświadomionego politycznie młodzika nazwiskiem Konwicki. Nie ukrywam, szczególnie ta ostatnia scenka przypadła mi do gustu, bo to jakby lustrzane odbicie innego spotkania, tym razem bohatera „Bohini” Tadeusza Konwickiego z młodym Dżugaszwilim.

W „Zgliszczach”, naturalnie, najwięcej jest historii, ale i literatury nie brakuje. Po wielokroć pojawia się na stronicach



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI/FORUM

powieści autorka „Granicy”, które np. towarzysz Wiesław tak kładzie do głowy łopatą – bo czymże innym: „Obywatelko Nałkowska, jak Gomułka podłączy prąd wszędzie, jak doprowadzi wodę, jak tu przez Pragę pojedzie pierwszy tramwaj, pokochacie nas”.

Przywódca PPR dąży do zwycięstwa komunistów wszelkimi środkami, ale w celu zdobycia władzy, a nie dokonania jakiejś nadzwyczajnej rewolucji społecznej. W innej rozmowie, z Bierutem, ale i z pułkownikiem bezpieki, tyle że sowieckiej, klaruje: „[...] dlaczego wy zakładacie, że trzeba będzie aż tyle zmieniać. Dla chłopów znosimy niedługo świadczenia rzeczowe, w fabrykach bierzemy pod opiekę robotnika, wytoczyliśmy wojnę nieudolnym dyrektorom. Oni nie mają powodu nas odrzucać. Owszem, danina jednorazowa, owszem, to czy tamto... Ale my jesteśmy blisko nich”. No jasne. Tak blisko, że bliżej nie można.

Użala się nad sobą Zofia Nałkowska, „niejedno musiała wycierpieć. Przedmowę do »Dzieł

krytycznych« profesora Nałkowskiego dostał do napisania Żółkiewski. Nie dość, że nazwał symbolistów takich jak Kaspro-wicz, Przybyszewski, Miciński imperialistami, to był tym samym Żółkiewskim, który zdruzgotał jej twórczość na zjeździe literatów w Szczecinie. [...] Socrealizm to kostium – czy tylko?».

Tragiczna jest powojenna Polska, ale bywa i tragikomiczna. Oto poseł z Krakowa, Witaszek, oburza się: wokół szaleje czerwony terror; działacze PSL represjonowani są na potęgę, a jego prezes wybiera się wieczorem do teatru, na „Grube ryby”, z samym Solskim i powiada: „[...] tak teraz Polska wygląda, po śniadaniu śmierć albo więzienie, po kolacji zabawa”.

W książce Zaremby tej PSL-owskiej zabawy nie brakuje. I dobrze, gdyż martyrologia sauté byłaby nie do zniesienia. Inna sprawa, że wizerunki poszczególnych bonzów partyjnych nie wypadają dobrze. I nie chodzi tylko o samego Mikołajczyka. Myślę sobie, że gdyby Zofia Korbońska dożyła publikacji tej powieści, protestów napłynęłoby do autora i wydawcy co niemiara. Z całego świata.

Na ile to było możliwe, Piotr Zaremba zadbał o klimat swojego dzieła. Zapomnieliśmy, że Polska tak kiedyś wyglądała. Na przykład Lublin, gdzie jedni studenci uczyli się na KUL, a drudzy na ŻUL. Nie pamiętają państwo, co to takiego? Żydowski Uniwersytet Lubelski. Tak, tak, dzisiejszy UMCS.

Akcja powieści rozpoczyna się w maju 1945 r., a kończy w październiku roku 1956. Dzieje jej bohaterów i antybohaterów, których jest znacznie więcej, doprowadza krótki rozdział „Potem”. Kto wie, może najsmutniejszy, bo na tych „Zgliszczach”, które pokazał Zaremba, szczęła najcenniejsza z cennych – nadzieja. ©©



★★★★★
PIOTR ZAREMBA
„ZGLISZCZA”
ZYSK I S-KA,
POZNAN 2017



PIOTR GOCIEŁ

POCZYTANKI

Między scenami

Film potrafi znacznie lepiej niż teatr opowiadać historie w najczystszej postaci – pisze

David Mamet, scenarzysta, reżyser i znawca filmu. Czyny to dzięki sztuce montażu – neutralne ujęcia ułożone w odpowiedni sposób układają się w naszych umysłach w opowieść. Film idealny mógłby się obejść bez dialogów, bo jest sztuką opowiadania obrazami. Trzeba wiedzieć, jak to robić. Książkę, którą cytuję („Reżyseria filmowa”), Mamet napisał w 1990 r., opierając jej treść na warsztatach ze studentami prowadzonych w roku 1987. Nic nie zmieniło się od tej pory – poza tym, że autor „Domu gry”, scenarzysta m.in. „Glengarry Glen Ross” i „Werdyktu”, coraz rzadziej pisze i reżyseruje. Jego lekcje pozostają aktualne i będą cenne dla wszystkich, którzy czasem nie potrafią odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego film, który właśnie obejrzeli, ich zawiódł. Nie mówię o filmach po prostu słabych, ale o tych, w których niby wszystko zagrało: obsada, scenariusz, zdjęcia. Gdzie tkwi gen samozagłady? W nieumiejętności opowiedzenia historii.

Wiedza ta wydaje się hermetyczna, ale wywody Mameta pasują do niemal każdego rodzaju opowieści narracyjnej, w tym komiksu i literatury. Podobieństwo

do komiksu jest oczywiste, bo w nim najważniejsze jest to, co się dzieje między kadrami. Zatem również montaż. Mamy oto serię rysunków (kadrów) i mamy sposób ich ułożenia w jakąś historię. Jednocześnie komiks dodatkowo oddziałuje na zmysły kompozycją całej planszy, a tekst (w tym dialog) można podawać na przeróżne sposoby, tworząc także graficzną wartość dodaną. Jednak fundament przesłania Mameta wzywającego, by ociosywać swoje historie z niepotrzebnych ujęć, niepotrzebnych zdań, niepotrzebnych wytłumaczeń, by pamiętać, że narracja musi służyć opowieści, to ważna lekcja literatury – w dodatku jakże bliska np. metody twórczej Ernesta Hemingwaya.

Wraz z „Reżyserią filmową” w tej samej oficynie ukazała się „Prawda i fałsz”, inna książka Mameta. W niej udziela lekcji aktorstwa, wyszydzając manierę „wczuwania się w postać”. Aktor, tak jak reżyser, służy opowiadaniu historii.

Czekam na książkę trzecią – wspomnienia z planu „Bambi vs Godzilla”, godna jest także przekładu. W dziedzinie publikacji mądrych i potrzebnych mały może więcej, bo nie czuje oddechu rynku na plecach. Pozwólcie więc, że zachwalę wam Wydawnictwo Filmowe. © ©



★★★★★
DAVID MAMET
„REŻYSERIA
FILMOWA”
WYDAWNICTWO
FILMOWE 2016

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Opowieść o siostrze Juliana Tuwima, znakomitej tłumaczce, która przyswoiła polszczyźnie m.in. „Kubusia Puchatka” i „Mary Poppins”. Jest w tej historii o wiele więcej niż tylko literatura – także długie, intrygujące życie.



ANNA
AUGUSTYNIAK
„IRENA TUWIM.
NIE UMARŁAM
Z MIŁOŚCI”
TRZECIA STRONA

Dzieło życia znakomitego polskiego historyka, pomyślnego „Polskiego słownika biograficznego”. Potężna dwutomowa monografia, wydana oryginalnie w latach 1936–1938. Dotąd wznowiono tylko raz, w 1991 r.



WŁADYSŁAW
KONOPCZYŃSKI
„KONFEDERACJA
BARSKA”
ZYSK I S-KA

Autorka popularnych psychologicznych thrillerów przedstawia (w formie powieści sensacyjnej) własną interpretację głośnej sprawy zaginionej małoletniej Madeleine McCann, na potrzeby książki nazwanej Coco.



ALEX MARWOOD
„NAJMROCZNIEJ-
SZY SEKRET”
ALBATROS

Ciąg dalszy zgrabnego zbioru opowieści o stolicy Wielkopolski „Historie warte Poznania”. Ładnie ilustrowany i zajmująco napisany lamus ciekawostek nie tylko dla mieszkańców miasta. Każde miasto na taki zasługuje.

© © poleca Piotr Gocieł



FILIP CZEKEŁA
„MIASTO
NIE DO POZNANIA”
WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIE

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Paula Hawkins „Zapiskane w wodzie”** (Świat Książki) – nowa powieść autorki największego bestsellera ostatnich lat, czyli „Dziewczyny z pociągu”.
2. **Jakub Żulczyk „Wzgórze psów”** (Świat Książki) – thriller o współczesnej Polsce. „Rewelacyjny” – jak pisał na łamach „Do Rzeczy” Andrzej Horubała.
3. **Remigiusz Mróz „Deniwelacja”** (Filia) – czwarty tom serii kryminalnej. Komisarz Wiktor Forst kontra seryjny morderca z Podhala.
4. **B.A. Paris „Za zamkniętymi drzwiami”** (Albatros) – thriller psychologiczny zgodny z najnowszą modą – zło czai się w małżeństwie, zwłaszcza idealnym.
5. **Neil Gaiman „Mitologia nordycka”** (MAG) – popularny brytyjski autor fantasy opowiada po swojemu o Odynie, Thorze i Lokim.

(Najchętniej kupowane książki w sieci księgarskiej Świat Książki)



JAN POSPESZALSKI

KONTRA/BASEM

Smoczyński
gra w berka

Zawsze podziwiałem Mateusza Smoczyńskiego za umiejętność łączenia najróżniejszych aktywności. Ekstremalnym przykładem była jego czteroletnia współpraca z legendarnym amerykańskim Turtle Island Quartet, gdy równolegle, i to nieźle, rozwijały się jego polskie projekty, na czele z flagowym Atom String Quartet. Rozpięty między wybrzeżami Atlantyku, spędzając ogromną liczbę godzin w samolotach, układając grafik amerykańskich i polskich koncertów i sesji, zdążył Mateusz jeszcze zagrać w USA trasę z Bobbym McFerrinem, zrealizować kilka ścieżek muzyki filmowej, nie stroniąc od wchodzenia w niepoliczalną liczbę albumów znanych polskich wykonawców



Mateusz Smoczyński FOT. JAKUB KACZMARCZYK/PAP

– od Doroty Miśkiewicz, Zakopowera, Dagi i Dany, Kayah, do Natalii Kukulskiej i Maryli Rodowicz.

Chociaż Mateuszowi czas biegnie nieco szybciej, chyba jednak nie wszystko da się pogodzić, tym bardziej jeżeli rzeczy dzieją się na dwóch kontynentach. Artysta podjął więc w 2016 r. decyzję, aby skoncentrować się na działaniach w kraju i dziś mamy tego efekt. Równolegle pojawiają się od razu aż dwie nowe płyty. Właśnie 27 maja rozpoczyna się promocja najnowszego albumu ASQ zatytułowanego „SEIFERT”. (Uwaga już teraz trzeba rezerwować miejsca w warszawskim klubie przy ul. Noakowskiego 12on14, bo to miejsce urocze, ale nawet jak na klub jazzowy, niewielkie).

Dzisiaj szczególnie chcę polecić autorski album „Berek” nagrany z kwintetem. To już trzecia płyta zagrana w barwach Mateusza Smoczyńskiego Quintet, moim zdaniem najlepsza. Jest tu wszystko, do czego artysta zdążył nas przyzwyczaić. Po pierwsze, kawał rzetelnego, klasycznego jazzowego rzemiosła. Po drugie, seifertowski wirtuozerski pazur. Obok swojsko brzmiące odniesienia do polskiego folkloru, nawiązania do bluegrassu i przepiękne rozległe liryczne frazy. I choć płytę nazwano „Berek”, to miejsca, gdzie tempo się nieco uspokaja, gdzie pojawiają się oddech i przestrzeń, zachwycają najbardziej. Skrzypce brzmią klasyczną, piękną barwą, a my mamy czas na odrobinę romantycznej refleksji. ©©

GRZEGORZ
BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Kobieta po przejściach

Leslie Feist – lat 41 – od ponad 10 lat należy do najbardziej szanowanych postaci kanadyjskiej sceny alternatywnej. Po artystycznym sukcesie albumu „Metals” nastąpił w jej życiu sześciolatek mroczny okres, którego owocem jest najnowsza płyta.

Feist rozprawia się ze swoimi demonami, problemami wieku średniego („jestem pewna, że umarłeś, bo jakbym mogła żyć, gdybyś nadal istniał”), przewartościowaniem własnej kariery („jeśli nie jestem moją sztuką, to kim jestem, do cholery!”), czyli sprawami na co dzień dotykającymi artystów myślących. Tak jak jej wielkie poprzedniczki – Nina Simone, Joni Mitchell i PJ Harvey –

Kanadyjka przetwarza ból i cierpienie w sztukę. Dodatkowo udało się jej przełożyć miotające nią emocje na różnorodny język muzyczny. Mamy szorstkiego bluesa, subtelne ballady, ostre gitary, pop-folkowe pasaże, elektroniczne pulsacje, żeńskie chóry, kołysankę, a nawet thrash metal. „Pleasure” kończy się zapewnieniem:

„Wszystko, co miało upaść, runęło”, a co za tym idzie – następnym krokiem jest podniesienie się.

W dobie, kiedy kobiety świat muzyczny zdominowały śpiewające o niczym wiotkie panienki o piszczących głosikach, tym większą „przyjemnością” jest obcowanie z albumem o tytule „Pleasure”. ©©



★★★★★
FEIST
„PLEASURE”
POLYDOR



★★★★★
KASABIAN
„FOR CRYING
OUT LOUD”
SONY

W Wielkiej Brytanii są wielcy, co najlepiej świadczy o miłośności tamtejszej sceny rockowej. Melodyjne balangowe pioseneczki, o których się zapomina po ich zakończeniu. I to ciągle przeświadczenie, że gdzieś się to już słyszało. ©©



★★★★★
THURSTON MOORE
„ROCK N' ROLL
CONSCIOUSNESS”
CAROLINE
Współlider
nieodżałowanych

Sonic Youth nagrał pięć hipnotyzujących kompozycji trwających od 6 do 12 minut. Zamiast punkowych sloganów mamy święte moce i wyrocznie w oku cyklonu jazgoczących gitar. ©©

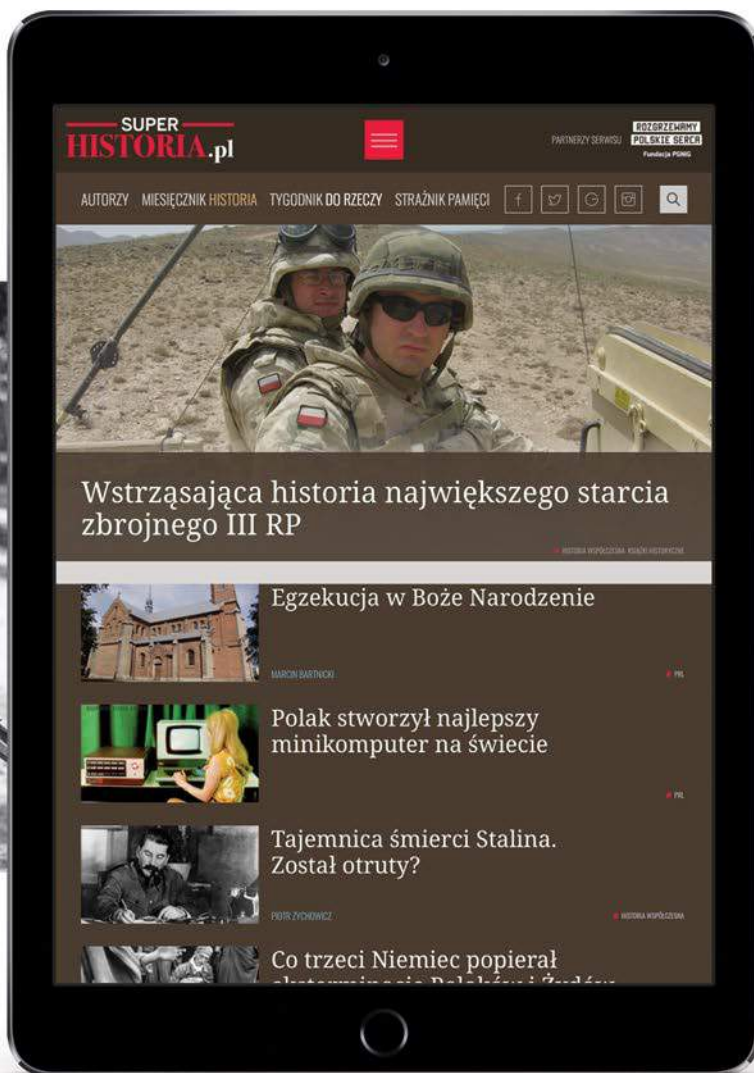
SUPER HISTORIA.pl

NAJMŁODSZY PORTAL HISTORYCZNY W POLSCE

1863
1918



1989
1683
1939



1989



1791

ARTYKUŁY I KOMENTARZE NAJLEPSZYCH PUBLICYSTÓW HISTORYCZNYCH
O NAJWAŻNIEJSZYCH WYDARZENIACH Z HISTORII POLSKI I ŚWIATA.
RECENZJE I FRAGMENTY KSIĄŻEK HISTORYCZNYCH.

PARTNERZY SERWISU:



Fundacja PGNiG

eprasa.pl 6c26d81afd



Z Janem Marią Jackowskim,
senatorem PiS
rozmawia Kamila Baranowska

Opozycja zachowuje się antydemokratycznie



FOT. STANISŁAW KOWALCZUK / EAST NEWS

KAMILA BARANOWSKA: Dlaczego PiS wycofuje się z pomysłu, by od najbliższych wyborów prezydenci, burmistrzowie i wójtowie, którzy pełnią funkcję drugą kadencję lub więcej, nie mogli kandydować?

JAN MARIA JACKOWSKI: Przeprowadziłem w tej sprawie szeroki wachlarz konsultacji prawnych i środowiskowych. Sam uczestniczyłem w spotkaniach z samorządowcami, takie konsultacje toczyły się także w kręgu ekspertów i po głębszej analizie wycofaliśmy się, a raczej przełożyliśmy, bo to lepsze określenie, wejście w życie zmian dotyczących dwukadencyjności. Uznaliśmy, że unie możliwienie kandydowania tym, którzy są w trakcie pełnienia drugiej lub więcej kadencji, naruszałoby starą rzymską zasadę, że prawo nie może działać wstecz. Uważam tę decyzję za racjonalną. Nie rezygnujemy ze zmiany, ale odkładamy ją o dwie kadencje, zacznie obowiązywać w 2026 r.

Czyli jeśli w wyborach samorządowych w 2018 r. pan Kowalski zostanie burmistrzem po raz pierwszy, to będzie mógł pełnić swoją funkcję najwyżej dwie kadencje, to jest osiem lat. I podobnie z panem Malinowskim, który jest wójtem od 20 lat, będzie mógł nim być do 2026 r. i ani chwili dłużej.

Dokładnie tak. Chodzi o to, by nie zmieniać reguł gry w trakcie trwania tej gry. Nie jest tajemnicą, że ograniczenie kadencji, które działałoby wstecz, budziło mieszane uczucia także w samym PiS.

Zwłaszcza wśród samorządowców?

Też. Głośnym echem odbiła się choćby wypowiedź wieloletniego burmistrza Mszczonowa Józefa Kurka, który publicznie w mediach stwierdził, że dwukadencyjność to zły pomysł, bo wyklucza doświadczonych samorządowców. Dlatego uważam, że krok w tył, który zrobiliśmy, był poniekąd odpowiedzią na zgłaszane wątpliwości i decyzją racjonalną.

Dlaczego akurat dwie kadencje uznajecie za optymalny czas rządzenia?

Jeśli ktoś ma ambitny plan dla swojego regionu, to osiem lat jest wystarczającym czasem, by ten program wdrożyć, ale jednocześnie jest zbyt krótkim czasem, by osiąść na laurach i tworzyć wokół siebie różne podejrzone sieci powiązań. Przy czym daleki jestem od generalizowania. Nie można powiedzieć, że wieloletni wójt, burmistrz czy prezydent to synonim patologii.

A nie to właśnie PiS sugeruje?

Nie. Jednym z argumentów, które padały w naszych wewnętrznych dyskusjach, było właśnie to, że zbyt pospiesznie wprowadzona dwukadencyjność będzie sugerować, iż wszyscy, którzy sprawują urząd przez kilka kadencji, mają coś na sumieniu. Jest wielu włodarzy, którzy z pasją wykonują swoje obowiązki i tym zapewniają sobie reelekcję.

cję. Chociaż oczywiście nie wszędzie jest kolorowo, bo są gminy, w których funkcjonuje zaskorupały układ zależności i wzajemnych korzyści. Sam miałem taką sytuację w moim okręgu wyborczym. Otóż przyszła do mnie pewna nauczycielka, mówiąc, że właśnie traci pracę, ale powiedziano jej, że może ją zachować, jeśli zapisze się do wówczas słusznej partii. Bardzo ją ten szantaż zbulwersował, dlatego poprosiła mnie o interwencję. Takie sytuacje się zdarzają, bo pamiętajmy, że wójt, burmistrz czy prezydent są także pracodawcami, często największymi w danej gminie czy powiecie. Inna historia – ktoś chciał kandydować z list PiS, jego żona pracowała w szkole i nagle jest wzywana przez wójta z ostrzeżeniem, że jeśli mąż będzie kandydował z list PiS, to ona może się pożegnać z pracą. Takie sytuacje się zdarzają i z tym trzeba walczyć.

Warto było rzucać pomysł ograniczenia kadencyjności, skoro teraz się częściowo z niego wycofujecie i odkładacie go o całych osiem lat? Nie lepiej było najpierw przedyskutować go we własnym gronie i dopiero potem ogłaszać publicznie?

Znakomita większość różnych pomysłów programowych, które mamy, była konsultowana dużo wcześniej, ale rządzenie nie zawsze polega na tym, że się wyjmuje z szuflady gotowe rozwiązania i projekty. Czasem pojawiają się tematy czy propozycje, które warto poddać szerszej debacie publicznej. Pomysł ograniczenia kadencyjności nie był nowy, mieliśmy go od dawna w naszym programie i dlatego się pojawił w debacie publicznej. Bierzemy jednak pod uwagę realia społeczne, także to, że trudno jest przeprowadzić wiele kluczowych zmian jednocześnie. Pamiętajmy, że pod względem reform mamy rekordową kadencję, bo w te 20 miesięcy zrobiliśmy naprawdę dużo, jeśli chodzi o realizację naszego programu i obietnic. Dlatego niektóre rzeczy trzeba po prostu odłożyć w czasie.

To nie pierwszy pomysł, z którego wycofujecie się po wielu tygodniach dyskusji, która wam wizerunkowo szkodzi. Tak było z jednolitym podatkiem, tak było z ustawą metropolitalną, teraz dwukadencyjność. Wychodzi na to, że zgłaszacie niedopracowane pomysły.

Nie rozpatrywałbym tego w kategoriach wizerunkowych zysków i strat, bo nie o to tu przecież chodzi. Mamy swoje poglądy, swój program i propozycje zmian, ale są w przestrzeni publicznej także inne poglądy i dobre rządzenie polega na tym, żeby

umieć prowadzić dialog i konsultacje oraz uwzględniać wnioski, jakie z nich płyną. I to właśnie robimy. Rzeczywiście moglibyśmy popracować nad lepszą komunikacją, by wiadomo było, co jest naszą propozycją do dyskusji, a co już gotowym rozwiązaniem, które ma wejść w życie. Cóż, każdy popełnia błędy, podchodzimy do tego z pokorą i mam nadzieję, że będziemy potrafili wyciągać z tego wnioski.

A czy analogiczną sytuacją nie jest rzucony właśnie przez prezydenta Andrzeja Dudę pomysł referendum w sprawie konstytucji? Znowu pojawia się propozycja, której szczegółów nikt nie potrafi doprecyzować.

Dyskusja o potrzebie nowej ustawy zasadniczej trwa w naszym środowisku od wielu lat, z różną intensywnością i niejednokrotnie akcentowaliśmy w dyskusji publicznej słabości obecnej konstytucji oraz jej anachroniczność. Czekamy na doprecyzowanie propozycji pana prezydenta, bo to jego inicjatywa. Potrzebny byłby jakiś plan, mapa drogowa, określenie, czy chodzi o referendum opiniotwórcze na temat kierunku zmian, czy np. o referendum dotyczące konkretnego projektu nowej konstytucji.

Czy dziś rozpoczynanie debaty o zmianie konstytucji w sytuacji, gdy PiS nawet z klubem Kukiz'15 nie ma większości konstytucyjnej, ma w ogóle sens? Narażacie się na zarzut braku skuteczności i rzucania słów na wiatr.

Na tej zasadzie przez następnych kilka kadencji może nie być sytuacji, że jakkolwiek partia czy koalicja będzie miała większość dwóch trzecich potrzebną do zmiany konstytucji. Czy to oznacza, że nie warto o konieczności zmiany dyskutować? Państwo polskie stoi przed nowymi wyzwaniem, konstytucja powstawała w bardzo specyficznej sytuacji politycznej i mamy w niej pewną niekonsekwencję ustrojową. To wymaga doprecyzowania, jeśli chcemy budować nowoczesne państwo. Myślę, że świadomość tego istnieje także w innych środowiskach politycznych, choć opozycja totalna zachowuje się tu w sposób koniunkturalny, nie mając wcale na względzie dobra wspólnego. Niestety, jakkolwiek dyskusję byśmy dziś zainicjowali, będzie się ona odbywać w atmosferze ostrego politycznego konfliktu. Opozycja totalna w gruncie rzeczy zachowuje się antydemokratycznie, bo nie zgadza się, by partia, która wygrała wybory parlamentarne, realizowała swój program, i do tego sprowadza się cała

jej działalność. Dla Polski byłoby lepiej, gdyby opozycja była merytoryczna – taka, z którą moglibyśmy dyskutować o wizji państwa i różnicach programowych. Opozycja nie jest jednak tym zainteresowana i dlatego jest dziś opozycją wyłącznie destrukcyjną. Także sama dla siebie.

Niektórzy twierdzą, że słabość „totalnej opozycji” jest dziś największą siłą PiS. Nie stwarza to dla obozu władzy pokusy zbyt dużej pewności siebie, posuniętej czasem do arogancji?

Takie niebezpieczeństwo potencjalnie zawsze istnieje. Jarosław Kaczyński na spotkaniach z parlamentarzystami i działaczami często przypomina, by podchodzić do sprawowania władzy z pokorą i w naszych działaniach widać, że nawet jeżeli pojawiły się jakieś nieprawidłowości, np. w obsadzie spółek, czy jakieś naganne zachowania, to szybko były wyciągane wnioski, włącznie z daleko idącymi zmianami kadrowymi. To najlepiej obrazuje nasze intencje.

Komisja Europejska ostrzega, że Polska, Węgry i Austria mają czas do czerwca, aby zacząć przyjmować imigrantów, i grozi nam karami za łamanie unijnego prawa. Polski rząd mówi, że nie zmienia zdania. Co dalej?

Pamiętajmy, że mówimy o nielegalnych imigrantach. Pierwotnym błędem Unii było nieprzestrzeganie prawodawstwa unijnego w zakresie przebywania na terytorium unijnym osób niemających do tego prawa. Polityka, którą dziś proponuje Komisja, jest leczeniem skutków, a nie przyczyn nielegalnej migracji. Nie rozwiązuje problemów, lecz odkłada w czasie skutki, które w dwójnasób po jakimś czasie się odezwią. Ubolewamy, że w 2015 r. premier Ewa Kopacz złamała solidarność Grupy Wyszehradzkiej, zgadzając się na relokację imigrantów, ponieważ gdyby tego nie zrobiła, być może nie byłoby zgody na ten błędny model rozwiązywania kryzysu migracyjnego. Dzisiaj próba przymusowego osiedlania imigrantów wywołuje żywą dyskusję także w tych krajach, które formalnie tego pomysłu nigdy nie kwestionowały. Jako delegacja Senatu byliśmy niedawno w Szwecji i mieliśmy okazję rozmawiać o tym, jak poważnym problemem społecznym staje się tam ta kwestia, choć ze względu na polityczną poprawność jest w przestrzeni publicznej traktowana dość specyficznie albo wcale niepodejmowana. Takich krajów w Unii jest wiele i pewnie będzie ich przybywać.

Na dwóch biegunach



Krystian Kratiuk

Chociaż Kościół był, jest i zawsze będzie jeden, zamieszanie na jego szczytach coraz częściej wywołuje dyskusje o podziałach w jego łonie

Skrajne różnice wśród najwyższych katolickich hierarchów doskonale obrazuje porównanie postaw kardynałów Kaspera i Burke'a, a także (a może przede wszystkim) postawa papieża wobec każdego z nich.

Pontyfikat papieża Franciszka często określa się mianem rewolucyjnego. Słusznie – jest w nim bowiem wiele elementów świadczących o chęci nagłego zerwania nie tylko z dotychczasowymi przyzwyczajeniami, lecz także z nauką i tradycją. Obserwując ruchy Ojca Świętego, nie sposób nie dostrzec reakcji na nie ze strony kardynałów. A ta jest tak różna, jak różne są wizje Kościoła reprezentowane przez poszczególne kościelne frakcje.

NIEMIECKI PROGRESISTA

Na czele jednego z tych stronnictw stoi kard. Walter Kasper. Hierarcha ów, mimo że w dniu rozpoczęcia pontyfikatu papieża Bergoglio od kilku lat cieszył się już urokami emerytury, wraz z objęciem przez Argentyńczyka Tronu Piotrowego został przywrócony do watykańskich łask. Po latach marginalizacji.

I to właśnie kard. Kasper został ojcem chrzestnym największego kryzysu doktrynalnego ostatnich lat. Właśnie pod wpływem tego duchownego papież zezwolił na debatę na temat możliwości dopuszczenia rozwodników żyjących w nowych związkach do komunii świętej. Liczni biskupi z wielu miejsc w świecie po publikacji papieskiej adhortacji „Amoris laetitia” – gorąco zachwalanej przez kard. Kaspera za „przewracającą kartę historii duszpasterską świeżość i odwagę” – ogłosili już, że zamierzają przychylić się do postulatów niemieckiego kardynała i umożliwić rozwodnikom przystępowanie

do komunii. Stało się tak, mimo że nauka Kościoła się nie zmieniła – pozostawanie w związku pozamałżeńskim nadal jest stanem permanentnego grzechu ciężkiego!

Jednak Kościół to nie tylko sprawa rozwodników. Warto więc wiedzieć, jaka jest szersza wizja Chrystusowej Owczarni w myśli kard. Kaspera – a napisał on kilkanaście książek i niezliczoną liczbę artykułów. Wyłaniają się z nich marzenia o Kościele zupełnie innym niż ten znany nam dzisiaj. Niemiecki duchowny chciałby bowiem m.in. decentralizacji Kościoła, zwanej dla zmylenia „różnicowaniem lokalnym”. Powtórzył ten postulat w ostrych słowach, gdy biskupi Afryki przypominali mu o ustanowionej przez Chrystusa nierozzerwalności małżeństwa – Niemiec odrzekł wówczas, że Afrykanie „nie powinni sugerować Europejczykom, co jest dobre dla ich Kościołów”, czym naraził się nawet na oskarżenia o rasizm.

Na czym jednak miałyby owo „lokalne różnicowanie” polegać? Na niczym innym, tylko stworzeniu lokalnych Kościołów, które same sobie będą ustalać doktrynę! A to nie ma nic wspólnego z ideą jednego, powszechnego Kościoła.

Kardynał Kasper promuje także inne pomysły, które wielu duchownych określa mianem herezji. Chodzi chociażby o pomysł „interkomunii” z protestantami, zakładający, że osoby niebędące katolikami, ale mające katolickich małżonków, mogłyby przystępować do komunii świętej w katolickich świątyniach. Niemiecki duchowny lansuje też propozycje ustanowienia w Kościele nowej posługi – diakonatu kobiet – a także dopuszcza udział pań w konklawe. Marzy mu się także „wyraźna zmiana akcentów w podejściu do homoseksualistów”.

Jakby tych pomysłów było mało, niektórzy komentatorzy sugerują nawet, że kard. Kasper... nie wierzy w zmartwychwstanie Chrystusa. Ma to wynikać ze słów zamieszczonych w jego książce pt. „Jezus Chrystus”, gdzie hierarcha napisał, że „pusty grób przedstawia sobą wieloznaczny fenomen, otwarty na różne interpretacje”, a „z gruntu fałszywy rodzaj twierdzenia, jakoby Pan Jezus był dotykany ich rękami oraz jadł przy stole wraz ze swymi ucznia-

mi [...] prowadzi do ryzyka przyjęcia zbyt topornej wiary paschalnej”.

Kardynał Walter Kasper nie ukrywa, że reprezentuje frakcję zaprzeczającą, jakoby Kościół musiał jeszcze zachęcać ludzi do... nawrócenia. Zwłaszcza gdy chodzi o wyznawców heretyckich sekt protestanckich. „Nie postrzegamy dziś już ekumenizmu w sensie powrotu, w wyniku którego inni byłiby nawracani i powracali do Kościoła katolickiego. Podejście takie zostało wyraźnie porzucone podczas Soboru Watykańskiego II” – twierdzi.

Mimo tego, a może właśnie z tego powodu, kard. Walter Kasper pozostaje jednym z najchętniej cytowanych biskupów również przez polskie media.

AMERYKAŃSKI KONSERWATYSTA

Niejako na drugim biegunie sporu o kształt Kościoła znajduje się kard. Raymond Leo Burke ze Stanów Zjednoczonych. Pozostaje on niestrudzoną obrońcą katolickiej ortodoksji i tradycji, co sprawia, że z nadzieją wpatrują się w niego konserwatyści.

Przed abdykacją Benedykta XVI hierarcha z USA piastował funkcję prefekta Trybunału Sygnatury Apostolskiej, a więc przewodził najwyższemu organowi sądowiczemu Kościoła. Za oceanem znano go natomiast dzięki bezkompromisowemu podejściu do aborcji i osób zaangażowanych w ten proceder – duchowny stanowczo odmawiał udzielania komunii świętej politykom



Kardynał Raymond Leo Burke to niestrudzony obrońca katolickiej ortodoksji i tradycji

FOT. FRANCO ORIGLIA/GETTY IMAGES

tworzącym prawo umożliwiające zabijanie nienarodzonych dzieci. Do takiej samej postawy zachęcał swych braci w biskupstwie. Duchowny kategorycznie sprzeciwia się także żądaniom lobby homoseksualnego i podkreśla wagę katolickiej etyki seksualnej we współczesnym świecie. Można więc zaryzykować opinię, że gdyby mieszkał w Polsce, każdego dnia byłby opisywany przez „Gazetę Wyborczą” jako kolejny czarny lud Kościoła. Tym bardziej że oprócz prawni-

czych publikacji ma w swym dorobku tak niedzisiejsze książki, jak pozycje poświęcone czci dla Najświętszego Sakramentu czy Najświętszego Serca Pana Jezusa.

Kardynał Burke przywiązany jest bowiem także do katolickiej tradycji. Pozostaje jednym z bardzo nielicznych biskupów, którzy często odprawiają mszę świętą w tradycyjnym rycie rzymskim. Prałat ten nie wstydzi się przy tej okazji przyodziewać szat, które zakładali wysocy rangą duchowni, zanim w Kościele rozszalało się mylnie pojmowane agiornamenty. Sponując więc jego wizję Kościoła, przeciwnicy mówią o „nadęciu” i „teatralizacji”. Zwolennicy Amerykanina widzą w nim zaś nadzieję na powrót do lat świetności Kościoła wojującego (w kontrze do tego poddającego się), a więc do czasów, gdy Watykan odważnie stymulował społeczeństwa do służenia Bogu, spierając się, a nie „dialogując”, z Jego wrogami.

Świat usłyszał więcej o kardynale z USA, gdy w 2013 r. rozpoczęła się debata na temat dopuszczania do komunii rozwodników. To właśnie kard. Burke najodważniej i najbardziej stanowczo sprzeciwił się takim pomysłom, wykładając obronę chrystusowego nauczania o małżeństwie za pomocą argumentów teologicznych i – jako specjalista ds. prawa kanonicznego – prawnych.

Już natomiast po opublikowaniu adhortacji „Amoris laetitia”, wraz z trzema innymi kardynałami, wystosował do Ojca Świętego list (nazywany przez media „Dubia”) z prośbą o wyjaśnienie licznych wątpliwości, wynikających z wieloznacznych zapisów dokumentu.

Kardynał Burke zapowiedział, że w przypadku braku odpowiedzi będzie zmuszony dokonać formalnej „braterskiej korekty” nauczania Franciszka! Gdyby do takiej sytuacji rzeczywiście doszło, byłby to pierwszy taki akt od kilkuset lat. Hierarcha z USA nie idzie na kompromisy ze współczesnym światem i uważa, że nie powinien iść na nie również Kościół. W zdecydowanych słowach gani sekularyzm i rewolucję seksualną, które nazywa rzuceniem rękawicy cywilizacji chrześcijańskiej, i zwy-

wa katolików, by „w tej wojnie, która się obecnie toczy, wyznawcy Chrystusa stanęli w obronie naturalnego prawa moralnego. W innym przypadku sekularyzm zwycięży i po prostu nas zniszczy”.

CO DALEJ?

Podziały na szczycie kościelnej hierarchii, co oczywiste, nie odpowiadają podziałom wśród partii politycznych. Nie da się też „sondażowo” zbadać, kto cieszy się większym poparciem suwerena. Przyczyn tego stanu rzeczy jest kilka – najbardziej zaś oczywista jest ta, że w Kościele (w jego ziemskim kształcie) suwerenem jest papież. Chcąc więc dowiedzieć się, z czym zdaniem bardziej liczy się Ojciec Święty, należy przyglądać się jego polityce względem danych osób.

W przypadku opisanych tu kardynałów jest to analiza nadzwyczaj prosta. Otóż kard. Kasper – już przy okazji pierwszej publicznej modlitwy „Anioł Pański” – został nazwany przez Franciszka „wybitnym teologiem”, a jego książkę poświęconą miłosierdziu papież polecił wszystkim wiernym (przyznając państwo – jest to reklama, jakich mało). Mimo że kard. Kasper od kilku lat jest już emerytem i nie pełni oficjalnych funkcji w Stolicy Apostolskiej, co wykluczało go z udziału w synodach poświęconych rodzinie i rozwodnikom, wziął udział w nich obu. Jak to możliwe? Papież osobiście go zaprosił, by nadal stymulował debatę.

A kard. Burke? Tuż po synodzie z października 2014 r. papież odwołał go z funkcji prefekta Trybunału Sygnatury Apostolskiej, mimo że zwyczajowo tego typu funkcje pełni się do osiągnięcia wieku emerytalnego (Amerykanin w momencie odwołania miał 66 lat). Bywa oczywiście, że prałata przed emeryturą czeka awans i dlatego zmienia funkcję. Kardynał Burke nie został jednak awansowany, wręcz przeciwnie – zdegradowano go. Pełni dziś symboliczną funkcję patrona Suwerennego Zakonu Maltańskiego, a osoby piastujące ten urząd nie biorą udziału w synodach biskupów. Tak też się stało z kard. Burke’em – po pierwszym synodzie ds. rodziny i rozwodników na synod numer dwa nie został już zaproszony. Kilka miesięcy później został zaś wysłany na daleką wyspę Guam, by tam badać podejrzenia o pedofilię wśród kapłanów. Żadnej oficjalnej odpowiedzi na jego „Dubia” również się nie doczekał.

Liberalny kard. Walter Kasper po latach marginalizacji został przywrócony do łask FOT. FRANCO ORIGLIA/GETTY IMAGES

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Zażyczony na śmierć

Urodziny dotychczas kojarzyły mi się całkiem sympatycznie. Prezenty, imprezki, całusy od ładnych koleżanek, które w innych sytuacjach nie chciały mnie całować. Niestety, mieszanina próżności, dobrego wychowania oraz nowoczesnych technologii uczyniła z urodzin dzień ciężki do zniesienia.

Jak wiadomo, teraz żyje się głównie w mediach społecznościowych. I ja tam czasem wpadam, choć obecnie rzadziej niż kiedyś (rozpolitykowanie jest już nie do zniesienia). Jednak, owszem, był czas, kiedy chciałem mieć jak najwięcej znajomych, a od tych znajomych dostawać jak najwięcej lajków. Dlaczego? Nie wiem do końca. Lajki stały się chyba czymś w rodzaju namiastki sensu życia.

Facebook ma tę sympatyczną cechę, że informuje twoich znajomych o tym, że masz urodziny. Zaczęło się niewinnie. Zaraz po północy dostałem pierwsze życzenia. Zalajkowałem i podziękowałem. Zaraz potem drugie, trzecie, czwarte. Zalajkowałem, podziękowałem, poszedłem spać. Rano czekało na mnie już kilkadziesiąt powinszowań. Co robić – lajkowałem i dziękowałem, aż wreszcie żona na mnie nawrzeszczała, że dziecko się przeze mnie spóźni do szkoły. Faktycznie, spóźniło się, bo jeszcze w drodze do szkoły, dziękowałem.

Kiedy o mało nie wyróżnąłem w tramwaj, stwierdziłem, że czas zatrzymać to szaleństwo. Po prostu – pomyślałem – napiszę ogólne podzięko-

wania dla wszystkich, którzy o mnie pamiętali (to znaczy Facebook pamiętał, ale im się chciało do mnie skrobnąć). Uznałem, że to świetny pomysł. Po kilku godzinach stwierdziłem jednak, że ktoś może się poczuć dotknięty, ponieważ jednemu podziękowałem osobiście, a drugiego wrzuciłem do ogólnego wora. Tak nie wolno. Skoro już zacząłem, to trzeba podziękować każdemu indywidualnie.

Wróciłem do świata wirtualnego, a tam czekało na mnie ponad 200 życzeń. I napływały kolejne. Kiedy odpowiadałem na nie na bieżąco, niczym innym się nie zajmowałem, ale nie miałem zaległości. Teraz znalazłem się w sytuacji ucznia, któremu pani każe pisać sto razy: „Już nigdy więcej nie będę rozmawiał na lekcjach”. Palce mnie bolały od stukania, a jeszcze durna kindersztuba podpowiedziała mi, że nie wolno każdemu odpowiadać w ten sam mechaniczny sposób. Opracowałem więc kilka wariantów: dzięki, dziękowa (to do młodziaków), dziękować, dziękuję bardzo z serduszkiem (do lasek). A niektórzy pisali do mnie sążniste listy, na które nie wypadało odpowiadać zdawkowo, tylko równie sążniscie.

Chociaż abdykowałem z wszelkich obowiązków domowych, to i tak nie dałem rady. Żona się na mnie obraziła, a dziecko naburmuszyło. Do późnej nocy dziękowałem, nawet nie napiwszy się za swoje zdrowie. I nikt mnie nie całował. A niech cholera weźmie takie urodziny! ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Kiedy?

Prawdopodobnie jedynie autorzy fantastyki mogą próbować odpowiadać na pytanie: Kiedy skończy się wojna polsko-polska? Jako niezłomny optymista miałem nadzieję, że gdzieś po roku od wyborów 2015 konflikt zacznie z wolna wygasać, część opozycji spuści z tonu, społeczeństwo w swej masie zacznie zauważać ewidentne sukcesy, a elity dadzą się kupić.

Niestety (gdzieś w tle rozlega się śmiech Stalina) walka w ramach postępu „dobrej zmiany” zamiast słabnąć, się zaostrza. Przemoc dotąd

Jedynie rozwiązanie to przyspieszenie marszu

werbalna ociera się o fizyczną, niechęć wobec TV PiS zmienia się w coraz bardziej otwarty bojkot, a opozycja przegrupowała siły i odzyskuje sondażowe słupki.

Oczywiście trudno zakładać, że nawrócą się byli esbecy, podczepieni pod PO aferzyści, zawodowi działacze. Ale reszta? Myślenie stadne, wpływ mediów, wreszcie zwyczajny wstyd – to potężne hamulce. Do przełomu psychicznego potrzebne jest jedno. Utrata nadziei, że może być znowu tak, jak było. A do tego potrzebne są kolejne wybory wygrane przez obóz Kaczyńskiego.

Po ośmiu latach obecnych rządów nawet zmiana władzy nie doprowadzi do likwidacji

IPN czy CBA, nie zrewiduje polityki zagranicznej. Nie zasypimy tunelu do Świnoujścia czy przekopu Mierzei Wiślanej, nie zaorujemy centralnego lotniska, nie oddamy nieruchomości warszawskich złodziejom ani banków ponownie obcym. Nie mówiąc już o „500+”, wieku emerytalnym czy reformie szkolnictwa.

Tyle że trzeba zdecydować nie wygrać, a to nie jest aż tak pewne jak pół roku temu. Ofensywa medialna utknęła – każda ze stron ma swoje telewizje i ta nasza zajmuje się głównie przekonywaniem przekonanych. Wobec artystów – środowiska chyba najbardziej opornego na dobrą zmianę – nie stosuje się ani kija, ani marchewki.

Jedynie rozwiązanie to przyspieszenie marszu. Fakty można różnie interpretować, ale trudno im zaprzeczać. Stąd wielkie oczekiwanie na pierwsze prawomocne wyroki skazujące w procesach przekręciarzy, połączone z rekompensatą dla pokrzywdzonych, istotny, a nie jedynie werbalny postęp w śledztwie smoleńskim. A w sferze kultury? Na przykład przywrócenie uzysku podatkowego (dla budżetu państwa kwoty bez znaczenia, dla twórców – majątek), uruchomienie na wielką skalę państwowego mecenatu. I to mecenatu realizowanego głównie przez media publiczne. Zaryzykuję twierdzenie, że każda złotówka wydana na TVP czy Polskie Radio opłaci się stukrotnie.

A wtedy, kiedy przyjdzie policzyć się przy następnych wyborach, zdziwimy się, że jest nas tak dużo. ©©



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO



Nagroda dla twórców kultury
stojących na straży prawdy i umiłowania
wolności. Jej laureatem może zostać osoba,
której działalność wpisuje się w hasło:
„A jednak coś po nas zostanie”.

Nagroda
im. Przemysława Gintrowskiego
za wolność w kulturze

Na zgłoszenia kandydatów czekamy do 30 września
pod adresem: **fundacja@gintrowski.pl**

MECENAS WYDARZENIA

PARTNER WYDARZENIA

WSPÓŁORGANIZATOR:

PATRONI MEDIALNI:



NARODOWY
INSTYTUT
AUDIOWIZUALNY
NiNA

wprost



Polskie almanachy gotajskie



Tomasz Lenczewski

Zmiany pokoleniowe i brak kultywowania tradycji skazały publikacje dotyczące korzeni rodzin na wymarcie

W 1764 r. w saksońskiej miejscowości Gotha niemiecki wydawca Justus Perthes opublikował pierwszy almanach gotajski, rodzaj rocznika genealogicznego, który potocznie nazywano „kalendarzem gotajskim”. Do 1944 r. jego spadkobiercy wydali w różnych mutacjach setki almanachów genealogicznych. Od początku XIX w. wiele polskich rodzin szlacheckich zamieszczało w nich swoje rodowody, a ich potomkowie do II wojny światowej chętnie prenumerowali to cykliczne dzieło. Publikowanie podobnych informatorów towarzyskich stało się z czasem standardem w zachodniej Europie.

ROZNIKI DUNIN- BORKOWSKIEGO

Almanachy gotajskie zawierające genealogie niektórych rodów polskich, głównie o proveniencjach niemieckich (pochodzenie, szlachectwo lub tytuł), zainspirowały również polski rynek wydawniczy. W latach 1881–1883 Jerzy Seweryn hr. Dunin-Borkowski wydał we Lwowie dwa kilkusetstronicowe „Roczniki szlachty polskiej”. Były one zbliżone

formatem do ich niemieckich odpowiedników, wydane na cienkim papierze i zawierały informacje o setkach polskich rodzin szlacheckich. W przypadku zwykłych rodzin szlacheckich wyprzedziły one aż o 19 lat almanachy gotajskie, które dopiero u progu XX w. rozpoczęły coroczną edycję genealogii takich nieutytułowanych rodzin.

Z czasem hr. Dunin-Borkowski skupił się wyłącznie na rodach arystokratycznych, publikując tomy „Genealogie żyjących utytułowanych rodów polskich” (1895) oraz „Almanach błękitny. Genealogia żyjących rodów” (1908) ze 156 rodzinami. Ideą jego przedsięwzięcia było całościowe ujęcie polskich rodów utytułowanych, bez względu na proveniencję ich tytułów. Cechą wspólną wszystkich wydań almanachowych była zasada cezury czasowej, to jest pomijania osób zmarłych bezpotomnie między datami poszczególnych edycji.

Współcześni wychwalali w recen-

Jerzy Sewer Dunin-Borkowski pod koniec XIX w. wydał we Lwowie „Roczniki szlachty polskiej” FOT. ARCHIWUM AUTORA



zjach „Almanach błękitny”. Dopiero z biegiem czasu zaczęto się odnosić do dzieła galicyjskiego hrabiego krytycznie. Znamy zarzucali mu powierzchowność i fragmentaryczność informacji. Dunin-Borkowski miał trudności w pozyskiwaniu informacji od rodzin spoza Galicji, szczególnie z Królestwa Polskiego i Rosji. Historycy podkreślali jego pobłażliwość wobec tzw. tytułów średniowiecznych, stanowiących tradycję rodów. Przykładem tego był rzekomy XIV-wieczny tytuł hrabiowski rodziny Lanckorońskich i Russockich (wierzyła w niego do końca swego długiego życia prof. Karolina hr. Lanckorońska) i XVI-wieczny Dunin-Borkowskich. Wreszcie dochodziły przemilczenia małżeństw uważanych współcześnie za niepochlebne dla rodzin. Powtórny ślub matki autora hrabianki Laury Krasickiej z synem bankiera żydowskiego (i hrabią papieskim!) Lesserem spowodował skandal towarzyski we Lwowie. Zakończył się on zresztą odebraniem matce Jerzego Sewera praw rodzicielskich nad dziećmi. Syn Laury, podobnie jak rodzina Krasickich w almanachach gotajskich, przemilczał takie małżeństwo. Zbulwersowany tym Zygmunt Lesser wykupił za niemałe pieniądze

osobny artykuł w oryginalnym almanachu gotajskim celem udokumentowania tego związku.

Mimo poddania surowej krytyce naukowej „Almanach błękitny” pozostaje do dziś wzorem w polskiej literaturze genealogicznej. W Galicji „Sewer”, jak go niektórzy potocznie nazywali (rządziej „Orcio”, jako symbol błękitu w wyższych sferach), zajmował w bibliotekach dworskich i pałacowych specjalne miejsce jako podstawowy informator towarzyski.

CHUDE LATA II RZECZYPOSPOLITEJ

W połowie lat 20. ubiegłego wieku spółka Eydziatowicz – Woroniecki wprowadziła na rynek wydawniczy nowoczesne dzieło noszące tytuł „Almanach Woreyd – Polska Towarzyska”. Był to obszerny informator z tysiącami nazwisk polskiej śmietanki towarzyskiej, nie zawierał jednak danych genealogicznych. Znaleźli się w nim zarówno ziemianie, jak i przemysłowcy, urzędnicy oraz ludzie wolnych zawodów (oczywiście wielu z nich nie miało korzeni szlacheckich; był to bardziej przykład sukcesu zawodowego i tworzenia się nowej warstwy inteligenckiej w odro-

dzonej Rzeczypospolitej). To przedsięwzięcie wydawnicze upadło po trzech edycjach. W tym czasie Ludgard hr. Grocholski, inicjator ruchu szlacheckiego, podjął niezbyt szczęśliwą próbę wskrzeszenia polskiego almanachu genealogicznego. Pod szyldem własnego Instytutu Heraldycznego wydał jeden tom „Almanachu polskich rodzin utytułowanych” (1935). Dzisiaj ta bibliograficzna rzadkość pozostaje w sprzeczności z jego wartością. Wydawca uwzględnił bowiem rodziny, których aspiracje do tytułów zostały zaspokojone dzięki jego komercyjnej działalności, oraz rodziny o wątpliwej prawnej wartości tytułu. Tuż przed samą wojną późniejszy agent gestapo, S.J. „Starykoń” Kasprzycki, autor bałamutnej, ale popularnej po dziś dzień „Polskiej encyklopedii szlacheckiej”, zainicjował wydanie „Almanachu szlacheckiego” (1939), którego wartość poza kompilacją herbarzy nosiła znamiona naginania genealogii i dopisywania tytułów zgodnie z gustami rodzin.

EMIGRACYJNE ODRODZENIE

Reakcją na rozpowszechnione w dwudziestolecie międzywojennym, a zwłaszcza bezpośrednio po wojnie na emigracji,

REKLAMA

Edyta Hołdyńska

**EMIGRACJA
AMBICJI**

MŁODZI, WYKSZTAŁCENI I BEZ PIENIĘDZY.
PRAWDZIWE HISTORIE LUDZI, KTÓRZY
EMIGRACJĘ POZNALI OD PODSZEWKI.
LUDZI, KTÓRZY ZAWSZE BĘDĄ TĘSKNIĆ.
NA OBCYZYŃNIE – ZA DOMEM, W POLSCE
– ZA MOŻLIWOŚCIAMI WIELKIEGO ŚWIATA.

WWW.ZYSK.COM.PL
ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

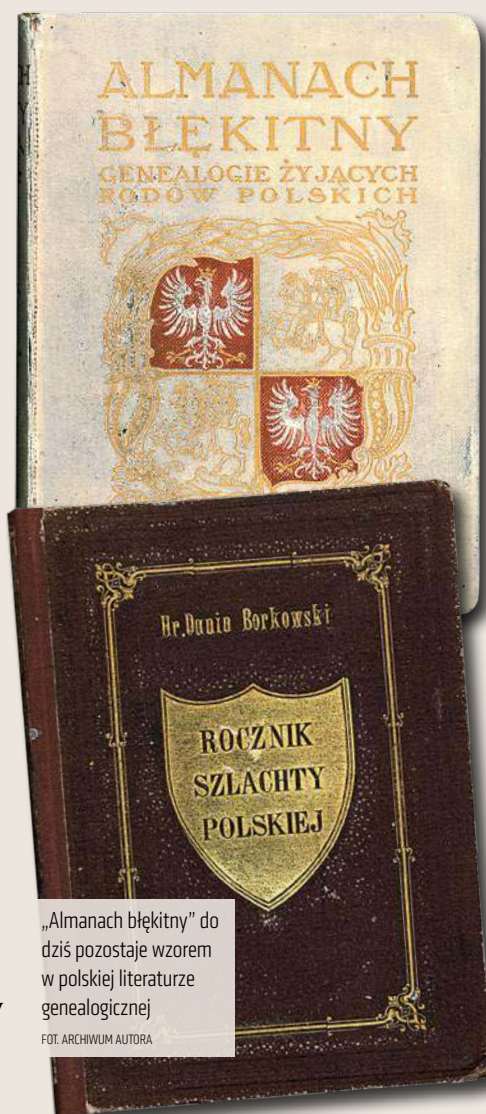
■ masowe uzurpacje tytułów opartych na wątpliwych podstawach prawnych bądź używanie tytułów zgoła urojonych, była paryska edycja pomnikowego dzieła Szymona Konarskiego „Armorial de la noblesse titrée polonaise” (1958). Autor skoncentrował się – i to w sposób nadzwyczaj krytyczny – na ujęciu podstaw prawnych tytułów poszczególnych rodów polskich. Trud dalszej szczegółowej pracy genealogicznej podjął mieszkający w Paryżu dyplomata Edward Borowski, który w latach 1964–1985, w charakterze dodatków do „Materiałów do biografii, genealogii i heraldyki polskiej”, opublikował pięć serii „Genealogii niektórych polskich rodzin utytułowanych”. Było to wydawnictwo zeszytowe, ograniczone do genealogii bez szerszej informacji. Po śmierci autora, którego archiwum przepadło, rodzina Kostków w Paryżu wykorzystała wstęp Konarskiego i kilkanaście genealogii z prac Borowskiego. Do tej kompilacji dołożona została genealogia Kostków z tytułem hrabiowskim (sic!), a całość wydana luksusowo jako „Armorial genealogique de la noblesse polonaise” (1992).

Idea wydawania almanachów gotajskich odrodziła się w Niemczech po II wojnie światowej. Są publikowane pod nazwą „Gothaische Genealogische Handbuch”. W niektórych tomach znalazły się zaktualizowane genealogie polskich rodzin, głównie utytułowanych.

W III RZECZYPOSPOLITEJ

Profesor Włodzimierz Dworzaczek przewidywał w czasach głębokiego socjalizmu, że informacyjno-towarzyska rola almanachów genealogicznych odeszła – przynajmniej w Polsce – do przeszłości. Stało się to jednak nie wskutek przemian światopoglądowych, lecz zmian obyczajowych potomków szlachty polskiej.

Po upadku PRL ukazał się popularny informator Sławomira Leitgebera „Nowy almanach błękitny” (1993), pomyślany jako wydawnictwo typowo komercyjne. Prezentował on jedynie fragmenty genealogii. Ciekawą próbę almanachu genealogiczno-biograficznego podjął Andrzej Kulikowski w opracowaniu „Polskie rody szlacheckie. Kto jest kim dziś” (1993) zawierającym informacje o 114 rodzinach szlacheckich. Mimo dość widocznych nierówności w poszczególnych opracowaniach, gdzie znalazły się również rody o słabo udokumentowanym szlacheństwie, był to pierwszy i jak dotąd jedyny solidnie



opracowany pod względem formy nowoczesny almanach tego typu rodzin.

Również autor tego tekstu podjął próbę uporządkowania zagadnienia w publikacji „Genealogii rodów utytułowanych w Polsce” (1997). Chodziło o wypełnienie luki powstałej od czasu wydania „Almanachu błękitnego” i uaktualnienie informacji genealogicznych. Aktualizacja oparta została na nowszych źródłach zawierających korektę historii niektórych rodów oraz zawierała uzupełnienie informacji dotyczących osób wymienionych przez Dunin-Borkowskiego, dla których z różnych przyczyn zabrakło miejsca w polskich wydawnictwach genealogicznych. W szerszym zaś zakresie chodziło o nakreślenie współczesnego wizerunku socjologicznego utytułowanych rodów w Polsce. Przedsięwzięcie to, podobnie jak projekty moich poprzedników, skończyło się fiaskiem. Bynajmniej nie z powodów finansowych,

ale m.in. wskutek słabego zainteresowania rodzin, którym było ono dedykowane. Przyczyna niepowodzeń tego rodzaju wydawnictw w Polsce jest dość złożona. Większość przedstawicieli historycznych rodów polskich, zwłaszcza utytułowanych, jest dziś zaledwie nosicielami historycznych nazwisk. Nie bez znaczenia jest tu również zmiana pokoleniowa, a raczej brak ciągłości historycznej między 1945 a 1990 r., podobnie jak między ziemianstwem pozbawionym majątków po 1944 r. a ich potomkami w III Rzeczypospolitej. Z kolei strona internetowa potomków szlachty polskiej, jak Sejm Wielki czy Wielka Genealogia Minakowskiego, zawierająca oprócz genealogii również informacje o polskich rodzinach ze szlacheństwem i ich tytułach, jest przykładem braku rzetelnej wiedzy autora o zagadnieniach prawnych związanych z tematem w połączeniu z nieczytelną dla odbiorcy prezentacją.

Tymczasem na rynku wydawniczym można zaobserwować zjawisko zbliżone do przedwojennej działalności Kasprzyckiego. Pojawiają się dzieła na luksusowym poziomie wydawniczym, całkowicie bezwartościowe pod względem historycznym i informacyjnym. Przykładem tej działalności są: „Księga herbowa Aleksandra Podolskiego” (2014) oraz „Armorial, czyli poczet herbów Bogusława Jerzego Zajączkowskiego” (2005). Jan Godziemba-Maleszewski, dawny genealog, w swoim niepublikowanym pamiętniku podsumował podobne zjawiska w Polsce międzywojennej: „Nikommu nie przychodzi do głowy, aby to zrobić porządnie, po kupiecku, tylko albo po wielkopańsku, albo po szachrajsku”.

Almanachy gotajskie w takiej postaci, w jakiej stworzył je ich pomysłodawca Justus Perthes, nie byłyby dziś sukcesem wydawniczym. Internet przyzwyczaił odbiorców do szybkiej aktualizacji informacji, co w przypadku tego rodzaju pomnikowych wydawnictw nie jest możliwe. Padły one zresztą ofiarą pewnego rodzaju paradoksu: rosnąca wciąż popularność „poszukiwania korzeni”, a przez to rozwijania genealogii, nie służy idei publikowania wywodów przodków ograniczonych tylko do wybranych rodów. Pomoc w tych poszukiwaniach stała się obecnie olbrzymim biznesem, więc kultywowanie elitarności w tym zakresie raczej skazane jest na niepowodzenie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

KONIEC systemu

Wtorek 21:30



Dorota Kania

Teraz Telewizja Republika NA ŻYWO i ZA DARMO on-line ► www.telewizjarepublika.pl



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Łapownicy z II RP

Rzeczpospolita nr II odpowiada mi znacznie bardziej niż III Rzeczpospolita.

Gdybym mógł wybierać, wolałbym żyć wtedy. Jednocześnie jednak zawsze protestuję przeciwko całkowicie bezkrytycznemu idealizowaniu przedwojennej Polski. Przedstawianiu jej jako idealnego państwa, zamieszkanego przez chodzące anioły.

W II RP nie mieszkali anioły, tylko ludzie. A więc byli wśród nich jednostki przyzwoite, ale były i świnię. Naprawdę nie każdy z naszych przodków – jak wmawiają nam brązownicy historii – był ultrapatriotą, który myślał tylko o dobru ojczyzny. Dowodem na to mogą być – opublikowane w nowej „Karcie” fragmenty wspomnień urzędnika Najwyższej Izby Kontroli Mieczysława Dębskiego.

Dębski zajmował się kontrolą ministerstw i innych państwowych instytucji, co okazało się zajęciem niezwykle „wdzięcznym”. Musiał bowiem ścigać aferzystów działających na najwyższych szczeblach władzy.

A to przysparza wielu potężnych wrogów.

W pierwszych latach Niepodległej największą zmorą byli ludowcy. Jeden z ministrów sprawujących funkcję z ramienia tego stronnictwa obdarował hojnie przybyłą do niego

chłopską delegację. Śledztwo wykazało, że delegacja ta składała się z członków jego rodziny.

Ludowcy byli zamieszani w przekręt przy zakupie majątku Dojlidy, a także malwersacje spółek drzewnych w Galicji. Wszystko to przynosiło Skarbowi Państwa milionowe straty, wypełniało za to kieszenie „wybrańców ludu”. Nad całym procederem – zdaniem Dębskiego – parasol ochronny roztoczył Witos.

Nie popisał się również premier Władysław Grabski, który miał korumpować posłów, wręczając im łapówki w formie kredytów Banku Gospodarstwa Krajowego. Gdy sprawa wyszła na jaw, Grabski zrzucił winę na dyrektora tej placówki. „Przyjmuję na siebie całą odpowiedzialność – powiedział dyrektor – skoro byłem tak głupi, że uwierzyłem na słowo polskiemu premierowi”.

Po zamachu majowym na celownika NIK znaleźli się zaś oczywiście piśsudczycy. Dębski znowu miał pełne ręce roboty.



★★★★★
„KARTA”
91/2017

Poza tym w nowej „Karcie” ciekawe materiały o przeniesieniu Ossolineum ze Lwowa do Wrocławia. A także wstrząsające relacje Niemców, którzy padli ofiarą prześladowań ze strony polskich komunistów po II wojnie światowej. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Wojna i finanse

Napoleon mawiał, że do skutecznego prowadzenia wojny trzeba trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Potwierdził w ten sposób tezę znaną już od stuleci – długotrwałe wojny wygrywają ci, którzy dysponują większymi zasobami finansowymi. Tak też wielokrotnie było w dziejach

shausena. Zdarzyło się nawet, że kilku z nich weszło do jego sypialni, aby sprawdzić, czy nie ukrył pieniędzy w swoim łóżu, a jeden z nich wytargał dostojnika za brodę, żądając zapłaty za służbę. Nikt z braci zakonnych na zamku nie był pewien wolności ani życia. Wreszcie dowódca zaciężnej załogi – Czech, Ulryk Czerwonka – doszedł do porozumienia ze stroną polską i w zamian za pokrycie należności krzyżackich zobowiązał się wydać Malbork.

**6 czerwca 1457 r.
wojska polskie
wkroczyły
na malborski zamek**

W Polsce zapanowała pełna mobilizacja: pospiesznie uchwalano kolejne podatki, duchowieństwo oddawało na potrzeby państwa naczynia liturgiczne, duże kwoty wyłożyły miasta pomorskie. Zebrano część obiecaną sumy (równowartość ponad pół tony złota), co wystarczyło, aby najemnicy zmusili wielkiego mistrza do opuszczenia Malborka. Zakonnik z płaczem wyjechał z twierdzy eskortowany do granicy z Pomorzem Zachodnim, a 6 czerwca 1457 r. wojska polskie wkroczyły na malborski zamek.

Polski, a szczególnie wojna trzynastoletnia z zakonem krzyżackim przebiegała według takiego scenariusza.

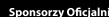
Już od samego początku obie strony miały problemy finansowe, a z czasem kłopoty narastały. W pierwszych tygodniach wojny marsz armii polskiej na północ przypominał pochód triumfalny, a w rękach krzyżackich pozostały wyłączenie Malbork i Chojnice, ale sytuacja niebawem uległa zmianie.

Zakonnikom udało się zaciągnąć na zachodzie Europy najemników i wygrać bitwę pod Chojnicami. Zaczęli też odzyskiwać stracone miasta i niebawem przy Polsce pozostało niewiele więcej niż połowa zdobyczy. Na szczęście najemnikom trzeba regularnie płacić, a na to Krzyżacy nie mieli już pieniędzy. W Malborku dochodziło do dantejskich scen, zaciężni poniżali wielkiego mistrza, Ludwiga von Erlich-

Dwa dni później do twierdzy przybył osobiście Kazimierz Jagiellończyk, sankcjonując w ten sposób jej przyłączenie do Polski. I chociaż wojna miała potrwać jeszcze dziewięć lat, to zamku w Malborku Krzyżacy nie odzyskali już nigdy. Jagiełło nie zdobył go siłą po Grunwaldzie, w zamian jego syn dokonał tego za pomocą pieniędzy. Przekupstwo to przecież taki sam sposób prowadzenia polityki jak zwycięska bitwa, a czasami chyba nawet o wiele bardziej skuteczny. ©©

UCI WORLD TOUR

Sponsor Główny



LANGTEAM

Ustrzelić prezydenta



Jacek Przybylski

Donald Trump wpadł w największe tarapaty od początku prezydentury. Demokraci chcą szybkiego impeachmentu. Cierpliwość wobec Białego Domu tracą już nawet republikanie

Wzywam do impeachmentu prezydenta Stanów Zjednoczonych za utrudnianie działań wymiaru sprawiedliwości – ogłosił w środę na forum Izby Reprezentantów kongresmen z Partii Demokratycznej Al Green. Czy prezydent Trump rzeczywiście w ciągu pierwszych tygodni urzędowania popełnił przestępstwo, za które może wkrótce stracić urząd? Ostro spierają się o to prawnicy przeciwników i zwolenników obecnego gospodarza Białego Domu. Na razie pewne jest jedno: zeszły tydzień był jak dotąd najgorszy w krótkiej historii urzędowania 45. przywódcy Stanów Zjednoczonych.

UDERZYĆ W TRUMPA

– Musimy poznać fakty. Jest oczywiście, że są ludzie, którzy chcą uderzyć w prezydenta – tak Donalda Trumpa bronił spiker Izby Reprezentantów Paul Ryan. Część członków Partii Republikańskiej ma już jednak dość nieustannych problemów obecnego gospodarza Białego Domu. Możliwość głosowania za pozbawieniem urzędu Donalda Trumpa w ramach procedury impeachmentu doprowadziła już nawet jeden z republikańskich kongresmenów Justin Amash.

To pierwszy taki oficjalny głos ze strony Partii Republikańskiej. Oburzonych konserwatystów jest więcej. – Nie może być tak, że mamy permanentny chaos, a praktycznie każdego dnia podnoszone są poważne wątpliwości – przekonywała otwarcie senator Susan Collins, podkreślając, że ciągłe afery uniemożliwiają podjęcie prac m.in. nad reformą systemu opieki zdrowotnej. W podobnym tonie wypowiedział się też m.in. lider większości Senatu republikanin Mitch McConnell, a popularny senator i były republikański kandydat na prezydenta John McCain wprost porównał obecną aferę do słyn-

nej Watergate, która kosztowała stanowisko prezydenta Richarda Nixona.

Afera, która może zakończyć polityczną karierę Donalda Trumpa, dotyczy śledztwa w sprawie tajemniczych kontaktów Michaela T. Flynna, generała, który zapisał się na kartach historii jako najkrócej urzędujący doradca prezydenta USA ds. bezpieczeństwa narodowego. Swoją funkcję sprawował zaledwie przez trzy tygodnie i trzy dni – media ujawniły bowiem, że Flynn okłamywał wiceprezydenta Mike'a Pence'a w sprawie swoich kontaktów z rosyjskim ambasadorem w Waszyngtonie Siergiejem Kislakiem.

W tej sprawie wyraźnie widać, jak bardzo Trumpowi brakuje doświadczenia politycznego, które nakazywałoby mu większą ostrożność w kontaktach z urzędnikami i dyplomatami niż partnerami biznesowymi. Jak ujawnił w zeszłą środę dziennik „The New York Times”, w lutym – zaledwie kilka tygodni po inauguracji – Trump odbył rozmowę w cztery oczy z ówczesnym szefem FBI. „Mam nadzieję, że odpuści już pan sobie to śledztwo, bo Flynn jest niewinny” – miał usłyszeć od prezydenta James Comey, który po spotkaniu z prezydentem sporządził w tej sprawie formalną notatkę. Wbrew pozorom w USA taka notatka to ciężki do podważenia dowód. Pracownicy FBI cieszą się bowiem w Ameryce sporym zaufaniem. Poza tym Comey był wówczas przez Trumpa oficjalnie chwalony (został nagłe zdymisjonowany 9 maja). Trudno więc przypuszczać, żeby miał powody fałszować dokumenty, aby wrobić prezydenta w sprawę nielegalnej ingerencji w śledztwo.

Miliarder z Białego Domu sam dał więc podpałkę pod polityczny ogień, który pod kotłem z napisem „impeachment” jego przeciwnicy próbują podłożyć od momentu wygranej Trumpa w listopadowych wyborach prezydenckich. I to podpałkę nie byle jaką. Śledztwo dotyczyło przecież bliskiego współpracownika Donalda Trumpa, którego podejrzewa się nawet o potencjalną zdradę. Na niewiele zdały się więc zapewnienia Białego Domu, którego pracownicy przekonywali, że Trump nigdy nie prosił o wstrzymanie jakiegokolwiek dochodzenia, a jedynie wielokrotnie podkreślał, iż gen. Flynn to „przwywoity człowiek”.

RUSSIAGATE CZY POLITYCZNA SCHIZOFRENIA?

Politycy w Waszyngtonie pamiętają o tym, że już w przyszłym roku

KSIEGARNIA



WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA

PREZENT



Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 28 maja 2017 r.



ZAMÓW:
www.ksiegarniadorzeczy.pl

☎ 12 431 25 78

■ odbędą się w USA wybory do Kongresu (tzw. midterm elections). Demokraci widzą w nich szansę na odbicie wielu miejsc w Izbie Reprezentantów, część republikanów boi się zaś, że przez niezadowolone wybory z Donalda Trumpa stracą swoje mandaty. Na wiadomość, że Departament Sprawiedliwości mianował byłego szefa FBI Roberta Muellera specjalnym prokuratorem, którego zadaniem będzie zbadanie kontaktów z Rosją Donalda Trumpa i jego współpracowników, przychylnie zareagowali więc nie tylko członkowie Partii Demokratycznej, lecz także niektórzy republikanie. Na razie część polityków Partii Republikańskiej wierzy jednak jeszcze, że może odzyskać poparcie wyborców, np. przyjmując reformę podatkową. Jeśli do jesieni nie uda się ani to, ani przyjęcie nowego systemu opieki zdrowotnej, to można się spodziewać, że liczba nieprzychylnych Trumpowi polityków republikańskich znacząco wzrośnie.

Ważnie nieoficjalnie wiadomo, że informację tę podali Amerykanom sojusznicy z Izraela, zastrzegając, by nie dzielić się jej szczegółami nawet z najbliższymi sojusznikami, przekazanie tej informacji Rosjanom – współpracującym z reżimem syryjskiego dyktatora Baszara al-Asada oraz z władzami w Teheranie – może bezpośrednio zagrozić życiu agenta.

Ekipa Białego Domu, komentując rewelacje dziennikarzy, kolejny raz strzeliła sobie w stopę. Najpierw szef amerykańskiej dyplomacji Rex Tillerson oraz doradca prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego gen. Herbert R. McMaster zaprzeczyli informacjom „The Washington Post”. Kilka godzin później sam prezydent Trump niespodziewanie potwierdził sensacyjne doniesienia dziennika, oznajmiając w swój ulubiony sposób – czyli umieszczając wiadomość na Twitterze – że przekazał Moskwie informacje wywiadowcze, ponieważ ma „absolutne prawo” dzielić się z innymi

skandalu zapewnił oficjalnie, że Trump nie ujawnił Moskwie żadnych sekretów. Władimir Putin zapowiedział także, że udostępni Kongresowi zapis rozmów nagranych podczas spotkania prezydenta USA z rosyjskimi dyplomatami, jeśli nic przeciwko temu nie będzie miała amerykańska administracja. Całą aferę gospodarz Kremla nazwał zaś „polityczną schizofrenią”. I choć szybko zastrzegł, że „Rosja nie zamierza się wtrącać”, to musiał wiedzieć, że swoim wystąpieniem wyświadcza prezydentowi USA niedźwiedzią przysługę. Od momentu inauguracji na prezydenturze Donalda Trumpa wielki cień kładzie Kreml. Dziwne powiązania czy wręcz zależność gospodarza Białego Domu od Kremla to ulubiony temat satyryków, co rusz sugerujących, że prawdziwym przywódcą Ameryki jest od stycznia Władimir Putin. To również ulubiony sposób ataku na Donalda Trumpa w wykonaniu członków Partii Demokratycznej oraz publicystów przychylnych liberałom mediów. Te ostatnie oceniają Trumpa wyjątkowo krytycznie. Według raportu Media Research Center, które przeanalizowało jeden dzień pracy CNN, 12 maja stacja ta 92 proc. czasu antenowego poświęciła prezydentowi, którego negatywnie oceniało 78 proc. zaproszonych gości, a pozytywnie zaledwie 6 proc.

Prowadzenie polityki nowemu gospodarzowi Białego Domu znacząco utrudnia bowiem zażarty konflikt ze służbami specjalnymi. To dzięki nim sprzyjające Partii Demokratycznej media mogą liczyć na regularne przecieki pograżające Donalda Trumpa. Trwający od miesięcy bardzo ostry spór między Białym Domem a agencjami wywiadowczymi może wynikać m.in. z faktu, że sprawny biznesmen nie docenia swych politycznych przeciwników w Waszyngtonie – demokraci przez osiem lat rządów Baracka Obamy mieli okazję obsadzić swoimi ludźmi wiele ważnych stanowisk m.in. w agencjach wywiadowczych. Ci zaś mają i motyw, i narzędzia, aby jak najszybciej pozbyć się z Białego Domu prezydenta przynajmniej formalnie pochodzącego z obozu Partii Republikańskiej.

– Żaden polityk w historii, i mówię to z pewnością, nie był traktowany gorzej lub bardziej niesprawiedliwie – żali się więc publicznie Donald Trump, który sam nie może być już pewny, czy dotrwa do końca pierwszej kadencji.

Prowadzenie polityki Donaldowi Trumpowi znacząco utrudnia zażarty konflikt ze służbami specjalnymi

Zwłaszcza że sprawa Flynna i notatki FBI to niejedyny nowy kłopot prezydenta. W Ameryce zawrzało już wcześniej, gdy „The Washington Post” napisał, że prezydent Donald Trump podczas spotkania z szefem rosyjskiej dyplomacji Siergiejem Ławrowem oraz ambasadorem Rosji w Waszyngtonie Siergiejem Kislakiem ujawnił tajne informacje wywiadu. Według relacji dziennika pracownik Rady Bezpieczeństwa Narodowego, który przysłuchiwał się rozmowie prezydenta z rosyjskimi dyplomatami, ponoć gdy tylko usłyszał, jakim sekretem podzielił się gospodarz Białego Domu z przedstawicielami Kremla, natychmiast wybiegł z sali, aby jak najszybciej ostrzec CIA i inne amerykańskie agencje wywiadowcze.

Cóż takiego powiedział Donald Trump? Jak podał „The Washington Post”, prezydent USA ujawnił przedstawicielowi rosyjskich władz, że szefowie tzw. Państwa Islamskiego chcą wykorzystać do zamachów laptopy wnoszone na pokład samolotów. Prezydent USA miał też ponoć podać miasto, w którym działa agent będący w ścisłym kierownictwie mułmańskich terrorystów. A ponie-

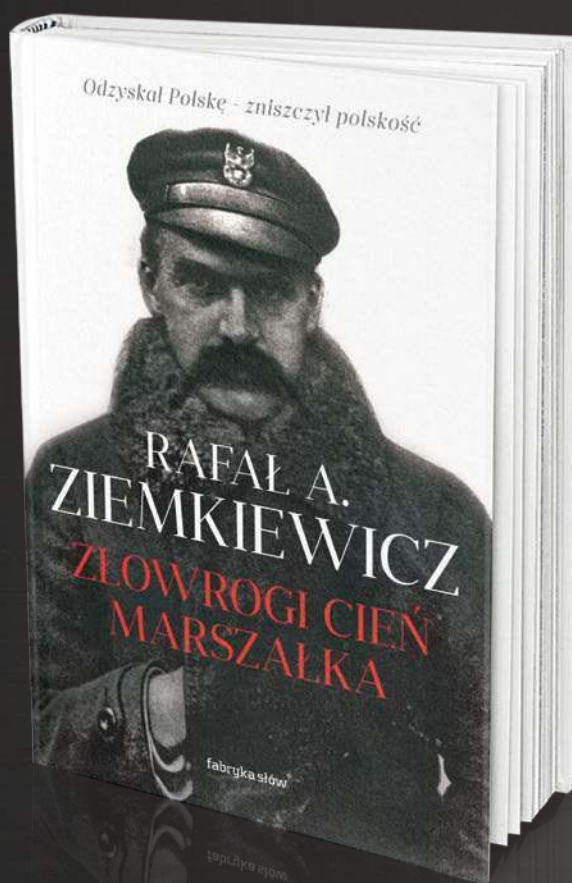
krajami faktami dotyczącymi terroryzmu i bezpieczeństwa transportu lotniczego. Trump tłumaczył, że zrobił to z powodów humanitarnych, a także z chęci nakłonienia Rosjan do zintensyfikowania walki z Państwem Islamskim.

Po tych słowach gospodarza Białego Domu swoje oświadczenie musiał nagle przekształcić gen. McMaster. Próbował też przekonywać, że zagrożeniem dla bezpieczeństwa Ameryki nie są tajemnice, które Trump przekazał Ławrowowi, lecz „postępowanie osób, które nielegalnie ujawniły informacje mediom”. I chociaż raczej mało kogo w ten sposób przekonał, to zwrócił uwagę na największy problem Donalda Trumpa. 45. prezydent USA od kilku miesięcy nie potrafi odnaleźć w swym najbliższym otoczeniu wszystkich kretów, które donosząc mediom o różnych wypadkach przywódcy Ameryki, skutecznie podkopują pozycję Trumpa i tworzą wrażenie, jakoby w Białym Domu panował gigantyczny chaos.

Dyplomatycznego smaczku całej aferze dodaje fakt, że za amerykańskim prezydentem wstawił się oficjalnie nawet przywódca Rosji. Wkrótce po wybuchu

CZYTAJ CO TYDZIEŃ **W LEPSZEJ CENIE** **ZAMÓW PRENUMERATĘ**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”
+ KSIĄŻKA RAFAŁA A. ZIEMKIEWICZA „ZŁOWROGI CIEŃ MARSZAŁKA”



„Rzucam na Polskę za duży cień”, miał ponoć powiedzieć Marszałek, z właściwą swej starości megalomanią. Duży czy mały – nie w tym rzecz, ale w tym, że jest to cień, w którym nic dobrego nie może wyrosnąć. W którym kwitnąć może tylko wiara w prymitywne recepty, w to, że wszystko stać się może siłą ducha i mocą słuszności, że trzeba tylko znaleźć wodza, oddać mu się całą duszą i bić kurwy i złodziei, które On do bicia wskaże.

Odurzeniu postacią Józefa Piłsudskiego zawdzięczmy do dziś marność naszej niepodległości i to wszystko, co do cna nam ją obrzydza. niesprawność państwa, bezkarność i wszechwładzę politycznych sił, chroniczny stan niemożności, a nade wszystko plemienność życia politycznego, spowodowanego do podjudzania Polaków przeciwko sobie.

140 zł

oszczędność 84 zł

www.prenumerata.dorzeczy.pl

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy
Ci obecnie trwającą prenumeratę,
a prezent wyślemy z najbliższym
wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl
eprasa.pl 6c26d81afd



Roman Graczyk

Nowemu prezydentowi nie można odmówić zdrowego rozsądku i instynktu politycznego. Czy to wystarczy?

Nowy prezydent Francji przejął w minioną niedzielę, 14 maja, władzę od ustępującego prezydenta. Sceny tego *passation du pouvoir* (przekazania władzy – przyp. red.) wiele mówiły o ustępującym i o nowym lokatorze Pałacu Elizejskiego. François Hollande robił, co mógł, żeby nie sprawiać wrażenia zdominowanego w tej parze, ale niewiele to dało. Jego mowa ciała jest bowiem staromodna i sztywna w porównaniu z mową ciała Emmanuela Macrona, który już na początku ceremonii pokazał, kto tu jest ważniejszy. Zademonstrował to z całą bezwzględnością zwycięzcy, gdy siedł po czerwonym dywanie rozłożonym specjalnie dla niego na dziedzińcu rezydencji prezydenckiej. Posuwał się po nim tak wolno, że wolniej się już chyba nie dało, podczas gdy czekający u szczytu schodów odchodzący prezydent, starszy od niego o ponad 20 lat, udawał, że nie dostrzega sygnału wyższości na granicy lekceważenia. Gdyby ktoś miał wątpliwości, co oznacza bardzo wolny krok młodszego Macrona idącego na spotkanie starszego Hollande'a, musiał się ich pozbyć, gdy zobaczył, kiedy dwie godziny później młody człowiek wraca do pałacu, gdy u szczytu schodów czekają na niego już tylko urzędnicy. Wtedy rącho wbiegł po schodach, pokazując cały luz swojego sposobu bycia i całą sprawność fizyczną przynależną jego wiekowi.

GESTY I ICH SENSY

W ogóle niedzielna uroczystość była pełna symbolicznych gestów, z pewnością wykreowanych przez specjalistów od wizerunku politycznego, ale zastosowanych przez nowego szefa państwa z żelazną konsekwencją. A to szczególna uwaga okazana gwardii prezydenckiej na dziedzińcu pałacu, a to jazda do Grobu Nieznanego Żołnierza pod Łukiem Triumfalnym samochodem wojskowym – czego w przeszłości nigdy nie praktykowano przy takich okazjach, a to powrót w dół



Sztuka

Pół Elizejskich najnowszym modelem samochodu cywilnego francuskiej produkcji, DS 7 Crossback – nie zaś zwykłą prezydencką limuzyną, a to zatrzymanie się na chwilę na Polach Elizejskich i oddanie hołdu pamięci policjanta zabitego w zamachu terrorystycznym kilka dni przed pierwszą turą wyborów, a to w końcu wizyta w szpitalu przy łóżku rannych żołnierzy francuskiego kontyngentu walczącego w Mali. Bezpieczeństwo państwa, siła francuskiego przemysłu, walka z terroryzmem – powiedział za pomocą tych gestów młody prezydent, który jako pierwszy w historii nie odbył

zasadniczej służby wojskowej. Pokazał jednak także: dominacja to ja, pewność siebie to ja, młodość to – jeszcze raz – ja. Manuel Valls, były premier, politycznie upokorzony przez Macrona, niedawno tak opisał jego zwycięstwo wyborcze: „On nie wygrał dzięki programowi, on wygrał dzięki temu, że umie robić politykę”. Co oznaczało także: opanował do perfekcji sztukę komunikacji politycznej.

Manuel Valls, który zresztą chciałby jakoś uczestniczyć w nowym politycznym rozdaniu i niewykluczone, że mu się to uda – może nie od razu, ale prawdopodobnie w tej kadencji prezydenta i Zgro-



perswazji

madzenia Narodowego – wypowiedział tu celną uwagę. Warto ją zapamiętać.

NIEMIECKO-FRANCUSKI SILNIK UE

To wszystko nie oznacza jednak, że realna polityka, którą będzie prowadził nowy prezydent, musi być pusta. Nie jest bowiem tak, że Macron w ogóle nie ma poglądów. Tutaj, gdzie sytuacja polityczna pozwoli mu wcielić własne pomysły w życie, będzie to robił. Wydaje się, że taka szansa otwiera się w sprawach unijnych.

W poniedziałek, nazajutrz po przejęciu władzy, Macron mianował nowego pre-

miera, a zaraz potem odleciał do Berlina w swoją pierwszą zagraniczną podróż. Ten pośpiech w wyjeździe do Niemiec jest już typowy: tak samo robili Jacques Chirac, Nicolas Sarkozy i François Hollande. Niby to trochę drażni komentatorów we Francji jako znak podporządkowania, wielu wolałoby, żeby nowy prezydent wstrzymał się chociażby 48 godzin, ale wielkich protestów to nie wywołuje. W końcu wszyscy wiedzą, że relacja francusko-niemiecka jest naprawdę najważniejsza: dla Francji, dla Niemiec i dla Unii Europejskiej.

Wygląda na to, że tym razem – po nieudanych próbach uruchomienia francusko-

-niemieckiego silnika Unii przez Chiraca (ten zaczynał ze Schroederem, kończył z Merkel) Sarkozy'ego i Hollande'a – ma on szanse wreszcie odpalić. Obydwójce przywódcy chcą pogłębienia integracji UE, czemu kanclerz Niemiec Angela Merkel długo się sprzeciwiała, szukając sposobów na przyciągnięcie do tego projektu krajów opornych (tak jak Polska), ale już dłużej nie chce zwlekać i godzi się na tzw. unię dwóch (czy wielu) prędkości, a prezydent Francji już od kilku lat (jako minister w rządzie Vallsa, potem kandydat do prezydentury) stoi na tym stanowisku. Głębsza integracja tym razem przybierze więc kształt realny, ale zarazem wybiórczy: kto się nie będzie chciał integrować, nie będzie do tego wprawdzie zmuszany, ale i nie będzie potrafił powstrzymać czołówki przed szybszym marszem.

Co prawda, Merkel i Macron rzucili w czasie poniedziałkowego spotkania hasło zmiany traktatów, ale to może być zasłona dymna. Wiadomo przecież, że traktatów w tym duchu zmienić się nie da, gdyż wymagana jest tu jednomyślność. Nic nie stoi jednak na przeszkodzie, żeby państwa, które zdecydują się na szybszy marsz, podjęły go na zasadzie tzw. wzmocnionej współpracy, na co traktat lizboński zezwala. Wydaje się, że po 13 latach współpracy z krajami Europy Wschodniej, dawniej leżącymi po drugiej stronie żelaznej kurtyny, doświadczenia zachodnich Europejczyków nie są dla nich zbyt pozytywne. I teraz, gdy Unia wychodzi z kryzysu gospodarczego, a także chyba unika groźby zwycięstwa skrajnej prawicy (Austria, Holandia, Francja), przed zwolennikami integracji otwiera się szansa, żeby wreszcie dopiąć swego. Jeśli tak się stanie, to Polska zostanie w drugim szeregu, częściowo na własne życzenie.

Nowy francuski prezydent ma w kwestii zmian instytucjonalnych w Unii poglądy zbliżone do poprzedniego. Natomiast inne są okoliczności w samej Unii i inna jest relacja francusko-niemiecka. Duet Merkel-Hollande charakteryzował się dużą rozbieżnością poglądów w sprawie sposobów ożywiania koniunktury gospodarczej w UE, zaś duet Merkel-Macron ma poglądy znacznie bardziej zbliżone. A wszystko wskazuje na to, że jesienią pani kanclerz jeszcze raz wygra.

DOBRY, BO MŁODY

Nadzwyczajny sukces Emmanuela Macrona po trosze wziął się z jego młodości, z przełamywania utrwalonych podziałów

lewica–prawica i z przyjęcia przezeń pożytków kandydata antysystemowego. To ciągle jeszcze działa.

Wiele jest w tym łagodnego populizmu. Macron, który zmierzył się w drugiej turze 7 maja z niewątpliwie większym populizmem Marine Le Pen, sam go stosował. To paradoks, ale tak było: po populistyczne chwytły się on – absolwent l'ENA i niegdyś inspektor finansów. Wiele z nadziei, które się w nim pokłada teraz, gdy świeżo objął władzę, zasadzają się na tych samych naiwnych przekonaniach. Na przykład, że klasa polityczna jest zepsuta, ale Macron nie ma z nią wiele wspólnego – choć w istocie ma, i to bardzo dużo. Albo że skoro jest młody, to ta młodość poniesie go jak na skrzydłach – chociaż taki de Gaulle, który w historii Francji XX w. pozostaje największym herosem, objął władzę już w podeszłym wieku. Albo że ruch polityczny Macrona jest zaprzeczeniem wszystkich wad partii politycznych – chociaż tenże ruch wprowadził do parlamentu pewnie ponad setkę polityków, którzy do niedawna należeli do Partii Socjalistycznej i Republikanów, a więc formacji ucieleśniających wszystkie wady dotychczasowego systemu partyjnego.

Krótko mówiąc, przekonanie – częste dziś we Francji – że Macronowi musi się udać, bo jest młody, antysystemowy i bezpartyjny, jest niczym nieuzasadnione. Powiedzmy wprost: jest niemożliwe. Jednak z tego nie wynika, że z pewnością mu się nie uda. To się dopiero okaże, a wiele będzie można powiedzieć po wyborach do Zgromadzenia Narodowego, które odbędą się 11 i 18 czerwca.

Manuel Valls, przypomnijmy, uważa Macrona za człowieka obdarzonego instynktem politycznym. Tak rzeczywiście jest. Nowy prezydent po raz kolejny to pokazał, gdy w poniedziałek – w dniu, kiedy wylatywał do Berlina – mianował premiera swojego pierwszego rządu (zwyczajowo po wyborach parlamentarnych prezydent powołuje nowy rząd, chociaż z zasady na jego czele stoi ten sam premier). Nowym premierem został jednak Édouard Philippe, 46-letni mer Hawru i deputowany z ramienia Republikanów. To był dla Republikanów bardzo potężny polityczny cios.

Rząd Édouarda Philippe'a jest politycznie nadzwyczaj ekumeniczny, zasiadają w nim i eminentni socjaliści (jak Jean-Yves Le Drian, minister obrony u Hollande'a), i eminentni prawnicy (jak Bruno Le Maire), i eminentni centryści (jak François Bayrou), a także bezpartyjni (najgłośniej-

sze nazwisko spośród nich to Nicolas Hulot, zagorzały ekolog). Jest to mieszanina, jakiej nigdy za V Republiki nie było. Czy ten rząd będzie wystarczająco spójny politycznie – zobaczymy. Znaczna liczba bezpartyjnych i znaczna liczba kobiet w rządzie są faktem, ale w gruncie rzeczy raczej wyrazem teatru politycznego niż realnej zmiany. Macron zrobił niby to, co obiecał w kampanii. Powiadam: niby, bo bezpartyjni i kobiety dostali (z nielicznymi wyjątkami) drugorzędne teki ministerialne.

PANIKA REPUBLIKANÓW, ROZSYPKA SOCJALISTÓW

Zauważmy, Macron mógł powołać na stanowisko premiera polityka centrowego (np. François Bayrou), lewicowego (np. Jeana-Yves'a Le Driana) albo prawicowego. Gdyby wybrał Bayrou, politycznie niewiele by zyskał, bo centrum polityczne jest we Francji tradycyjnie słabe. Owszem, osiągnąłby jakąś koherencję polityczną, ale nie o to tu chodziło. Gdyby wybrał Jeana-Yves'a Le Driana, narobiłby zamieszania w Partii Socjalistycznej. Jaką jednak miałby z tego korzyść? Niewielką, skoro socjaliści po dramatycznej (6 proc. poparcia) porażce Benoît Hamona w wyborach prezydenckich, po faktycznej secesji Manuela Vallsa, po nieudanej prezydenturze François Hollande'a, są w bardzo głębokim kryzysie. Dobijając ich, już naprawdę niewiele się zyska. Natomiast wiele pożytku może przynieść inspirowanie nowych podziałów u Republikanów. Tak też postąpił prezydent, nominując Édouarda Philippe'a. U Republikanów zawrzało – i o to z pewnością Macronowi chodziło.

Przekonanie – częste dziś we Francji – że Macronowi musi się udać, bo jest młody, antysystemowy i bezpartyjny, jest niczym nieuzasadnione

Jedni politycy tej partii, teraz już w liczbie ok. 100, apelują o „przyjęcie wyciągniętej ręki” prezydenta, wśród sygnatariuszy tego apelu są postaci naprawdę ważne u Republikanów: Nathalie Kosciuszko-Morizet, Christian Estrosi, Benoist Apparu, Thierry Solère, Fabienne Keller i Gérald Darmanin (nazajutrz ten polityk został ministrem). Inni z kolei, ok. 150 osób,

z odpowiedzialnym za parlamentarną kampanię wyborczą François Baroinem na czele, apelują o zwieranie szeregów. Są wśród nich: Christian Jacob, Éric Ciotti, Bernard Accoyer, Luc Chatel. Jedno trzeba zauważyć: o ile jeszcze w dniu drugiej tury wyborów prezydenckich kierownictwo Republikanów groziło niełojalnym politykom swojego ugrupowania wykluczeniem z szeregów partyjnych, o tyle teraz już tej groźby się nie powtarza. Można to łatwo zrozumieć: skala nieposłuszeństwa jest zbyt wielka. Jak to się skończy, nie wiadomo, ale z pewnością Macron, nominując Édouarda Philippe'a, poczynił istotny krok w kierunku wyznaczonego celu. A tym celem jest zdobycie większości w Zgromadzeniu Narodowym w czerwcu.

Emmanuel Macron w toku kampanii wyborczej stale powtarzał, że jego idee są nowe i jego ludzie też. W przypadku nowego premiera sytuacja jest jednak inna i w sumie dość osobliwa. To polityk Republikanów, który w prawyborach aktywnie wspierał Alaina Juppé, potem zaś François Fillona. Owszem, ustąpił ze sztabu tego drugiego na fali krytyki pod adresem byłego premiera, po informacjach o zatrudnieniu żony i dzieci Fillona jako asystentów parlamentarnych. Jednak nigdy dotąd Philippe nie współpracował z Macronem.

Nie współpracował z nim także wówczas, gdy obecny prezydent był ministrem gospodarki w rządzie Vallsa i przeprowadzał w Zgromadzeniu ustawy ważne dla swojej polityki gospodarczej, o liberalnym wydźwięku. Z tej racji ustawy te zyskały wtedy wsparcie ze strony części deputowanych prawicy – ale nie było wśród nich Philippe'a. Teraz, gdy Macron zapowiada podjęcie tamtych przerwanych prac (dotyczy to m.in. tzw. loi Macron i tzw. loi El Khomri) Philippe będzie musiał pracować nad zaostrzeniem tych przepisów, mimo że niedawno sprzeciwiał się ich łagodniejszej postaci. Widać na tym przykładzie, jak bardzo personel polityczny nowego prezydenta przykłada swoje poglądy polityczne do nowego politycznego rozdania.

Nie można Macronowi odmówić zdrowego rozsądku. Jego linia to próba połączenia liberalnego znoszenia ograniczeń tłamszących inicjatywę z socjalistycznymi środkami wspierania słabszych. Tyle tylko że prezentowanie tej linii jako zerwanie z systemem i odnowienie klasy politycznej jest – delikatnie mówiąc – pozbawione podstaw. Politique d'abord (po pierwsze polityka – przyp. red.)!

© Wszelkie prawa zastrzeżone



DZIEŃ MATKI NA CENZUROWANYM

Polityczna poprawność sięgnęła w Belgii głębiej, niż można było sobie wyobrazić. Jedna ze szkół podstawowych postanowiła odwołać obchody Dnia Matki. Władze szkoły wysłały w tej sprawie pismo do rodziców. Tłumaczyły w nim, że taka uroczystość nie powinna się odbywać, ponieważ w wielu klasach znajdują się dzieci z rozbitych rodzin i świętowanie Dnia Matki mogłoby u nich wywołać traumę.

To nie wszystko. Uroczystość mogłaby też urazić dzieci, które wychowane są przez pary homoseksualne. Rodzice wykazali się brakiem politycznej poprawności i wyrazili oburzenie decyzją szkolnych władz. Zdecydowana większość z nich stwierdziła, że takie decyzje prowadzą do eliminowania belgijskich tradycji i kultury (w Dniu Matki i Dniu Ojca dzieci w Belgii wręczają swoim rodzicom upominki).

PIZZA DO POCIĄGU

Nie tylko w Polsce pociągi jeżdżą zgodnie z maksymą: „Sorry, taki mamy klimat”. W USA skład jadący z Nowego Jorku do Waszyngtonu utknął na tak długo, że jeden z pasażerów zgłodził i zdecydował się zamówić pizzę. Mitch Katz opublikował na Twitterze film, na którym widać, jak doręczyciel przynosi posiłek. Podróżni z tego pociągu musieli ostatecznie przesiąść się do innego, a cała ich podróż trwała ponad siedem godzin.

PIĘCIOŁATEK ZMIENIA PŁEĆ

BBC ujawniła, że w Anglii do kliniki zmieniającej płęć często kierowane są już naprawdę małe dzieci. Jednym z 75 małych pacjentów z Walii był pięciolatek. Klinika Tavistock, która jako jedyna oferuje zmianę tożsamości płciowej młodym ludziom, odnotowała znaczny wzrost zainteresowania. W ubiegłym roku NHS (National Health Service) skierowało tam ok. 2 tys. dzieci i młodzieży. Eksperci zajmujący

się tematyką transgender uważają, że ten wzrost wiąże się po prostu z tym, iż zwiększyła się świadomość dotycząca kwestii związanych z „tożsamością płci”. Jak tłumaczyła dziennikarzom Jamie Pallas z Gendered Intelligence, która pracuje z transpłciowymi dziećmi, rodzice stali się bardziej świadomi i gdy dzieci rozmawiają z nimi o swoich problemach, wiedzą, jak im pomóc – czyli wiedzą, że można zwrócić się do lekarza rodzinnego i poprosić o skierowanie do takiej kliniki.

PREZYDENT NIE ŚPI, ON OSZCZĘDZA WZROK

Rzecznicy prezydentów nie mają czasem łatwej roboty. W Polsce musieli np. publicznie przekonywać, że zataczający się nad grobami w Charkowie Aleksander Kwaśniewski miał niedyspozycję „goleni prawej”. Innym razem cierpieć miał z kolei na „chorobę filipińską”. Gdy syn Lecha Wałęsy spowodował krakę, tłumaczono, że miał akurat „pomrocność jasną”. Tym tropem poszedł ostatnio rzecznik prezydenta Zimbabwe George Charamba. Gdy Roberta Mugabe

przyłapano na spaniu podczas publicznego wydarzenia, jego pracownik wytłumaczył mediom, że prezydent nie spał, tylko chronił swoje oczy przed jasnym światłem. Chociaż wydaje się, że ma zamknięte oczy, to Mugabe tylko bardzo je mrużył. – Jeśli spojrzysz na pozę prezydenta, to widać, że on spogląda w dół, żeby uniknąć światła świecących bezpośrednio w oczy – dowodził Charamba w prasie.

BIZNES NA MIGRANTACH

Europa zmagą się z problemem nielegalnych imigrantów, ale są i tacy, którzy w napływie uchodźców zobaczyli potencjalny biznes. Włoska policja i gwardia finansowa rzuciły 500 funkcjonariuszy do operacji, w której rozbito kalabryjską mafię. Klan kontrolował centrum pobytu dla imigrantów w Isola di Capo Rizzuto. Firmy kontrolowane przez mafię wygrywały tam przetargi na dostawy posiłków dla migrantów. © ©

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ ŁUKASZ ZBORALSKI



Piotr Włoczyk

Co się naprawdę wydarzyło w Medjugorju 24 czerwca 1981 r.? Ostatnia wypowiedź Franciszka na ten temat wywołała lawinę spekulacji

Medjugorje pod lupą Watykanu

Słowa, które zelektryzowały miliony katolików na całym świecie, padły z ust papieża w czasie luźnej rozmowy z dziennikarzami podczas lotu powrotnego z uroczystości 100-lecia objawień w Fatimie.

Wypowiedź Franciszka na temat Medjugorja była, co nie zaskakuje, dosyć swobodna w formie. Kilka słów wyciągniętych z kontekstu pozwoliło jednak niektórym mediom szybko ogłosić, że Watykan uważa za fałszywą całość domniemych objawień, z których słynie to małe miasteczko leżące w Bośni i Hercegowinie. Po przeczytaniu sensacyjnie brzmiących nagłówek (np. „Papież Franciszek: Objawienia w Medjugorju? Nie mają większej wartości”) ludzie, którzy odbyli pielgrzymki do Medjugorja, mieli prawo poczuć się nieswojo.

Co tak naprawdę papież powiedział na ten temat?

„[...] Przede wszystkim musimy rozróżnić trzy rzeczy. Dotyczące objawień,

kiedy wizjonerzy byli dziećmi: relacja mówi, że trzeba je nadal badać. Odnosnie do rzekomych objawień aktualnych relacja wyraża pewne swoje wątpliwości. Osobiście jestem bardziej złośliwy: wolę Maryję, która jest Matką, naszą Matką, a nie Maryję, która jest szefową urzędu telegraficznego, która każdego dnia wysyła wiadomość o określonej porze... to nie jest mama Jezusa. A te rzekome objawienia nie mają wielkiej wartości. I wyrażam to jako moją opinię osobistą...” (tłum. KAI).

Mówiąc o „relacji”, papież Franciszek ma na myśli raport komisji ds. Medjugorja powołanej przez Benedykta XVI w 2010 r. przy Kongregacji Nauki Wiary.

W skład komisji obok duchownych weszli również psychologowie i lekarze. Jej członkowie spotkali się ze wszystkimi „widzącymi”. Przez cztery lata zebrali potężny materiał w sprawie domniemych objawień.

Komisja, kierowana przez włoskiego kardynała Camillo Ruiniego, zakończyła swoje prace już w 2014 r., jednak Watykan na razie nie opublikował jej raportu.

JAKIE WĄTPLIWOŚCI?

Objawienia maryjne, których miało doświadczyć sześcioro dzieci z Medjugorja, rozpoczęły się – według relacji „widzących” – 24 czerwca 1981 r. Medjugorje odróżnia jednak od Fatimy czy Lourdes m.in. fakt, że „widzący” twierdzą, iż objawienia przeżywają regularnie po dziś dzień.

Franciszek podkreślił, że relacje o regularnie powtarzających się objawieniach trwających do dziś są (w jego prywatnej opinii) niewiarygodne. Jednocześnie jednak papież wyraźnie zaznaczył, że odrębną sprawą są pierwsze objawienia, gdy „widzący” byli dziećmi: w tej kwestii, jak zasugerował, potrzebne są dalsze badania.



FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

Z ustaleń Torniellogo wynika również, że Kongregacja Nauki Wiary pod kierownictwem kard. Gerharda Ludwiga Müllera dosyć sceptycznie podchodzi do raportu komisji kard. Ruiniego.

Na tym tle ciekawe są słowa papieża, który podczas tej samej konferencji w samolocie stwierdził, że raport komisji kard. Ruiniego jest „bardzo dobry”.

Według relacji watykanisty komisja miała też opowiedzieć się za zniesieniem zakazu organizowania do Medziugoria oficjalnych pielgrzymek. Jej członkowie rekomendują ponadto utworzenie w Medziugorii sanktuarium papieskiego. Nie chodzi tu jednak o podkreślenie w ten sposób autentyczności objawień, ale o kwestie praktyczne: duszpasterskie i ekonomiczne.

„KULT SAMOISTNY”

Do momentu wydania przez Stolicę Apostolską ostatecznego orzeczenia w sprawie domniemanych objawień w Medziugorii oficjalnie obowiązuje deklaracja episkopatu byłej Jugosławii z 1991 r.: „Na podstawie badań dotychczas przeprowadzonych nie da się stwierdzić, że mamy do czynienia z objawieniami o charakterze nadprzyrodzonym”. Właśnie dlatego Kościół apeluje, aby nie organizować do tego miasteczka pielgrzymek pod hasłem: „Odwiedziny miejsca objawień maryjnych”.

Ostrożność Kościoła w sprawie badania tych domniemanych objawień nie oznacza jednak, że Watykan podejrzliwie patrzy na źródło duchowych przeżyć, które co roku sprowadzają do Medziugoria ponad 2 mln pielgrzymów.

Jak ujął to w dalszej części swojej wypowiedzi Franciszek: „[...] Po trzecie, prawdziwa istota raportu kard. Ruiniego: kwestia duchowa, duszpasterska wiernych, którzy pielgrzymują tam i się nawracają, ludzi, którzy spotykają Boga, zmieniają życie... To nie za pomocą jakiejś magicznej pałeczki; tego faktu duchowo-duszpasterskiego nie można negować. Teraz, aby zobaczyć to ze wszystkimi możliwymi elementami, z odpowiedziami, które otrzymałem od teologów, mianowałem bardzo dobrego biskupa (abp. Henryka Hosera) z wielkim doświadczeniem, aby zobaczył ten wymiar duszpasterski, tam obecny. A na koniec zostanie wyrażona opinia”.

Już po otrzymaniu raportu kard. Ruiniego papież wyznaczył arcybiskupa diecezji warszawsko-praskiej Henryka Hosera na swojego specjalnego wysłan-

nika do Medziugoria. Misją abp. Hosera nie było jednak ponowne badanie relacji na temat objawień, lecz przyjrzenie się poziomowi opieki duszpasterskiej, której doświadczają miliony wiernych w kościele św. Jakuba, centralnym miejscu pielgrzymek. Jednym z większych problemów w tym kontekście są np. bariery językowe, na które natrafiają wierni, którzy dopiero w Medziugorii decydują się odbyć „spowiedź życia”.

Po powrocie wysłannik Franciszka stwierdził, że kult Matki Boskiej jest tam „zdrowy”.

– Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Medziugorie wydaje dobre owoce duszpasterskie – powiedział abp Hoser w rozmowie z KAI. – To już jest kult, można powiedzieć „samoistny”, niekoniecznie związany z treścią objawień – dodał.

Równocześnie jednak arcybiskup warszawsko-praski nie przesądzał, czy objawienia maryjne faktycznie miały tam miejsce i czy rzeczywiście trwają po dziś dzień. – Gdyby się jednak okazało, że przynajmniej część tych objawień jest autentyczna, to będzie to oczywiście jakaś dodatkowa konsekracja tego miejsca – stwierdził abp Hoser.

Co ciekawe, jednym z głównych sceptyków wewnątrz Kościoła jest w tej sprawie bp Ratko Perić, kierujący diecezją, na której terenie znajduje się Medziugorie. Jeszcze w lutym biskup przekonywał, że nie ma tu mowy o elemencie nadprzyrodzonym. Watykan podkreśla jednak, że zdanie bp. Pericia jest jedynie jego osobistą opinią.

Do stanowiska bp. Pericia nawiązał też w swoim artykule Andrea Tornielli, wspominając jednym zdaniem, że w raporcie pojawia się kwestia „konfliktu” między franciszkanami z parafii św. Jakuba w Medziugorii a biskupem...

W Polsce jednym z najgłośniejszych orędowników tezy o autentyczności tych domniemanych objawień maryjnych jest o. Tadeusz Rydzik, który jeszcze przed rozpoczęciem swojej działalności w Radiu Maryja przygotowywał pismo „Echo Medjugorje”.

Kiedy można się spodziewać deklaracji, która przetrnie dalsze spekulacje wokół Medziugoria? „Do lata 2017 r. polski arcybiskup dostarczy rezultaty swojej pracy, a następnie papież podejmie decyzję” – twierdzi w zakończeniu swojego tekstu Andrea Tornielli.

Trzy dni po wypowiedzi papieża Andrea Tornielli, znany włoski watykanista, napisał na łamach dziennika „La Stampa” tekst, który po raz kolejny rozbudził emocje wiernych. Tornielli ujawnił w swoim artykule najważniejsze ustalenia raportu komisji kard. Ruiniego, do którego udało mu się dotrzeć.

Watykanista ogłosił, że komisja kard. Ruiniego uznała siedem pierwszych objawień (między 24 czerwca a 3 lipca 1981 r.) za autentyczne – 13 członków komisji miało głosować w tej sprawie „za”, jeden był „przeciw”, a jeden wstrzymał się od głosu. Komisja miała równocześnie wykluczyć w tym kontekście hipotezę demonicznego źródła objawień.

W sprawie relacji o objawieniach trwających do dziś komisja – jak podaje Tornielli – wyraziła daleko idące wątpliwości – o tym elemencie raportu wspominał już jednak trzy dni wcześniej Franciszek podczas konferencji w samolocie.



Piotr Semka

Oddolny monarchizm Norwegów jawi się przybyszowi z Polski jako coś sympatycznie staroświeckiego. A może obserwujemy go z nutą zazdrości?

Wystarczyło mi parę dni w Norwegii, by się przekonać, jak masowy i spontaniczny jest kult miłośniców panującego tam króla Harald V. Wszędzie pełno portretów królewskich, tabliczek upamiętniających odwiedziny władcy lub jego poprzedników. Do tego sympatyczne, niewymuszone święta. Ot, choćby coroczna parada z okazji Dnia Konstytucji 17 maja. Wszystkie szkoły w Oslo wysyłają w ten dzień uczniów ubranych w galowe szkolne mundurki na paradę szkolnych orkiestr reprezentacyjną arterią Karl Johan gate. Ulica tonie w norweskich flagach. Kobiety zakładają stroje ludowe, kombatancki mundury i order, a orkiestra Gwardii Królewskiej dodaje paradzie smaku. W tym roku parada była wyjątkowa, bo w lutym Harald V świętował 80. urodziny i teraz jest okazja dla Norwegów, by zademonstrować swoją jubileuszową sympatię dla władcy.

Król ubrany w cylinder wraz z następcą tronu i królewską rodziną salutuje uczestnikom pochodów przez długie parę godzin z balkonu pałacu królewskiego. To, że sędziwy suweren stoi i pozdrawia uczestników parady przez tak długi czas, nikogo tu nie dziwi. – To królewski obowiązek. Nic dziwnego, że traktuje go serio – śmieje się Julia, studentka z Oslo. – My traktujemy serio zwyczaj paradowania przed pałacem królewskim, więc król serio podchodzi do zadania cierpliwego odmachiwania nam.

MONARCHIA WOJNĄ PRÓBOWANA

Skąd taka gorąca miłość? Droga Norwegów do własnej nowożytności monarchii była długa i wyboista. Owszem, w średniowieczu naród wikingów miał własne królestwo z królem Olafem, który został świętym za schrystanizowanie swoich wojowniczych poddanych. Nazwy średniowiecznych rodów królewskich brzmią jak imiona ze skandynawskich sag: Ynglingowie, Skjoldungowie, Folkungowie, rody króla Harald a i króla Sverrego, Estrýdse-



Król to przydatny wynalazek

nidzi, Gryfici, Wittelsbachowie, dynastia Binde i wreszcie Oldenburgowie. W 1397 r. Norwegia wpada na długie 400 lat pod władzę Danii. Potem w 1814 r. rzywa z duńską koroną i zawiera unie personalną ze Szwecją. Dopiero w 1905 r. wybija się na pełną niepodległość i staje przed wyborem formy państwowości. Zwolennicy republiki przegrywają i norweski parlament – Storting – zaprasza na tron duńskiego księcia Christiana Frederika, który obejmuje norweski tron jako Haakon VII. Pierwszy nowożytny król Norwegii potraktował wybór niezwykle serio. Gdy w 1940 r. Niemcy napadli na kraj, odmówił zgięcia karku przed agresorem. Zdołał opuścić stolicę przed desantem wojsk niemieckich i wyjechał pociągiem na północ kraju. Stamtąd patronował ponaddwumiesięcznej walce zbrojnej i zagrzewał w rozkazach swoje wojsko do oporu. Po ewakuacji do Londynu na falach BBC nakazywał rządowi nieuznawanie marionetkowego rządu władcy Norwegii Vidkuna Quislinga.

W Hjemmefrontmuseum, czyli muzeum norweskiego ruchu oporu w Oslo, oglądam zdjęcia wymalowywanych na murach liter H7-Haakon VII. Ten znak wierności władcy

rezydującemu w odległym Londynie był norweskim odpowiednikiem naszej kotwicy Polski Walczącej.

Niemcy opanowani ideologią germańskiej wspólnoty krwi z irytacją i niechęcią zaskoczeniem przyjęli opór Norwegów, którym oferowano status najczystszej rasy – wo grupy Germanów. Nie mogli zrozumieć, jak wierność monarsze można stawiać ponad „nordyckie braterstwo”.

Powrót króla Haakona z Wielkiej Brytanii 7 czerwca 1945 r. był pochodem triumfalnym. Brat Haakona – król duński Christian – spisał się w czasie wojny znacznie gorzej, akceptując Realpolitik duńskich władz wobec III Rzeszy. Po wojnie twierdził, że jego przejażdżki konne po Kopenhadze w czasie niemieckiej okupacji miały być demonstracjami oporu.

„Jak król powiedział »nie«, to wszyscy wiedzieli, że z Niemcami się nie współpracuje” – mówił mi jeden ze starych Norwegów. Oczywiście była to przesada, Niemcy wciągali groźbą i prośbą do kooperacji mnóstwo ludzi, ale była ogromna różnica między Danią a królestwem Haakona. W Kopenhadze bierność króla marionetki dawała wielu alibi dla kolaboracji. W Nor-



80-letni Harald V (z prawej) wstąpił na tron w 1991 r. Na zdjęciu z rodziną królewską podczas tegorocznych obchodów Dnia Konstytucji
FOT. NTB SCANPIX/REUTERS/FORUM

wegii nie wszyscy byli święci, ale przynajmniej było jasne, że idąc na współpracę z hitlerowcami, łamie się kanon zachowań porządnego Norwega. Po wojnie Norwegowie byli dumni ze swojego władcy, a prestiż monarchy w świecie przykrył dość sporą skalę kolaboracji.

TRZECH WŁADCÓW NA 112 LAT

Od 1905 r. Norwegia miała tylko trzech władców. Haakon rządził do śmierci w 1957 r., potem, w latach 1957–1991, panował jego syn Olaf, i wreszcie od 26 lat włada wnuk Haakona – wspomniany już 80-letni Harald V. Najsympatyczniejszym portretem władcy, jaki zdarzyło mi się zobaczyć w jednym z norweskich domów, jest jego zdjęcie z 1943 r. – jako sześciolatek nosi maleńki mundur norweskiej armii.

Cudzoziemców trochę śmieszą, trochę mile urzekają liczne prawdziwe i podkoloryzowane opowieści Norwegów, jak to spotkali swego króla na nartach albo w trakcie spaceru po Oslo i dopiero po chwili odkrywali, że mają do czynienia z monarchą. Koło skoczni w Holmenkollen, podmiejskiej dzielnicy Oslo, jest nawet pomnik zmarłego króla Olafa na nartach ze

swym ulubionym pudłem, który szusował na biegówkach po okolicznych lasach z jednym ochroniarzem.

Król Olaf dawał przykład „zwyczajności” od małego. W 1945 r., po powrocie z ojcem i dziadkiem z Londynu, został zapisany do normalnej publicznej szkoły podstawowej w Oslo. Ten demokratyzm umiejętnie jednak mieszano z elitarnością. W latach 50. i 60. studiował na uniwersytecie w Oslo, w Kolegium Balliol w Oksfordzie i – na wypadek wojennych obowiązków władcy – w norweskiej akademii wojennej. Kiedy w 1973 r. wybuchł kryzys paliwowy, wraz z ojcem demonstracyjnie jeździł rowerem, zachęcając rodaków, by oszczędzali paliwo. Jako żeglarz reprezentował trzykrotnie swój kraj na igrzyskach olimpijskich w Tokio w 1964 r., w Meksyku w 1968 r. i Monachium w 1972 r., a jednocześnie nie zaniedbywał udziału w zwykłych regatach rodzinnych.

W opowieściach o spotykaniu króla na nartach lub w parku w centrum Oslo jest typowy dla Skandynawów rys demokratyzmu, który czyni dla egalitaryzmu wyjątek jedynie dla rodziny królewskiej. Norwegia jest wyjątkowo egalitarna. To naród chłopów. Duńscy władcy nie stworzyli tutaj własnej arystokracji. Gdy w Oslo na półwyspie Bygdøy pokazywano mi rezydencję królewską, zaraz potem z satysfakcją wskazywano położony obok pałacyk – królewski folwark ze stajnią, z oborą z krowami i ze stodołą pełną siana. „To królewskie gospodarstwo” – kiwali z aprobatą głową moi przewodnicy z Oslo.

Po wyleczeniu z choroby nowotworowej w latach 90. Harald fizycznie trzyma się bardzo dobrze. W 2015 r. odwiedził nawet należącą do Norwegii Ziemię Królowej Maud na Antarktydzie.

Dzisiaj Harald to szacowny władca, który podobnie jak brytyjska Elżbieta II dba o to, by nie rzucał się w oczy jego subtelny wpływ na kolejnych premierów. A przecież nie jest daleko od centrum władzy. W każdy piątek przewodzi posiedzeniu rady ministrów w swoim pałacu. Co tydzień odbywa też krótkie spotkania z premierem i szefem dyplomacji. Ma też parę ważnych prerogatyw – to on otwiera obrady norweskiego parlamentu po wakacyjnej przerwie, na początku października. I to on formalnie wyznacza szefa rządu po wyborach. W razie braku wyraźnej większości może przekazać ten przywilej szefowi Stortingu, ale nie musi tego zrobić.

Ile razy król dyskretnie zwraca uwagę szefom kolejnych rządów, gdy coś zda-

nem monarchy idzie w złym kierunku? Tego nigdy się nie dowiemy. Jeśli te interwencje mogą być skuteczne, to głównie dlatego, że nikt nie wie o nich niczego konkretnego.

W tym dość mocno zsocjalizowanym kraju, w którym polityczna poprawność objęła już wiele dziedzin życia, oddolny monarchizm Norwegów jawi się przybyszowi z Polski jako coś sympatycznie staroświeckiego.

A może w mojej sympatycznej zadumie nad norweskim fenomenem jest coś z zazdrości?

Filozof Dariusz Karłowicz trafnie wskazywał, że w ciągu swego długiego 27-letniego pontyfikatu rolę monarchy odgrywał w życiu Polaków Jan Paweł II. To bardzo trafna uwaga. Każdemu narodowi potrzebny jest ktoś, kto mówi rzeczy ważne i symbolizuje to, co najlepsze, w tradycji kraju. Trudno porównywać papieża Polaka do norweskiego Harald V – to nie ta skala i norweskiemu władcy brak religijnej rangi, ale coś w tym porównaniu jest.



Harald V w dzieciństwie FOT. WIKIPEDIA

Tym bardziej że do 2012 r. król Norwegii pełnił funkcję głowy Kościoła luterńskiego w tym kraju. Pięć lat temu uznano to za przeżytek i zmieniono konstytucję, ale nadal wymaga ona, by monarcha był z wyznania ewangelikiem.

Każdej demokracji potrzebna jest jakaś instytucja niezależna od kolejnych wyborów. Ktoś, kto kojarzy się z ciągłością i narodowym sacrum.

I może dlatego przybysza z Polski norweski monarchizm ujmuje w tak sympatyczny sposób.



SZEWACH WEISS

Donald Trump obala mity

Każda zagraniczna wizyta prezydenta Stanów Zjednoczonych budzi ogromne zainteresowanie mediów, nie inaczej jest z pierwszą podróżą zagraniczną prezydenta Donalda Trumpa do Arabii Saudyjskiej, Izraela i Watykanu. Wzbudza ona zainteresowanie również dlatego, że ten polityk podczas kampanii przedstawiany był jako nieprzewidywalny i w pewnym sensie nadal tak jest, ale już nie w takim stopniu jak przed wyborami. Po pierwszych stu dniach sprawowania władzy mogliśmy poznać inne oblicze Donalda Trumpa.

Jego pierwsza zagraniczna podróż jest bardzo mądrze przemyślana, jest ciekawym symbolem, bo to spotkanie z trzema cywilizacjami. Arabia Saudyjska, gdzie leżą

mańskiego wybrał Egipt. Donald Trump chce wrócić do korzeni.

Co do wizyty w Izraelu i Autonomii Palestyńskiej, Trump podczas kampanii wyborczej obiecał, że przeniesie ambasadę USA do Jerozolimy. Jak już pisałem na łamach „Do Rzeczy”, z punktu widzenia dyplomatycznego, politycznego byłaby to dramatyczna decyzja. Sekretarz stanu, minister spraw zagranicznych Rex Tillerson już zadeklarował, że realizacja tej przedwyborczej obietnicy potrwa i jest związana z polityką USA na całym Bliskim Wschodzie. Strona izraelska – nie tylko Benjamin Netanjahu i rządząca prawicowa koalicja, lecz także niektóre kluby opozycyjne – podkreśla, jak ważne dla niej jest dotrzymanie słowa w tej sprawie. Jednak analizując realnie przeniesienie ambasady to może być krok, który automatycznie przerwie negocjacje pokojowe nie tylko z Palestyńczykami, lecz także z innymi krajami arabskimi.

Benjamin Netanjahu doskonale wie, że przeniesienie amerykańskiej ambasady do Jerozolimy będzie miało bardzo negatywne skutki. Donald Trump również to wie. Można liczyć na to, że na realizację obietnicy poczekamy dość długo, ale będzie ona związana z treścią i postępem negocjacji pokojowych między Izraelem a Palestyńczykami. Co do stosunków Stanów Zjednoczonych z Izraelem, nie ma co się spodziewać większych zmian, bo od dawna były one bardzo dobre.

Wizycie w Watykanie jest jakaś głębia, ale jest to również posunięcie taktyczne. Papież Franciszek jest bardzo popularnym i lubianym hierarchą. Spotkanie z nim z pewnością przyczyni się do wzrostu popularności prezydenta USA.

Posunięcia Donalda Trumpa i jego administracji w kontekście pierwszych wizyt zagranicznych wydają się o wiele bardziej racjonalne niż słowa i zachowanie

prezydenta USA w trakcie kampanii wyborczej. Jednak to jest normalne. Świat z punktu widzenia rządzącego zawsze wygląda inaczej niż jego przemowy i obietnice przed wyborami. Wygląda na to, że cała nieprzewidywalność Donalda Trumpa to mit. Stworzyli go: media, komentatorzy, socjologowie. Ludzie lubią mity i występują one w każdym systemie politycznym. Czasami są to mity pseudonaukowe, zazwyczaj, patrząc na nie retrospektywnie, przypominają science fiction. I więcej w nich fiction niż science.

Bardzo ciekawe jest to, co nastąpi po wizycie prezydenta Stanów Zjednoczonych na Bliskim Wschodzie, i tu pojawiają się znaki zapytania. Czy dyplomacji Białego Domu uda się wznowić negocjacje pokojowe między Palestyńczykami a Izraelem? Czy prezydent poprze je na podstawie nowej bliskowschodniej koalicji, do której będą należeć Egipt, Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Jordania, Izrael i Palestyńczycy? Jakie miejsce w tej nowej sytuacji będzie zajmowała Turcja? Jak będzie wyglądała realna polityka USA w walce z Państwem Islamskim (jest to sprawa, która może mieć wpływ na stosunki USA z Rosją)? Kolejny znak zapytania – jeśli Benjamin Netanjahu będzie bardziej umiarkowany w swoich przemowach, to jak odbije się to na polityce wewnętrznej kraju i jego centrowprawicowej koalicji? I ostatnie, ale ważne pytanie: Jakie będą relacje Trumpa z przywódcami państw i całą Unią Europejską? Tego mniej więcej dowiemy się podczas drugiej wizyty zagranicznej prezydenta USA, podczas której spotka się on z liderami UE.

Sam Donald Trump, choć jest bardziej przewidywalny, to jednak skrywa w sobie wiele niespodzianek. Dlatego medialnie i politycznie jego wizyty zagraniczne mogą być bardzo ciekawe. © **oprac. raw**

Świat z punktu widzenia rządzącego zawsze wygląda inaczej niż jego przemowy i obietnice przed wyborami

Mekka i Medyna, jest historycznym centrum islamu, a Jerozolima jest izraelska i w jakimś stopniu również palestyńska. Donald Trump spotka się z premierem Izraela Benjaminem Netanjahu i prezydentem Autonomii Palestyńskiej Mahmudem Abbasem, co może być pierwszym krokiem do realnego zintensyfikowania izraelsko-palestyńskich negocjacji pokojowych, które w ostatnich latach były zamrożone. Z kolei wizyta Trumpa u papieża Franciszka jest gestem w kierunku świata chrześcijańskiego. Symbolika tej podróży jest zatem bardzo widoczna.

Arabia Saudyjska od ok. 100 lat była dla Stanów Zjednoczonych najważniejszym punktem na mapie Bliskiego Wschodu, ale w ostatnich latach to się zmieniło. Barack Obama jako cel pierwszej ważnej wizyty do krajów świata muzuł-



WallStreet
konferencja

Weź udział w największym wydarzeniu na rynku kapitałowym



TERMIN

2-4 czerwca 2017 r.



MIEJSCE

Karpacz
Hotel Gołębiowski

www.wallstreet.org.pl

Jarosław Grzywiński

Prezes Zarządu Giełdy
Papierów Wartościowych
w Warszawie SA.

Jarosław Dominiak

Prezes Stowarzyszenia
Inwestorów
Indywidualnych

Organizator



Patronat honorowy



Partner strategiczny



Partnerzy organizacyjni



Partnerzy główni



Partnerzy



Partnerzy wspierający



Główni partnerzy medialni



Partnerzy medialni



ŁUKASZ WARZECHA: Czy odnalazła się pani na nowo w rządzie po tym, jak pani udział w nim wydał się wisieć na włosku?

ANNA STREŻYŃSKA: Nie musiałam. Podczas rozmowy z panią premier nie odniosłam wrażenia, by cokolwiek wisiało na włosku. Mam ściśle zdefiniowane cele i przed końcem kadencji zamierzam je zrealizować: likwidacja białych plam w dostępie do Internetu, cyfryzacja szkół, dostępne i bezpieczne usługi cyfrowe administracji państwowej, cyfrowe usługi użyteczności publicznej oraz cyfryzacja gospodarki przestrzennej. Chodzi o to, żeby wszyscy Polacy w równym stopniu mieli dostęp do urzędowego okienka bez konieczności wychodzenia z domu i w dowolnym czasie.

Pani wypowiedź niektórzy interpretowali jako świadectwo braku lojalności. Nie czuje się pani lojalna wobec rządu, którego jest pani członkiem?

Warto sprawdzić, co naprawdę powiedziałam. Dla mnie jest oczywiste, że jeśli gra się w jakiejś drużynie, to lojalność jest podstawą. Natomiast to, że w rządzie mamy czasem różne poglądy i dyskutujemy, jest zupełnie naturalne. Czasami centralnie sterowanej jednomyślności od ponad ćwierćwiecza mamy już szczęśliwie za sobą.

Udało się wyjaśnić spory o cyberbezpieczeństwo? Kto w końcu będzie nadzorował tę bardzo ważną sferę?

Ta kwestia od początku jest jasna. Koordynatorem spraw związanych z cyberbezpieczeństwem w zakresie cywilnym jest minister cyfryzacji. Tak mówi ustawa o działach administracji. Ani ja, ani nikt z podległych mi urzędników nie mamy zamiaru wkraczać w kwestie, które nie leżą w naszych kompetencjach, czyli np. bezpieczeństwa cyberprzestrzeni w zakresie militarnym. To pozostaje w gestii MON. Strategia, nad którą pracowaliśmy ze wszystkimi zainteresowanymi, w tym z MON i MSWiA, została przyjęta w trybie obiegowym przez Radę Ministrów i czeka tylko na podpis pani premier. Obecnie wspólnie pracujemy nad projektem ustawy o krajowym systemie cyberbezpieczeństwa.

Ci, którzy są zawiedzeni pani dokonaniem, twierdzą, że w urzędach wciąż zalegają sterty papierów. Czy to prawda?

No pewnie! I długo jeszcze będą zalegały. Cyfryzacja to proces. Tym bardziej że oprócz barier technologicznych są też bariery mentalne. Nie tylko klientom,



Z Anną Streżyńską, minister cyfryzacji
rozmawia Łukasz Warzecha

Cyfryzacja to proces



FOT. JAKUB SZYMCIUK

lecz także urzędnikom ciężko rozstać się z pieczątką i papierem. Co ciekawe, w rankingu najmniej scyfryzowanych jednostek prowadzą urzędy, po których byśmy się tego nie spodziewali, np. Generalny Inspektor Ochrony Danych Osobowych. Tam nie ma nawet elektronicznego obiegu dokumentów.

Może problemem są obawy ludzi, którzy nie wiedzą, co się dalej stanie z wnioskiem przesłanym tylko elektronicznie, i nie mają do tej formy komunikacji pełnego zaufania również dlatego, że postrzegają urzędy jako zacofane? Nie ma to jak bumaga podbita pieczątką w sekretariacie.

Elektroniczne potwierdzenie odbioru powinno być traktowane tak samo jak

dowód nadania listu poleconego. Nawet gdyby list wylądował w krzakach, papiererek z poczty chroni pana interesy. Niestety, ePUAP ma ciągle wiele niedoskonałości, w tym brak w potwierdzeniu odbioru pieczęci czasu, która pokazywałaby, kiedy pismo zostało odebrane. Stąd może brak pewności u użytkowników. Osobną kwestią jest sam interfejs ePUAP. Tam często nie widać wyraźnie, że coś nie zostało wypełnione prawidłowo i w związku z tym nie zostało wysłane. Mnie samej przydarzyła się taka historia. Składałam przez ePUAP wniosek o wymianę dowodu osobistego, kliknęłam, wyglądało tak, jakby mój wniosek został przesłany. Po miesiącu zdziwiło mnie, dlaczego wciąż nie ma mo-

jego nowego dowodu. Okazało się, że gdy coś poprawiałam we wniosku, skasował się adres urzędu, do którego wniosek miał dotrzeć. Żeby to jednak zauważyć, trzeba by przewinąć ekran. A tego nie zrobiłam. Wniosek, mimo niewypełnionej rubryki, udało się wysłać, tyle że do skrzynki z wersjami roboczymi. Tak nie powinno być.

A do tego dochodzi lenistwo samorządów. W niektórych przez ePUAP nie da się załatwić niemal niczego.

Są samorządy cyfrowo zaawansowane, ale są też zacofane. Wszystkie miały założone przez ministerstwo skrzynki podawcze. I co z tego, jeśli część w ogóle do nich nie zagląda?

Czyli wysłę coś na elektroniczną skrzynkę podawczą, ale nikt tego nie odbierze?

Niestety, tak bywało, zresztą również w urzędach centralnych. Na przykład do obsługi skrzynki był ustanowiony jeden pełnomocnik, który już w urzędzie nie pracuje, a nowego nie wyznaczono. Jednak użytkownicy ePUAP i profilu zaufanego oraz urzędnicy radzą sobie coraz lepiej.

Ile osób ma w Polsce profil zaufany?

Prawie 900 tys. Ponad 200 tys. profili zaufanych Polacy założyli dzięki wprowadzeniu możliwości potwierdzania go za pośrednictwem bankowości elektronicznej. To mocno uprościło procedurę. Według najnowszego badania aż 57 proc. pytanym zna rozwiązanie, jakim jest profil zaufany, ale korzysta z niego tylko 18 proc. W grupie tych, którzy najintensywniej używają nowych technologii, czyli pomiędzy 25. a 34. rokiem życia, profil zna 65 proc., a korzysta z niego 26 proc.

Wiele osób mogło profil założyć i o nim zapomnieć, nic za jego pośrednictwem nie załatwiają. Martwe dusze.

Owszem, są. Jednak 76 proc. posiadaczy profilu załatwiło dzięki niemu przynajmniej jedną sprawę. I myślę, że takich osób będzie coraz więcej, bo coraz więcej jest spraw, które będzie można tak załatwić. Choćby złożenie wniosku o wydanie nowego dowodu osobistego. W tym roku ponad 8 mln Polaków musi je wymienić. Ostatnio wiele osób założyło sobie profil zaufany, by sprawdzić punkty karne. Skorzystało z tego już ponad 230 tys. Polaków. Zbliżają się wakacje, elektronicznie można będzie zamówić Europejską Kartę Ubezpieczenia Zdrowotnego, ale do tego także konieczny jest profil zaufany. Ja założyłam go jakieś

trzy lata temu, potem zlikwidowałam i ponownie założyłam przez bank (jako tester), a po raz pierwszy skorzystałam z niego dopiero niedawno, składając o dowód osobisty. Inna sprawa, że wiele usług jest tak ukrytych, iż bardzo trudno je znaleźć. Tak było właśnie z usługą składania wniosku o dowód, dlatego umieściliśmy ją na samej górze w widocznym miejscu i na Obywatel.gov.pl, i na ePUAP. Natomiast wielu ludzi, w tym mój mąż, o czym niedawno sam mi powiedział, nie rozumie, dlaczego profil zaufany nazywa się profilem zaufanym, a nie po prostu podpisem, skoro służy do podpisywania wniosków. To dla laika niepotrzebna komplikacja już na poziomie języka. Staramy się więc upowszechniać bardziej przyjazną nazwę „eGO”.

Kiedy to wszystko będzie mieć postać jednego spójnego systemu, do korzystania z którego będzie można obywateli zachęcić w jasnej i czytelnej kampanii reklamowej?

To właśnie kolejne zadanie: zintegrowanie serwisów Profil Zaufany, ePUAP, Obywatel.gov.pl, Biznes.gov.pl, CEPiK i innych w jeden GOV.PL. Na początku kadencji zapadła w rządzie decyzja, że stworzymy duży portal informacyjny dla obywateli. Zaraz potem zdecydowano, że będzie jeden portal usługowy GOV.PL: brama do całej administracji, tak jak w Wielkiej Brytanii. Obecnie trwają prace nad budową części informacyjnej. Część usługową będziemy tworzyć, wykorzystując już istniejące mechanizmy napędzające ePUAP, żeby nie marnować unijnych pieniędzy, które już zostały w niego włożone. Docelowo Obywatel.gov.pl ma być miejscem, gdzie oprócz informacji będzie można przejść pełną ścieżkę załatwienia sprawy, czyli od złożenia wniosku do finału, bez konieczności osobistego stawienia się w urzędzie. Proszę jednak pamiętać, że w wielu przypadkach nie mamy wpływu na to, jak działają poszczególne usługi i kiedy będą gotowe do połączenia. Wbrew powszechnej opinii Ministerstwo Cyfryzacji nie jest dysponentem, czyli właścicielem wszystkich już dostępnych i dopiero planowanych e-usług. Decyzje należą do różnych resortów. Dlatego prace nad e-usługami poprzedzone są każdorazowo dyskusją i wypracowaniem wspólnego stanowiska. A to z kolei wymaga czasu. Inna sprawa, że nowe e-usługi bardzo często wiążą się z koniecznością zmiany prawa.

To problem nie tylko organizacyjny, lecz także polityczny. Ministrowie nie chcą pani oddawać nadzoru nad swoimi cyfrowymi domenami.

Jest uchwała o Planie zintegrowanej informatyzacji państwa, jestem Głównym Informatykiem Kraju, koordynuję działania, dopuszczam projekty do realizacji, decyduję o kierunkach. Wszystko to ładnie wygląda na papierze, ale papier jest ciepły. Z realizacją bywa różnie. Na szczęście jest Komitet Rady Ministrów do spraw Cyfryzacji i tam weryfikujemy wszystkie budowane systemy. To jednak nie zmienia faktu, że same usługi funkcjonują na poziomie resortów.

Polska resortowa?

Trochę tak. Dla innych ministrów cyfryzacja to nie jest zasadnicza działalność. Oni mają swoje ważniejsze sprawy, a cyfryzację traktują jako narzędzie, ale bardzo dalekie od codziennej praktyki. Dlatego przygotowujemy ustawę, która przeniesie całość usług do MC, pozostawiając je oczywiście pod nadzorem – ale tylko nadzorem – pozostałych resortów.

Tylko czy ta ustawa przejdzie? Ministrowie myślą sobie: Co mi tu jakaś Streżyńska będzie się mieszać w moje sprawy? A kto to w ogóle jest? Nawet do PiS nie należy.

Mam poparcie pani premier, która widzi realne efekty, jakie przynosi cyfryzacja, oraz wszystkich wicepremierów.

Może to wszystko w dużej mierze kwestia mentalności urzędników czy służb? Czy np. policjant naprawdę potrzebuje mojego dowodu albo prawa jazdy w czasie kontroli?

Nie, nie potrzebuje. Może sprawdzić pana tożsamość w systemie tylko na podstawie numeru PESEL, a ustawa w ogóle nie wymaga noszenia dowodu przy sobie. Mało kto wie, ale usługa mDokumentów, którą zaczynamy właśnie testować, technicznie w policji już istnieje. To tylko kwestia decyzji i odpowiednich zmian prawnych, by ją stosować powszechnie. W bazie CEPiK są informacje o pojazdach i kierowcach, łącznie z ich zdjęciami, numerami PESEL, kategorią i datą wydania prawa jazdy oraz liczbą punktów karnych. Pod koniec tego roku, o ile wszystko uzgodnimy z policją i MSWiA, ktoś, kto zechce korzystać z mDokumentów, już nie będzie musiał płacić mandatu za brak papierowego i zalaminowanego dokumentu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Prawie 1,8 mld euro przekazało w 2016 r. na potrzeby ubogich i formację duchowo-intelektualną ponad 800 firm zaangażowanych na całym świecie w ruch Ekonomii Komunii. To bardzo różne przedsiębiorstwa: od banku udzielającego mikrokre- dytów na Filipinach przez producenta serów w Szwajcarii do przędzalni w Argentynie. Wszystkie odpowiadają na wezwanie Włoszki, nieżyjącej już Chiary Lubich, założycielki Ruchu Focolari, która w 1991 r. podczas podróży do Brazylii odwiedziła fawele otaczające São Paulo, zamieszkane przez ludzi żyjących w skrajnej nędzy. Zwróciła się do uczestników swego ruchu, by zyski z dzia- łalności gospodarczej dzielili na trzy, niekoniecznie równe, części. Pierwsza część miały iść na rozwój firmy i wynagrodzenia pracowników oraz właścicieli. Druga – na pomoc ubogim i potrzebu- jącym. Trzecia – na formację człowieka: dzieła ewangelizacji, szkolenia i kongresy dotyczące coraz bardziej sprawiedliwej oraz miłosiernej przedsiębiorczości. Już w ciągu pierwszych dwóch lat zasady EK przyjęło ok. 300 firm. Ich liczba nadal rośnie.

TĘCZOWA EKONOMIA

U nas firmy angażujące się w Ekono- mię Komunii można policzyć na palcach jednej ręki. Jedną z nich jest EKa z Suszca na Śląsku, zatrudniająca 38 pracow- ników przy produkcji smalcu i barszczy, prowadząca dwa spożywczaki i sklep internetowy z narzędziami. Już sama nazwa to skrót od Ekonomii Komunii. Na rozwój i wynagrodzenia wydaje się ok. 60 proc. zysków. Dzisiaj już nie wszy- scy współnicy funkcjonują w ramach Ekonomii Komunii, ale ci, którzy się na to decydują, przeznaczają do 20 proc. swoich zysków na pomoc innym. Część środków trafia do polskiej i światowej Komisji Ekonomii Komunii, która kieruje pieniądze na pomoc biednym i rozwój dzieła na całym świecie. Część rozdyspo- nowują wedle własnego osądu potrzeb. Pomoc trafia np. do hospicjów lub jest przeznaczana na wieloletnie stypendium dla dziewczyny, której mama zmarła, gdy dziecko miało dwa lata.

Gdyby Ekonomia Komunii polegała tylko na dzieleniu się, nie różniłaby się niczym od działalności charytatywnej. Tymczasem EK opiera się na siedmiu zasadach, a każdą z nich określa jeden z kolorów tęczy. Jej celem jest stworze-

Boski biznes



Stefan Sękowski

Przedsiębiorcy zaangażowani w Ekonomię Komunii dzielą się swoimi zyskami z potrzebującymi i mają własny model zarządzania. W skali świata jest ich niewielu, ale zdaniem papieża Franciszka są zaczątkiem, który może zmienić realia gospodarcze

nie prawdziwej wspólnoty, obejmuje ona relacje z pracownikami, innymi przedsiębiorcami, lokalną społecznością, wszystko ma się opierać na dobrej komunikacji i być zanurzone w duchowości oraz etycznym działaniu. – W Ekonomii Komunii w każdym człowieku trzeba widzieć Jezusa – mówi Bogusław Musiolik, prezes EKa. Co to znaczy w praktyce, tłumaczy Andrzej Miłkowski, właściciel firmy Complex Projekt z Katowic projektującej infrastrukturę, mającej na swym koncie m.in. prace przy autostradach A1 i A4. – Ludzi trzeba traktować poważnie i z szacunkiem. Dotyczy to każdego pracownika, inwestora czy wykonawcy i innych osób uczestniczących w procesie inwestycyjnym. Także osoby, która mieszka obok budowanej autostrady, przerażonej i niepewnej, czy będzie mogła tu nadal normalnie żyć – wyjaśnia. Wspólnota musi mieć bardzo praktyczny wymiar. – Wielu ludzi mówi, że potrzebującym nie należy dawać ryby, ale wędkę. W Ekonomii Komunii nie tylko daje się wędkę, lecz także zaprasza się do wspólnego łowienia i następnie dzielenia się efektem połowu z potrzebującymi – mówi Stanisław Grochmal, zajmujący się Ekonomią Komunii także od strony naukowej, autor książki „Paradygmat jednności w kontekście zarządzania organizacjami”. – Gdy przyjdą dzieci do filantropa z prośbą o sponsorowanie wycieczki, ten da im pieniądze i je odprawi. Przedsiębiorca kierujący się Ekonomią Komunii, zanim udzieli im pomocy finansowej, zachęci je do jakiejś pracy na rzecz np. lokalnej społeczności oraz poprosi np. o przywiezienie z wyjazdu zdjęć i wrażeń, którymi będą mogły się podzielić z pracownikami na zorganizowanym po wycieczce spotkaniu. W ten sposób buduje się dobre i bardziej trwałe relacje darczyńców z obdarowanym – dodaje.

WSPÓŁPRACUJĄC Z KONKURENTEM

Chyba najtrudniejszą relacją jest w tym kontekście ta z konkurencją. Wie o tym dobrze Miłkowski, którego firma zlecenia zdobywa dzięki publicznym przetargom. – Kiedyś zauważyłem, że konkurentów traktuję jako zawodowych wrogów. Nie współgrało mi to z moją wizją dobrego życia. Pomyślałem: Dlaczego nie zacząć z nimi współpracować? – opowiada. – Wychodzenie z propozycją

współpracy do konkurencji owocowało składaniem ofert współpracy w konsorcjach z dawnymi konkurentami. Dawało to gwarancję podziału pracy, którą można było wykonać lepiej inżyniersko oraz w wymaganym terminie. Budowało też zręby zdrowej przyjaźni zawodowej. Przyniosło to istotny rozwój firmy – dodaje.

To wszystko wymaga wyrzeczeń. W klasycznej ekonomii głównym celem przedsiębiorstwa jest zysk, tymczasem tu, choć zysk jest istotny, odgrywa on rolę służebną. Ma się to przejawiać także w relacjach z pracownikami. – Kiedyś prowadziłem w duchu ekonomii firmę produkującą oprogramowanie użytkowe dla instytucji publicznych. Mieliśmy pracownika, który nie sprawdzał się jako programista, jednocześnie wiedziałem, że ma na utrzymaniu rodzinę i problemy osobiste. Stworzyliśmy mu więc miejsce pracy w sprzedaży, gdzie lepiej się odnajdywał, i chociaż nie przynosiło nam ono wielkiego zysku, nie musieliśmy go zwalniać. Później, gdy zmieniał pracę, dziękował nam za to, że go nie opuściliśmy w potrzebie. Oczywiście nie mogliśmy stworzyć miejsc pracy dla wszystkich potrzebujących, ale gdy jest to możliwe, można to robić – dodaje Grochmal. Minęły cztery lata, zanim sam zdecydował się działać w duchu Ekonomii Komunii (dziś też prowadzi firmę informatyczną, która działa w duchu EK). – Każdy ma rodzinę, ponosi koszty utrzymania. A dzielenie się uszczupla budżet domowy. Musiałem zrozumieć, że własność nie jest „nasza”, tylko jest nam powierzona i że będziemy rozliczeni z tego, jak nią dysponowaliśmy – mówi.

GOSPODARCZY ZACZYN

Moi rozmówcy jednomyślnie wskazują, że zmiana sposobu kierowania firmą na podstawie zasad ewangelicznych i dzielenia zysków przynosi także wymierne korzyści. – Zaczęło się od podrzędnych dróg i mostów, skończyło na autostradach i drogach ekspresowych – mówi Miłkowski, twierdząc, że to także dzięki Ekonomii Komunii. Innym ważnym elementem jest to, że w firmie, w której współpraca opiera się na dialogu i szacunku, lepiej oraz efektywniej się pracuje. – Gdy kiedyś jeden z naszych pracowników ukraść nam 100 tys. zł, zastanawiałem się, czy przyczyną nie była nasza zbyt duża łagodność. Jednakże gdy nie stoi się nad każdym pracownikiem

i nie rozkazuje mu oraz ma na względzie jego potrzeby, można także oczekiwać wzajemności. Gdy ostatnio dostaliśmy dwa wielkie zlecenia, dla wszystkich było jasne, że wymaga to większego zaangażowania przy produkcji – mówi Musiolik.

Jednak podobnie jak w innych rozwiązaniach promujących etykę biznesu może się skończyć wykorzystywaniem dobrze brzmiącego hasła w celach marketingowych – bez realnego przełożenia na prowadzenie biznesu. Ludzie zaangażowani w Ekonomię Komunii wiedzą o tym i dlatego postanowili to... zmierzyć. Grochmal jest autorem modelu matematycznego, dzięki któremu można zbadać, na ile dana firma postępuje zgodnie z własnymi etycznymi założeniami. Wynik umieszcza się na skali od 0,2 do 1, gdzie 1 oznacza pełną zgodność z deklaracjami. Okazuje się, że większość spośród przebadanych przez niego 110 firm z 22 krajów działających w nurcie Ekonomii Komunii uzyskała wynik między 0,6 a 0,7.

Nie ma więc ideałów, ale do ideału warto dążyć, do czego zachęcał też papież Franciszek, gdy na początku lutego spotkał się w Castel Gandolfo z ponad 1,2 tys. osobami zaangażowanymi w Ekonomię Komunii, m.in. z Miłkowskim i Grochmal. – 25 lat waszej historii mówi o tym, że komunizm i przedsiębiorstwo mogą istnieć razem oraz wzrastać – mówił. Papież odniósł się także do względnej nieliczności przedsiębiorstw działających na podstawie EK; w końcu 900 firm można znaleźć w średnim polskim mieście. – Mała trzódka, lampa, moneta, baranek, perła, sól, zaczyn są obrazami Królestwa, które spotykamy w Ewangelii. Nie potrzeba wielu osób, by zmienić naszą historię, nasze życie: wystarczy, by sól i zaczyn nie straciły swojej natury – tłumaczył. – Nie wszyscy muszą należeć do naszej wspólnoty, działać według wszystkich tych zasad. Wystarczy, że dajemy przykład i inni przedsiębiorcy z niego korzystają. Mamy dobre relacje z Duszpasterstwem Przedsiębiorców i Pracodawców „Talent”, spotykamy się i wymieniamy doświadczeniami. Okazuje się, że wiele osób aktywnych w tym dziele płaci „dziesięcinę”, która jest takim odpowiednikiem naszego dzielenia się zyskami. Może jesteście małym ziarenkiem, ale jeśli ono padnie na podatny grunt, to może rozsądzić mur – mówi Grochmal.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

PO – Platforma Obietnic

Platforma Obywatelska, ustami swego kolejnego, po Donaldzie Tusku, złotoustego lidera – Grzegorza Schetyny, obiecała po 500 zł co miesiąc każdemu polskiemu dziecku i 13. emeryturę co roku każdemu polskiemu emerytowi. A przecież dosłownie nic nie stoi na przeszkodzie, by Platforma obiecała po 1 tys. zł, a nawet po 1 tys. euro lub dolarów co miesiąc każdemu dziecku, po dwie dodatkowe emerytury co roku każdemu emerytowi i 13. pensję co roku każdemu Polakowi, nawet niepracującemu – rzecz jasna z budżetu państwa. Nic nie stoi na przeszkodzie, albowiem w składaniu obietnic politycy PO mają wprost przeogromne doświadczenie. Ba, w zasadzie jedną rzeczą, jaką potrafią oni robić naprawdę dobrze – czyli z niespotykanym rozmachem, zawsze miedzianym czołem i bez najmniejszego związku ze skłonnością do ich późniejszego spełnienia – jest właśnie składanie obietnic.

Aby się o tym przekonać, nie trzeba przeprowadzać żadnych specjalistycznych studiów. Wystarczy rzucić okiem na przedwyborcze manifesty tej partii z lat: 2005, 2007 i 2011. Czegoż tam nie było! Rzecz jasna, nie było żadnych podwyżek podatków – ani PIT, ani CIT, ani VAT. Natomiast powszechna obniżka podatków, czyli podatek liniowy na niskim poziomie, jak najbardziej. Były szpitale leczące wszystkich Polaków na najwyższym poziomie. Było euro w każdym portfelu i w każdej portmonetce –

zamiast złotych. I żadnych kradzieży pieniędzy z OFE, żadnego zadłużania państwa ponad próg zagrożenia. O podwyższeniu wieku emerytalnego też na wszelki wypadek ani słowa. No i w gratisie – jak wiadomo – ciepła woda w kranie w każdym polskim domu. Słowem – żyć nie umierać, raj dla wszystkich i dla każdego z osobna.

Co z tego zrealizowano, wie każde dziecko, które płaci VAT, i każdy przyszły emeryt okradziony z połowy swych oszczędności w OFE. I dlatego nie mam ani cienia wątpliwości, że PO może dosłownie wszystkim obiecać dosłownie wszystko, o czym będziemy się przekonywać jeszcze wiele razy. W dodatku niejedna obietnica będzie wykluczała poprzednie, tak jak w przypadku programu „Rodzina 500+” i przyjmowania przez Polskę imigrantów, a takimi „drobiazgami”, jak obowiązek wyjaśniania wyborcom, skąd liderzy Platformy zamierzają wziąć pieniądze na realizację swych kolejnych przyrzeczeń, nikt w PO nie będzie sobie zaprzętał głowy. (Pieniądzy na to – oczywiście – nie ma).

Albowiem politykom Platformy chodzi o składanie obietnic, a nie ich spełnianie. A jej niezawodnym wyborcom, którzy swej niezawodności dowiedli, głosując na Platformę po wielokroć, mimo że zostali przez nią nieraz wystawieni do wiatru, chodzi o to, by ich ukochana partia im naobiecywała, a nie te obietnice spełniała. Sorry, taki w Platformie mamy klimat. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Cyberpolityka

W Wielkiej Brytanii trwa śledztwo w sprawie zaangażowania jednej z firm zajmujących się Big Data w kampanię, której efektem było wyjście Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej. Według prasy brytyjskiej ta firma otrzymała 5 mln funtów od sztabu wyborczego Trumpa, aby przygotować efektywną kampanię marketingową nakierowaną na przekonanie do Trumpa tzw. niezdeterminowanych wyborców.

Ta firma, wykorzystując różne dane, w tym konta

70 lajków wystarczyło, żeby wiedzieć o danej osobie więcej niż jej znajomi, a 150 lajków – więcej niż rodzice danej osoby. Jeszcze więcej lajków pozwalało wiedzieć o danej osobie więcej, niż ona sama o sobie wie! Według prasy ów Polak w dzień, w którym opublikował wyniki swoich badań, otrzymał dwa telefony: jeden z groźbą procesu sądowego i drugi z ofertą pracy. Oba z Facebooka.

Technologie Big Data stają się na tyle skuteczne, że nie tylko zaczynają wpływać na życie każdego z nas, lecz także zaczynają kształtować światową politykę. Trwa wojna między postępowem technologicznym w obszarze Big Data a działaniami regulatorów. Najciekawsze rzeczy dzieją się jednak poza zasięgiem opinii publicznej. Google i Facebook mają dostęp do danych miliardów osób i publicznie nie wiadomo, w jaki sposób analizują te dane.

Przy zastosowaniu technik sztucznej inteligencji do danych, które są w dyspozycji wspomnianych firm, można opracować modele machine learning, które pozwolą zarabiać na giełdzie prawie bez ryzyka. To oznaczałoby transfer pieniędzy od przeciętnego zjadacza chleba do właścicieli wielkich zbiorów danych i technologii machine learning. Powstaje także pytanie: Czy wybory w kolejnych latach w dowolnym kraju będzie wygrywała ta partia, która będzie miała dostęp do takich technologii? ©©

Technologie Big Data zaczynają kształtować światową politykę

na Facebooku, sprofilowała 220 mln Amerykanów, dzięki czemu można było kierować do wyborców bardzo skuteczne komunikaty polityczne. To nie Rosja pomogła Wielkiej Brytanii wyjść z UE i nie Rosja pomogła Trumpowi wygrać wybory, tylko technologie Big Data.

Jedną z kluczowych osób w tej firmie był Polak, który obecnie jest profesorem na Uniwersytecie Stanforda. Przewodząc badania kont na Facebooku, pokazał, że wystarczy 68 lajków, aby przewidzieć kolor skóry, orientację seksualną, preferencje polityczne, poziom inteligencji, religijność, uzależnienie od alkoholu, tytoniu lub narkotyków.

Autor jest rektorem Narxoz University w Alma Acie w Kazachstanie.

132 sesje, 700 prelegentów, ponad 9 tys. uczestników, w tym 660 przedstawicieli mediów – w Katowicach zakończyła się dziewiąta edycja Europejskiego Kongresu Gospodarczego (European Economic Congress – EEC), której patronem medialnym był tygodnik „Do Rzeczy”

Dobry klimat dla innowacji

Po raz kolejny w Katowicach spotkali się reprezentanci administracji unijnej, polskiego rządu, krajowego i europejskiego parlamentu, ministrowie i wiceministrowie z Europy oraz ze świata, a także prezesi największych firm. Wśród tematów wiodących dziewiątego Europejskiego Kongresu Gospodarczego znalazły się m.in. nowy pomysł na Europę – przemiany polityczne w Unii, gospodarka po Brexicie oraz prawdopodobieństwo innych exitów, kryzys w postrzeganiu liberalnego kapitalizmu czy IV rewolucja przemysłowa – jak rozwijać przemysł z wykorzystaniem najnowszych technologii i w oparciu o digitalizację.

W agendzie kongresu nie zabrakło również sesji poświęconych takim dziedzinom gospodarki i życia publicznego, jak: finanse, innowacje, technologie i człowiek, energetyka i surowce, górnictwo i hutnictwo, zarządzanie, samorządność i polityka regionalna, infrastruktura, rynek zdrowia, transport i logistyka, budownictwo i nieruchomości oraz globalna współpraca gospodarcza.

– Europejski Kongres Gospodarczy po raz kolejny przemówił mocnym głosem środowisk gospodarczych o tym, co zdecyduje o przyszłości Europy i Polski. Przez trzy dni w Katowicach spotkały się różne grupy zawodowe i różne opinie. Ta różnorodność spojrzenia na poruszane przez nas tematy stanowi ogromną wartość tego przedsięwzięcia, generuje pomysły i pozwala obserwować trendy, które będą oddziaływać na gospodarkę w najbliższym czasie – powiedział, podsumowując tegoroczną edycję wydarzenia, Wojciech Kuśpik, prezes Grupy PTWP, inicjator Europejskiego Kongresu Gospodarczego.

Wydarzeniem towarzyszącym IX edycji Europejskiego Kongresu Gospodarczego były już po raz drugi European Start-up Days – przestrzeń otwartego dialogu pomiędzy start-upami, inwestorami a organizacjami wsparcia biznesu.



O wynikach badania Smart Industry Polska 2017, zrealizowanego na zlecenie Siemens przez instytut Millward Brown, rozmawiano podczas Europejskiego Kongresu Gospodarczego w Katowicach.

Zdaniem Tomasza Haiduka, dyrektora branż przemysłowych, członka zarządu Siemens sp. z o.o., właściciele przedsiębiorstw i osoby decyzyjne powinny przede wszystkim dbać o wytworzenie właściwego klimatu w przedsiębiorstwie, tak aby zespół był otwarty na innowacje.

– Innowacje to zmiana, a większość z nas boi się zmian. To jest naturalne. Dlatego warto wspierać nowe pomysły i dbać o kapitał ludzki, który jest motorem innowacyjności – mówi Tomasz Haiduk.

Laureaci konkursu Start-up Challenge przedstawili swoje start-upy na scenie prezentacyjnej Europejskiego Kongresu Gospodarczego w Międzynarodowym Centrum Kongresowym w Katowicach oraz przed uczestnikami European Start-up Days w Hali Widowiskowo-Sportowej Spodek.

– Cieszy nas, że na kongresie pojawia się coraz więcej młodego biznesu, nowego pokolenia, które krawaty zamieniło na T-shirty – to wyraźnie zauważalna zmiana. Miks tego dopiero startującego i tego doświadczonego biznesu owocuje dobrą, twórczą energią oraz konkretnymi relacja-

mi biznesowymi, z korzyścią dla obu stron – podsumowuje Wojciech Kuśpik.

Najlepsze w Polsce start-upy to: w kategorii Industry 4.0. Robotyka, automatyzacja, IT, nowe materiały – Sky Tronic; w obszarze Business & ICT. Zarządzanie, analityka i procesy decyzyjne, HR – ChallengeRocket; w zakresie Tradition & Modernity. Przemysł, energia, telekomunikacja, logistyka – Gradis; w kategorii For Human. Biotechnologia, medycyna, ekologia – Lapa-ro; w kategorii Client & Business. Handel, Customer Experience, Fintech – Tosend; zwycięzcą w kategorii Lifestyle, przemysł czasu wolnego, inne okazał się DDOB.pl.

Terapie nadziei



Katarzyna Pinkosz

Chorzy w Polsce często nie mają szans na leki, które są dostępne w innych krajach. Jak się z tym pogodzić, gdy stawką jest życie?

Powiększenie węzłów chłonnych (na szyi, nad obojczykiem, w pasze, pachwinie), nocne poty, stany podgorączkowe, utrata masy ciała, świąd skóry – to mogą być objawy chłoniaka. Niecharakterystyczne objawy, często przypominające zwykłe przeziębienie, powodują, że ten nowotwór często jest rozpoznawany w zaawansowanym stadium. – Chłoniak jest znakomitym aktorem, potrafi podszywać się pod inne choroby – podkreślał prof. Wiesław Jędrzejczak podczas debaty „Do Rzeczy” na temat chłoniaków. Co roku 7,5 tys. osób w Polsce słyszy taką diagnozę w gabinecie lekarskim.

Eksperci zaznaczali, że w przypadku raka płuca, piersi czy wątroby można przynajmniej zidentyfikować czynniki ryzyka. W przypadku nowotworów krwi to znacznie trudniejsze. Nie są to choroby, na które „pracujemy”, paląc papierosa, pijąc alkohol, źle się odżywiając czy mało się ruszając. Nie ma też typowych badań przesiewowych, które potrafiłyby na wczesnym etapie rozpoznać, że w układzie krwiotwórczym dzieje się coś złego. – Chociaż ja zawsze powtarzam, że raz na rok każdy powinien wykonać morfologię krwi oraz OB. I badanie ogólne moczu – mówił prof. Jędrzejczak.

Chociaż chłoniaki występują rzadko, hematolodzy wyróżniają już 103 ich podtypy. Najczęstszym jest chłoniak rozlany z dużych komórek B – jego diagnozę słyszy w Polsce ok. 3 tys. osób rocznie. 70 proc. z nich ma szczęście, gdyż już w pierwszej linii leczenia udaje się opłacać chorobę. W dużo gorszej sytuacji są ci, u których chłoniak ma agresywny

przebieg, nie reaguje na leczenie lub dochodzi do wznowy choroby. Zwłaszcza starsi pacjenci, po 60. roku życia (czyli zdecydowana większość), którzy z racji wieku i chorób współistniejących nie mogą być poddani agresywnemu leczeniu. Do niedawna mieli szansę przeżycia zaledwie kilku miesięcy.

EMA CZY AOTMiT?

W ostatnich latach widać ogromny postęp w leczeniu nowotworów hematologicznych: pojawiają się nowe leki, które są „deską ratunku”, kiedy wydawało się, że nowotwór już wygrał. Brentuximab vedotin, refundowany w Polsce od ubiegłego roku, ratuje życie kilkudziesięciu młodym ludziom z agresywnym i opornym na leczenie chłoniakiem Hodgki-na. Inny lek – ponatynib – jest szansą dla bardzo niewielkich grup chorych z przewlekłą białaczką szpikową i ostrą białaczką limfoblastyczną, którzy nie reagowali na stosowane leczenie. W agresywnych chłoniakach rozlanych z dużych komórek B taką nadzieją jest piksantron, okrzyknięty przez hematologów „szlagierem 2016 r.”. – To obecnie jedyny lek, który ma wskazanie Europejskiej Agencji Leków (EMA) do leczenia chorych z wielokrotnie nawracającym lub opornym na leczenie agresywnym chłoniakiem z komórek B. Leczę nim pacjentów w ramach badań klinicznych, w których część osób dostaje gemcytabinę, czyli lek dostępny w ramach NFZ. Efekty leczenia zdecydowanie przemawiają na korzyść piksantronu – przekonywała dr n. med. Monika Długosz-Danecka ze Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie.

Zaletą piksantronu jest to, że nie uszkadza serca tak jak inne leki z grupy antracyklin, co uniemożliwia ich stosowanie na tym etapie leczenia u osób starszych, obciążonych kardiologicznie. Lek pozytywnie oceniła też brytyjska agencja leków NICE. Jednak Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji nie zarekomendowała go do refundacji, argumentując, że „dostępne jest tylko jedno średniej jakości badanie kliniczne,

którego wiarygodność metodologiczną określono na 3/5 punktów w skali Jadada”.

Kto ma rację? EMA, brytyjska NICE i kraje, które zdecydowały się wprowadzić piksantron do refundacji, czy AOTMiT? – To nowy lek, więc nie przeprowadzono jeszcze z nim wielu badań klinicznych. Natomiast ta skala ma niewielkie zastosowanie, jeśli chodzi o ocenę leków onkologicznych, gdyż bardzo trudno przeprowadzić tzw. podwójną ślepa próbę, gdy ani pacjent, ani lekarz nie wiedzą, jaki lek dostaje – tłumaczył prof. Jędrzejczak. Tymczasem w pięciopunktowej skali Jadada lek dostaje jeden punkt, gdy podwójna ślepa próba jest przeprowadzona, a drugi – gdy była przeprowadzona prawidłowo. – W przypadku piksantronu taką próbę trudno przeprowadzić, gdyż ma on charakterystyczny niebieski kolor, a skóra pacjentów też staje się niebieskawa. Z tych powodów taki lek może dostać najwyżej trzy punkty, czyli stosunkowo niską ocenę, niezależnie od rzeczywistej skuteczności – podkreślił prof. Jędrzejczak.

Opisy radiologów oceniających badania obrazowe jednoznacznie przemawiały na korzyść piksantronu. A oni nie widzieli, którzy pacjenci przyjmowali jakie leki – dodała dr Długosz-Danecka. Mimo pozytywnych doświadczeń hematologów chorzy mogą dostać piksantron tylko wtedy, jeśli zakwalifikują się do badania klinicznego. – Jest on wskazany tylko dla chorych z nawrotowym lub opornym na leczenie agresywnym chłoniakiem, w Polsce potrzebowałoby go najwyżej ok. 200–300 pacjentów, maksymalnie przez sześć miesięcy. Wprowadzenie go do refundacji nie byłoby więc dużym obciążeniem dla NFZ – podkreślała dr Długosz-Danecka.

KONIECZNA POPRAWA OPIEKI

Uczelnia Łazarskiego jest w trakcie opracowywania raportu dotyczącego hematologii w Polsce. W badaniu wzięło udział ponad 400 pacjentów chorych na nowotwory krwi, swoje



W debacie „Do Rzeczy” pt. „Agresywne i nawrotowe chłoniaki – wyzwanie dla lekarzy i systemu ochrony zdrowia” wzięli udział (od lewej):

- prof. Wiesław Jędrzejczak, krajowy konsultant ds. hematologii, Katedra i Klinika Hematologii, Onkologii i Chorób Wewnętrznych Centralnego Szpitala WUM;
- dr Małgorzata Gałązka-Sobotka, dyrektor Instytutu Zarządzania w Ochronie Zdrowia Uczelni Łazarskiego;
- dr Mariola Kosowicz, kierownik Poradni Psychoonkologii Centrum Onkologii – Instytutu im. Marii Skłodowskiej-Curie w Warszawie;
- dr n. med. Monika Długosz-Danecka, hematolog, Oddział Kliniczny Hematologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie;
- red. Katarzyna Pinkosz, „Do Rzeczy”.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

opinie wyraziło również ponad 30 ekspertów: hematolodzy, decydenci z Ministerstwa Zdrowia i NFZ, farmakoekonomiści. – Raport jednoznacznie wykazał, że dostęp pacjentów w Polsce do leków hematoonkologicznych jest znacznie gorszy niż w innych krajach europejskich, w tym również tych o podobnym poziomie dochodu narodowego na obywatela. Szczególnie zła sytuacja dotyczy chłoniaków nie-Hodgkina – mówiła podczas debaty dr Małgorzata Gałązka-Sobotka z Uczelni Łazarskiego. Podkreśliła, że gdyby przy podejmowaniu decyzji refundacyjnych były brane pod uwagę tzw. koszty społeczne, w tym koszty zwolnień lekarskich, rent, niepełnosprawności, wtedy znalazłbyśmy prawdziwe koszty danej choroby i braku skutecznych terapii. Osoby podejmujące decyzje refundacyjne powinny wziąć pod uwagę również perspektywę rodziny, która bierze zwolnienie, idzie na urlop bezpłatny, rezygnuje z pracy.

– W przypadku nowotworów hematologicznych, gdzie nie ma możliwości zapobiegania, wczesnego wykrycia ani chirurgicznego usunięcia, dużo większe znaczenie ma farmakoterapia. Ważny jest wczesny dostęp do nowoczesnych terapii, a mechanizmy dostępu powinny być podobne jak w przypadku chorób rzadkich. Prawie każdy nowotwór hematologiczny jest zresztą chorobą rzadką – podkreśliła dr Gałązka-Sobotka.

UMIERAJĄ PO CICHU

Choroba nowotworowa burzy życie całej rodziny. – Można się zastanawiać, czy z ekonomicznego punktu widzenia „opłaca się” przedłużyć choremu życie o pół roku czy o rok. Jednak dla danej osoby, dla danej rodziny to bardzo dużo. Dzięki lekarzom przedłużono życie mojego taty o rok. I to był najpiękniejszy rok mojego życia z ojcem – mówiła dr Mariola Kosowicz, psychoonkolog z Centrum Onkologii, która od wielu lat

pracuje z chorymi na nowotwory.

Trudno wyobrazić sobie, co myśli pacjent, który zachorował na raka, u którego doszło do wznowy choroby i który dowiaduje się, że lek ostatniej szansy jest dla niego nieosiągalny. W bardzo trudnej sytuacji jest też rodzina.

– Niedawno rozmawiałam z młodym człowiekiem, którego mama nie ma dostępu do leku ostatniej szansy. Czuł bezradność. Osoba starsza powie: „Widocznie taki mój los”. Co jednak czuje rodzina? Jeśli wiadomo, że czegoś naprawdę nie ma, to można się z tym pogodzić. Dramat zaczyna się wtedy, gdy wiadomo, że jest możliwość leczenia, ale nie ma do niej dostępu – mówiła dr Kosowicz.

Na rzecz dziecka lub młodej osoby w takiej sytuacji często udaje się zorganizować zbiórkę pieniędzy. W przypadku osób starszych jest to znacznie trudniejsze. – Dlatego państwo powinno szczególnie dbać o osoby słabsze – podkreślała dr Gałązka-Sobotka.

– Osoby starsze często umierają po cichu – mówił prof. Jędrzejczak, przyznając, że trudno rozpatrywać ludzkie dramaty, gdy trzeba skupiać się na ratowaniu kolejnych pacjentów.

Obecni na debacie eksperci przyznawali, że w żadnym kraju nie ma dostępu do wszystkich nowych leków. – Musimy jednak myśleć, jak w ramach tych środków, jakie mamy jako kraj, najlepiej rozwiązać problemy chorych. Pamiętając, że to tylko kwestia przypadku, że choroba dotknęła „ich”, a nie „nas”. Bo jutro choroba może dotknąć nas – podkreślił prof. Jędrzejczak.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Czy ministerstwo rozważa wprowadzenie rozwiązania, żeby pieniądze zaoszczędzone w wyniku utraty patentów przez oryginalne leki stosowane w hematoonkologii były przeznaczone na nowe terapie dla wąskich grup chorych, u których choroba nie poddaje się leczeniu?

MAREK TOMBARKIEWICZ, podsekretarz stanu w Ministerstwie Zdrowia:

Ustawa refundacyjna nie zawiera rozwiązań, które dawałyby ministrowi zdrowia wprost podstawę do kierowania środków zaoszczędzonych w związku z wprowadzeniem odpowiedników leków stosowanych np. w hematoonkologii wyłącznie na leczenie chorób hematoonkologicznych. Należy jednak podkreślić, że wydając decyzję o objęciu bądź odmowie objęcia refundacją nowej technologii lekowej, minister zdrowia bierze pod uwagę m.in. istotność stanu klinicznego, w którym są one stosowane, oraz istnienie alternatywnej technologii medycznej. Jesteśmy w dialogu ze specjalistami z zakresu onkologii i hematologii. Podobnie jak środowisko hematoonkologów jesteśmy zainteresowani udostępnieniem polskim pacjentom nowoczesnych terapii.



JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Delicje Kresów Wschodnich

Kuchnia kresowa zawiera wiele dziwnie lub obco brzmiących nazw, które nieodparcie kojarzą się z przysmakami dawnych wschodnich ziem Rzeczypospolitej. Wszystkie są świadectwem przenikania się kultur, w czasach kiedy „wielokulturowość” nie oznaczała terroru społeczności islamskich, ale spokojne mieszanie się kultur: polskiej, ruskiej, żydowskiej, niemieckiej, tatarskiej, tureckiej i rosyjskiej. Stąd mamy w kresowych jadłospisach juszniki, uchy, zupy orszadowe, teltówki, kołduny, krezki, perduty, strudle, frykasy, pilawy, dołmy, szarpaniny, auszpiki. A na dokładkę: melszpeizy, auflaufy, koksy, bliny, łazanki, oblaty, zefiry, musy i wiele innych dziwnych nazw. Co się pod nimi kryje?

Przed wszystkim zapożyczenia z kultur innych niż polska. Niektóre z kresowych przepisów są dziś wprost niepoprawne politycznie, tak jak „wyrastki brukselskie”, potrawa – o dziwo – kapuściana, przy czym współczesne odniesienia sugerują, że przygotowywana z głąbów. Jednak tak naprawdę owe „wyrastki” to małe główki kapusty tzw. brukselskiej, czyli dzisiejsza brukselka.

Jusznik, o którym wspominam w innym felietonie, to zupa

z krwi prosięcia lub gęsi, zagotowana z rosołem i włoszczyzną. Perduty, o dziwo, są to po prostu jaja gotowane w gorącej wodzie z octem, bez skorupki, dodawane do innych dań – dobre do: „okładania szczawiu, grochu, szpinaku, pokrzywy itd.”. W dni postne można podać je jako potrawę, a na wiosnę – jako przydatek do jarzyn.

Ciekawym świadectwem multi-kulti w dobrym, bo XIX-wiecznym wydaniu są np. wymienione w „Kucharce litewskiej”, wydanej w 1881 r., przepisy na turecki pilaw i dojmę. Ten pierwszy przygotowywany jest z tłustej baraniny gotowanej w wodzie, a potem posiekanej z ciastem, gęstą ryżową kaszą i żółtkami, pieczony w piecu i posypany tłuczonym sucharkiem. Dołma to z kolei danie z ryżu, soli, pieprzu i siekanego mięsa baraniego – przy czym ten farsz zawija się w liście słodkiej kapusty przygotowane we wrzątku, zalewa śmietaną i dusi w garnku pod pokrywką.

Szarpanina to suszona ryba zbita i poszarpana na małe kawałki po zdjęciu skóry. Moczona w wodzie i gotowana na pół miękko, podawana ze śmietaną, posypywana startym sucharkiem i podlewana smażoną na maśle cebulą.

Auszpiki to oczywiście mięsne galarety przygotowywane z główek i nówek cielęcych, płukane w wodzie i gotowane z włoszczyzną, w zasadzie podobne do dzisiejszych nówek. Kiedy mięso zaczyna spadać od kości, przecedzamy je, „zdejmujemy tłustość” – czyli gęstą zawiesinę z wierzchu, dolewamy mięsnego bulionu, octu, dorzucamy soli, korzeni, gotujemy i studzimy. Na koniec dodajemy białka z jajek, wlewamy na serwetę i stawiamy na zimnie, aby zgęstniały. Melszpeiz, którego rodzajów wspomniana już „Kucharka litewska” wymienia aż 45, w tym z grochem, kartoflami, ze śliwkami, z jabłkami i inne, to po prostu rodzaj przekładanego ciasta – w niektórych wersjach protoplasta dzisiejszej szarlotki. Przyrządzany jest ciekawie, bo do przegotowanego mleka z masłem dosypuje się pszennej mąki, miesza, dorzuca dziesięć żółtek z jajek, cukru i miesza wszystko razem, wyrabiając ciasto. Następnie bierze się jabłka obrane ze skóry i pozbawione gniazd nasiennych, kładzie w garnku na blacie ze wspomnianego ciasta, przekłada kolejną jego warstwą – i tak raz za razem, aż zapełni się cały rondel. Melszpeiz gotuje się na parze albo piecze w piecu, podaje oblaty słodkim sokiem. ☺



Frykas z węgorza na ruszcie

Obdzieramy węgorza ze skóry w następujący sposób: poniżej głowy nacinaamy go nożem dookoła korpusu, przeciągamy przez oczy sznurek, wieszamy rybę i odchylając skórę nożem, zdzieramy ją w stronę ogona. Płuczemy węgorza, kroimy w dzwonka, solimy, układamy na ruszcie albo grillu, pieczemy, polewając masłem. Osobno podsmażamy łyżkę mąki zmieszanej z masłem, drobno posiekaną cebulką i pietruszką, dolewamy trochę bulionu, dodajemy pieprzu i pół cytryny pokrajanej w talarki. Gotujemy to wszystko razem, wkładamy do mieszaniny upieczonego, pokrojonego węgorza i jeszcze raz gotujemy. Przed podaniem doprawiamy sos żółtkami z cytryną. Możemy też węgorza upiec osobno i tylko zalać wspomnianą mieszaniną.

NIEPOPRAWNA DZICZYNA WIKTORA ŚWIETLIKA

Kuchnia w moim domu była pomieszana i poplątana jak losy i korzenie rodzin moich rodziców. Babcia wigilijnego karpia zagęszczała naturalną galareta „na łbach”, a kiedy trzeba było, potrafiła przyrządzić bażanta, takiego całego na półmisku z „piórami” – na pełnym wypasie. Mama największe sukcesy odnosiła chyba pod koniec PRL. Bloki czekoladowe, domowa pizza, ciepłe bułeczki z owocami niwelowały nieco puste półki drugiej połowy lat 80. Tata był mistrzem pasztetów, a pod koniec życia, z powodu choroby syna – ciast bezglutenowych.

A jakie danie jest najbardziej „politically incorrect”? Bierzymy dorodnego prosiaka, doń wkładamy indyka, do indyka zajacę, do zajacę kaczkę, do kaczki przepiórkę. Wszystko pieczemy, wyjmujemy i zjadamy przepiórkę, resztę wyrzucamy. Tak miał rzekomo brzmieć staropolski przepis. Ja chciałbym polecić danie także niepoprawne. Czyli sarnę. A właściwie jej udziec, który – jakkolwiek by to prozaicznie brzmiało – przeważnie kupuję w sklepie. A najprostszy i najpewniejszy z udźca jest gulasz. Gotuję „na oko”, więc i przepis będzie na oko, na mniej więcej 1 kg mięsa. Niektórzy zauważają, że brakuje mąki. Tak, jest to sarna bezglutenowa, a więc jednak poprawna.

Sarna bezglutenowa

Sarnie mięso moczę przez kilka

godzin w misce z zimną wodą i odrobiną octu, wymieniając co pewien czas wodę, pozbywając się nadmiaru krwi. Potem mięso osuszam i kroję w kostkę, oczyszczając je nożem. Ja kroję w dość duże kawałki (większe niż przy gulaszu wołowym), by mięso nie straciło sarniego aromatu ani smaku. Do moździerza wrzucam owoce jałowca i ziarna pieprzu. Kiedy już są utarte, mieszam z przeciśniętym czosnkiem. Nacieram sarnę, niech tak poleży kolejnych kilka godzin. Potem całość zalewam czerwonym winem i niech stoi, najlepiej przez noc albo i ciut dłużej. Po tym czasie sarnę wyjmuję z marynaty (której nie wylewam) i znowu obsuszam. W dużym rondlu podsmażam boczek i na wytopionym tłuszczu obsmażam mięso oraz posiekaną cebulę. Na koniec

chlup – marynatę do rondla z sarną, do tego gałązki rozmaryny i resztę boczku, po pół godzinie dodaję dwie, trzy łyżki żurawiny, a krótko przed końcem – odrobinę koncentratu pomidorowego. Dusić się musi, aż będzie miękkie. Mnie z reguły zajmuje to ponad godzinę. Sarnę solę pod koniec, ponoć dziczyzna nie twardnieje jak wołowina, ale wolę dmuchać na zimne. Podaję z ziemniakami lub kaszą gryczaną.

©

oprac. raw

Wiktor Świątek jest dziennikarzem, szefem radiowej Trójki, jednym z prowadzących „W tyle wizji” w TVP Info.



FOT. MARCIN KALINSKI/RAP



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Polska do zjedzenia

Discover pierogi, gołąbki i schabowy – zachęca czterogodzinny food tour po Warszawie.

Spróbuj serów, deserów, odwiedź restauracje... Kraków Food Walking Tour, Delicious tour po Warszawie. Kazimierz, Taste of Poland.

Food tours: gdzie można zjeść i co, jak to przyrządzić, trochę o historii i lokalnej tradycji – turystyka kulinarna w Polsce, choć jest młoda wiekiem, wyrosła już na sporą branżę.

Jest całkiem niezłe. W Krakowie działa ponad 400 restauracji, w Warszawie – wliczając bary, kawiarnie, cukiernie i night cluby oraz część lokali pod Warszawą – mamy 3552 miejsca, w których można coś zjeść (tak obliczyli Hindusi z serwisu Zomato, którzy kupili portal Gastronauki.pl).

Turystyka kulinarna wydaje się więc naturalną odpowiedzią na podkreślane przez media zainteresowanie jedzeniem. Egzotyczne kuchnie, nieznane składniki, diety, konkursy, show, jedzenie dla zdrowia, dla urody. Jak w tym wszystkim może zabraknąć turystyki? Zgłodniałym, spragnionym i ciekawym nowych wrażeń nie wystarczy już portale gastronomiczne ani przewodniki. Chcą czegoś więcej: doświadczenia zmysłowego.

Eating Italy, Devour Madrid, 10 Top Barcelona Food Tours, Bangkok, Praga... W Nowym

Jorku gastronomiczne wycieczki to już całkiem dojrzały biznes. Nic dziwnego – wliczając bary, kawiarnie, delikatesy (z jedzeniem na wynos), działa tam ok. 24 tys. miejsc, w których można zjeść. We

Francji można wybrać się na jedną z 10 regionalnych wycieczek gastronomicznych: sery w Normandii, owoce morza w Finistère, ogławdzowane restauracje w Prowansji.

Food tours mają cel bardziej poznawczy niż praktyczny. Zwracają się do smakoszy zaawansowanych. Oferują informacje, których nie znajdzie się w przewodnikach.

– Czy uczestniczą w nich głównie ludzie z branży gastronomicznej? – pytam Michała Sobieszuka, założyciela biura Eat Polska, z którym można zwiedzić restauracje w Warszawie, Gdańsku i Trójmieście. – To zwykli turyści, może tylko bardziej zainteresowani niestandardowymi formami poznawania kraju. Ludzie z branży to niewielki odsetek – odpowiada.

W ofercie Eat Polska jest nie tylko jedzenie, lecz także picie – vodka tours dla niektórych może się okazać większym wyzwaniem. Kilka barów, w każdym testowanie smaków, mocy i czystości naszego narodowego „drinka”. „Testowanie ma sprawić, że poczujesz się zawiany, nie pijany” – zapewnia organizator. Wierzmy, że tak będzie. ©



TEST „DO RZECZY”: PROJEKTOR INTELIGENTNY I... INTERAKTYWNY

Epson EB-1795F to multimedialny gadżet stworzony z myślą o biznesmenach, pracownikach dużych korporacji lub – ewentualnie – bardzo zamożnych klientach indywidualnych. Multimedialny projektor kosztuje bowiem ok. 7 tys. zł. Za tak wysoką cenę Epson oferuje profesjonalny projektor, który umożliwia wyświetlanie obrazu o wielkości nawet 300 cali w jakości HD (1920 x 1080). Maksymalne natężenie światła białego (3200 ANSI lumenów) jest zaś na tyle wysokie, że za pomocą testowanego projektora można z powodzeniem wyświetlić ostry i wyraźny obraz nawet w trudniejszych warunkach, czyli np. w oświetlonych lub przynajmniej słabo zaciemnionych pomieszczeniach (choćby oczywiście w tym przypadku też sprawdza się zasada, że im ciemniej, tym lepiej). Plusem jest też wysoki współczynnik kontrastu, który wynosi 10 000:1.

Zaletą testowanego urządzenia jest mobilność. Nie jest to co prawda najmniejszy projektor z tych, które testowaliśmy w redakcji

„Do Rzeczy” – model Epsona w przeciwieństwie do miniprojektorów nie mieści się w damskiej torebce czy w kieszeni spodni. Model EB-1795F jest jednak na tyle mały (jego wymiary to 292 x 213 x 44 mm) i lekki (1,8 kg), że bez problemu można go włożyć do aktówki lub torby na laptop.



Nowoczesny design urządzenia sprawia zaś, że testowany projektor powinien pasować do wystroju większości biur.

Biznesmeni czy handlowcy docenią też pewnie fakt, że projektor jest gotowy do pracy niemal natychmiast po podłączeniu do prądu. Przydatną funkcją jest też automatyczna

korekcja geometrii obrazu w pionie i w poziomie oraz opcja automatycznego dopasowania obrazu do rozmiaru ekranu. Szkoda jednak, że projektanci zdecydowali się zainstalować w tym modelu głośniczki o mocy zaledwie 1 W, który średnio sprawdza się w większych pomieszczeniach czy na prezentacjach oglądanych przez dużą liczbę osób. Sam projektor mógłby zaś być nieco cichszy.

Cechą wyróżniającą ten model projektora jest jego interaktywność. Dzięki obsłudze za pomocą gestów, aby przełączać kolejne slajdy, wystarczy wykonać odpowiedni ruch ręką.

Ciekawą funkcją jest również możliwość podziału ekranu, co pozwala na wyświetlanie obrazu z dwóch różnych źródeł. Prezentację, film czy pokaz zdjęć można szybko uruchomić m.in. z laptopa (dostępne są dwa wejścia HDMI), z dysku USB lub np. ze smartfona (w tym ostatnim przypadku szybkie połączenie telefonu z projektorom ułatwia opcja komunikacji NFC). Obsługę projektora ułatwia też łączność Wi-Fi oraz WLAN. © ©

Jacek Przybylski



ŁADOWARKA W PORTFELU

Podobnych projektów na rynku pojawiło się w przeszłości już kilka, ale żaden furory nie zrobił. Poqiut ma jednak sporą szansę przypaść do gustu miłośnikom gadżetów, jest bowiem nie tylko użyteczny, lecz także niezwykle wykonany. To niewielki, elegancki portfel uzbrojony w leciutką przenośną

baterię o pojemności 2500 mAh. Nie brakuje mu przegródek na banknoty i karty kredytowe, nie ma niestety nawet małej zamkniętej przegródki na monety. Ma za to kieszenie pokryte powłoką antykradzieżową, co zabezpiecza użytkownika przed zdalnym ściąganiem środków z kart dotykowych, a także system, który za pomocą Bluetooth przesyła na smartfona informację, gdy się za bardzo oddali od właściciela. Projekt zadebiutował właśnie na Kickstarterze. Cena: ok. 400 zł.

SKARPETKA Z ALARMEM

Jeśli już o portfelu mowa, to nie sposób nie poruszyć też tematu pieniędzy. Te można w nim nosić, można przechowywać w banku, ale stanowczo odradzam trzymanie ich w skarpetkach. A już na pewno nie w tej o nazwie Slock. Dlaczego? Bo to miętutkie „ubranie na stopę” zakładamy na noc tylko w jednym, zniechęcającym przez wszystkich celu – żeby nas skutecznie obudziła.

Podobnie jak działają bransoletki z budzikiem – o ustalonej godzinie wbudowany system wzbudza intensywne drgania i wibracje skarpetki. Nie ma takiego twardziela, którego łaskotki w wykonaniu Slock by nie obudziły, zwłaszcza że dzięki wbudowanemu czujnikowi Force Sensitive Resistor przestają one wibrować dopiero, gdy odczują nacisk kilkudziesięciu kilogramów wybudzonego, wstającego już ciała. Tych, którzy nie lubią spania w skarpetkach, pocieszam: Slock mają wycięte otwory na palce i pięty. Cena: ok. 250 zł. © ©

Wojciech Wybranowski



PIOTR GOCIEK

Kreta subiektywnie



czyli wesołe zapiski dyletanta. Przewrotna opowieść o wyspie,
na której im więcej zobaczysz, tym więcej pozostaje do odkrycia...

PATRONAT MEDIALNY

Pascal



Jedyńska
POLSKIE RADIO



NASZ TEST: AUDI A5 SPORTBACK

S mukła, finezyjna, wręcz seksowna sylwetka, wyglądająca jak połączenie klasycznej eleganckiej limuzyny z kuszącymi atrakcyjnymi kształtami coupé. Wygląd to znak rozpoznawczy Audi A5. Niskie zawieszenie w połączeniu z płynnymi liniami nadwozia sprawia, że auto łatwo wyróżnia się z tłumu innych samochodów. Nie jest to jednak tylko wóz dla atrakcyjnego, bogatego singla. Zaskakująco duży bagażnik pozwala bowiem uznać ten model za przyjazny rodzinnym eskapadom. Pod warunkiem jednak, że w rodzinie jest maksymalnie dwoje rosnących nastolatków.

W KABINIE

Minimalistyczne wnętrze tworzy wrażenie przestrzenności i luksusu. Zawiedzeni mogą być jedynie miłośnicy designu w stylu „rokokoko”. Zastosowane materiały – takie jak szczotkowane aluminium i skóra – są wysokiej jakości, choć w niektórych miejscach plastikowe elementy wyglądają gorzej, niż można by się spodziewać po aucie klasy premium.

W kabinie jest sporo miejsca, zwłaszcza z przodu. Wysoki tunel środkowy nie tylko jednak sprawia, że pasażerowie trudno na dłuższej prztylć się do kierowcy, lecz także znacząco zmniejsza komfort podróżowania na tylnej kanapie więcej niż dwóm dorosłym osobom. Bagażnik jest zaskakująco długi. Kufer ma 480 l pojemności, co pozwala bez trudu wrzucić do niego kilka większych walizek.

Nisko osadzone przednie sportowe fotele dobrze trzymają ciała kierowcy i pasażerów. Podróże uprzyjemnia również świetny system audio marki Bang & Olufsen. Na pochwałę zasługuje też wirtualny kokpit, który zastępuje tradycyjne zegary. Kierowca może więc wybrać,



czy w danym momencie na ekranie umieszczono za kierownicą 12,3-calowego wyświetlacza woli widzieć ogromną mapę z niewielkimi zegarami czy np. duże elektroniczne zegary i wskazania komputera pokładowego.

JAZDA

Auto w wersji z silnikiem 2.0 TDI (o mocy 190 KM), z siedmiobiegową automatyczną skrzynią biegów oraz napędem na cztery koła pierwszą setkę osiąga w 7,4 s. Testowany model z dwulitrowym silnikiem TFSI (o mocy 252 KM) od 0 do 100 km/godz. przyspiesza w zaledwie 6 s. Miłośnikom sportowych wrażeń spodoba się: twarde zawieszenie, precyzyjny układ kierowniczy oraz opcja przełączenia trybu jazdy na dynamiczny, co sprawia, że skrzynia biegów

zapomina o leniwej płynności i włącza się w proces produkcji adrenaliny u kierowcy. Nisko zawieszona A5 nawet na dynamicznie pokonywanych zakrętach trzyma się drogi, jakby była do niej przyklejona, grzecznie podążając wyznaczonym przez kierowcę torem jazdy. Kabina jest bardzo dobrze wyciszona, co pozwala na bardzo szybką jazdę autostradami bez męczącego hałasu. Modelem tym nie zjeżdżałbym jednak zbyt często na gorsze drogi – przy tak zestrojonym zawieszeniu dziury dadzą się nam bowiem we znaki mocno i głośno. Spalanie jest przyzwoite. Podczas naszego testu auto zużywało średnio 7,8 l/100 km w trybie mieszanym.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP Audi A5 uzyskało komplet pięciu gwiazdek. W miejskim korku obowiązek ruszania i hamowania można zrzucić na elektronicznego asystenta. Z kolei na autostradzie przydadzą się m.in. aktywny tempomat czy system ostrzegający, że mamy kogoś w martwym polu lusterek.

CENA

Niestety, Audi A5 Sportback do najtańszych nie należy. W podstawowej konfiguracji z silnikiem 1.4 TFSI kosztuje co najmniej 159,9 tys. zł. W wersji z silnikiem 2.0 TDI i napędem na wszystkie łapy trzeba za ten model zapłacić już co najmniej 197,2 tys. zł. Ceny wersji z silnikiem 2.0 TFSI zaczynają się zaś od 201,6 tys. zł. Ogromna liczba dodatkowych opcji może jednak szybko podnieść ostateczny rachunek o mniej więcej 100 tys. zł.

KONKURENCI

BMW serii 4 Gran Coupé, Infiniti Q70, Jaguar XE, Mercedes klasy C ©



JACEK PRZYBYLSKI



Drive@earth

NOWY ASX

POSTAW NA DOSKONAŁOŚĆ

Już od **499 zł netto/mies.***



Odkryj Mitsubishi Business Contract:

- rata niższa niż w tradycyjnym leasingu
- możliwość wymiany na nowy samochód już po 2 latach
- korzyści podatkowe - odliczenie VAT-u, raty liczone jako koszt uzyskania przychodu



100 LAT

Innowacyjności
samochodów Mitsubishi.

MMC Finanse
FINANSOWANIE DLA MITSUBISHI
MOTORS POLSKA

* Kalkulację sporządzono na samochód ASX 1.6 Invite w cenie 66 090 zł netto, w oparciu o stałą stopę procentową z dnia 09.05.2017r. Opłata wstępna 25%, okres kontraktu 60 miesięcy, przebieg całkowity 120 000 km. Niniejsza propozycja nie stanowi oferty w rozumieniu Art. 66 par. 1 Kodeksu Cywilnego i jest adresowana wyłącznie do przedsiębiorców. Przyznanie finansowania jest uzależnione od wyniku badania zdolności kredytowej ubiegającego się o finansowanie. Szczegóły u sprzedawcy. Dostawcą oferty jest Arval Service Lease Polska Sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Wołoskiej 24, 02-675 Warszawa. Informacje na temat złomowania samochodów Mitsubishi oraz przydatności do odzysku i recyklingu są dostępne na www.mitsubishi.pl. Emisja CO2: 135 g/km; zużycie paliwa 5,8 l/100 km.



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Dobre zmiany

MARCIN MAKOWSKI: Trump przyzwyczaił nas do niespodzianek, jednak decyzja o zwolnieniu szefa FBI, Jamesa Comey, zaskoczyła nawet część republikanów. Niby spekulowano o tym od dawna, jednak prawie nikt nie wierzył, że do tego dojdzie.

MATTHEW TYRMAND: No to już nie muszą mieć rozterek. Być może spodziewano się, że to jeszcze potrwa, ale atmosferę chaosu wokół tej decyzji podkreślają głównie mainstreamowe media i demokraci. Ci sami ludzie, dla których po ujawnieniu informacji o wznowieniu śledztwa w sprawie e-maili Hillary Clinton Comey powinien odejść w niesławie, a później – gdy prowadził dochodzenie w sprawie rzekomego zaangażowania Rosji w wybory w USA – nagle został bohaterem. Dla mnie Comey skończył się na swoim stanowisku kilka tygodni temu, gdy podczas przesłuchania w senacie po prostu zmyślał w sprawie swojego zaangażowania podczas kampanii. Prokurator generalny Jeff Sessions oraz jego zastępca Rod Rosenstein nie mieli co do tego wątpliwości. Comey to człowiek, który przez lata wiernie służył Ameryce, ale całe to zainteresowanie i polityka wokół niego sprawiły, że przestał być efektywny jako szef służby, której dewizą jest partyjna niezależność.

Przyznasz jednak, że o ile sama decyzja jest do obrony, o tyle jej wykonanie i pośpiech mogą już budzić wątpliwości.

To prawda, rozegraniem tej sprawy Donald Trump nie wyświadczył sobie przysługi, ale zwalnianie szefów tak wielkich instytucji nigdy nie jest czyste ani miłe. Comey to urzędnik państwowy, który musi się cieszyć zaufaniem Białego Domu, dla którego pracuje. Cóż, prezydent go nie uprzedził i nie rozmawiał z republikanami przed podjęciem decyzji, ale nie musiał. Gdyby ta informacja wyciekła wcześniej, można się tylko domyslać, jakie siły zostałyby zaangażowane do jego obrony, pogłębiając jedynie kryzys wokół FBI. Moim zdaniem jego zastępca, Andrew McCabe, który przejął stery agencji, też nadaje się do zwolnienia, zupełnie wprost brniąc byłego szefa. To zdeklarowany demokrat, związany z Clintonami i Obamą. Na pewno zaprzysiężenie nowych władz odbędzie się w aurze politycznego spektaklu, ale nie ma drogi na skróty, gdy chce się mieć sprawnie działającą administrację.

W ostatnich dniach również w Polsce zaszła jedna nieoczekiwana zmiana. Marek Magierowski, dyrektor biura prasowego prezydenta, odszedł ze stanowiska.

Nie odszedł, tylko został zwolniony, bo nie umiał się z praktycznie nikim w pałacu dogadać. Podobnie jak w przypadku Comey uważam, że to dobry ruch. Za dużo wokół PiS nagromadziło się ludzi, którzy obejmując państwowe posady, zamiast służyć, zamieniali się w małych władców, skupionych na swoim ogródku i wizerunku. Magierowski zamiast otwierać drzwi do Andrzeja Dudy i pomagać mediom w uzyskiwaniu informacji, zaczął się zachowywać jak klucznik, który handluje swoimi wpływami i rozdziela je zgodnie z osobistymi sympatiami. Gdy uznał jakiś tytuł za mało prestiżowy, a tak było w pewnym momencie w przypadku „Super Expressu”, po prostu przestawał odbierać telefony.

Nie przebierasz w słowach. Jednak jaką mam pewność, że atakując byłego rzecznika, sam nie realizujesz osobistych interesów?

Jakie interesy mam realizować? Nie jestem związany z nikim z KPRP, ale widziałem, co się działo, i nie chcę milczeć. Jestem Polakiem i zależy mi na sukcesie mojego kraju. Gdy Andrzej Duda był w Waszyngtonie, oferowałem pomoc w pozyskaniu amerykańskich mediów. Magierowski w końcu powtarzał, że nie chce żadnej pomocy. Był ponad przyjęcie czyjejs przysługi, ale gdy zrobiło się gorąco i musiałem asystować przy tłumaczeniu listu Dudy do „Financial Timesa”, zamiast „dziękuję” usłyszałem: „Tylko nikomu o tym nie mów”. Takie zagrania powtórzone wobec wielu ludzi w końcu przynoszą efekty. Niestety, słyszałem, że Magierowski może niedługo znaleźć pracę w MSZ. Jeśli to prawda, to mam jedną sugestię: niech zostaje konsulem honorowym w Ohio. Pozycja uszyta na miarę. ©©

Votum zawołania dla bociana!



RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



**PAŁAC
NA
WODZIE**

EMOTIONS & THERMAL SPA

Zainwestuj w Apartament w funkcjonującym hotelu
Zarabiaj już dziś



7%

stopa zwrotu

10 lat

umowa najmu

14 dni

pobyt właścicielski



Baseny termalne



Thermal SPA



Restauracja



Prywatny staw

Pałac Na Wodzie Emotions & Thermal SPA

jedyny aparthotel w Polsce z własnym ujęciem wody termalnej, położony w samym sercu Karkonoszy



22 299 11 44

apartamenty@palacnawodzie.pl

apartamenty.palacnawodzie.pl

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu Art. 66 § 1 Kodeksu Cywilnego.

Stopa zwrotu liczona od wartości netto apartamentu, w przypadku korzystania z pobytu właścicielskiego wynosi 6%

eprasa.pl 6c26d81afd



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Rankingi i rankingi

Głośnym echem odbił się ranking wolności mediów 2017 r. opracowany przez nie wiadomo kogo i według nie wiadomo jakiej metodologii dla amerykańskiej – zasłużonej skądinąd – organizacji Freedom House. Ranking wolności mediów był elementem innego rankingu – „Wolność na świecie 2017” – ale on jakoś nie przebił się do polskich mediów. Ciekawe dlaczego. Może dlatego, że w tym rankingu badającym wolności polityczne i obywatelskie Polska otrzymała aż 89 punktów na

kingów, żeby wiedzieć, w jakim kraju żyję. Zwłaszcza że dostarczycielami informacji do rankingów są miejscowi dziennikarze, tacy jak Wojciech Maziarski, którego subiektywne oceny ukształtowały ocenę Polski w podobnym rankingu – „Index on Censorship”. Maziarski z różnych rzeczy jest znany, neutralność polityczna do nich jednak nie należy. A i podejście do zawodu ma oryginalne, niedawno wzywał do antypisowskiej rewolucji. „Władza musi zostać obalona. Strajk generalny, blokady w miastach i na drogach, powszechny bunt!”. Nie wiem, kto przygotowywał tegoroczny ranking Freedom House, ale sądząc po argumentach użytych do uzasadnienia obniżenia noty Polski – ktoś równie rzetelny i neutralny.

Zachęcona lekturą tegorocznego raportu, sięgnęłam po ubiegłoroczny, żeby sprawdzić, czym poprzednio podpadliśmy rankingorobom. Jednym z powodów dość niskiej noty, jaką przyznano nam w 2016 r., było odebranie koncesji Radiu Hobby. Tak ten skandaliczny ponoć zamach na wolność mediów opisywała wtedy „Gazeta Wyborcza”.

KRRiT odbierze koncesję Radiu Hobby z powodu emisji programu, na który rozgłośnia nie miała wpływu. Chodzi o finansowaną przez Rosję audycję „Radio Sputnik”. – Powodem naszej decyzji jest fakt odsprzedaży części pasma innemu podmiotowi. W praktyce część programu była poza wymogami koncesji, poza polskim prawem – wyjaśniał Witold Graboś, wiceprzewodniczący KRRiT. Prezes Radiu Hobby nie ukrywał, że zdaje sobie sprawę z charakteru audycji „Radio Sputnik”. – W trakcie nadawanych tam wiadomości słychać treści paskudnie propagandowe, całkowicie się z tym zgadzam. Według KRRiT Radiu Hobby, udzielając czasu antenowego „Radiu Sputnik”, naruszyło ustawę medialną. Ponadto uprawnienia z koncesji są niezbywalne, sama zaś koncesja nie może być przedmiotem transakcji handlowych.

Oburzeni na ten wstrząsający przykład ograniczenia wolności mediów? To prawie tak samo skandaliczne jak wspomniana w tegorocznym raporcie Freedom House ograniczająca wolność mediów dyskusja w TVP o filmie „Ida”. Spieszmy się cytować rankingi, tak szybko się dewaluują. ©©

Mieszkam w Polsce i nie potrzebuję wydumanych rankingów, żeby wiedzieć, w jakim kraju żyję

100 możliwych – dokładnie tyle samo, ile Stany Zjednoczone i tylko 1 mniej niż Francja. Nic dziwnego, że media nie chciały nam zawracać głowy czymś, czego nijak nie dałoby się sprzedać jako klęskę, upadek i obciach na całą Europę.

Mieszkam w Polsce i nie potrzebuję wydumanych ran-

PODSŁUCHANE

Opóh będzie

Phoszę. Otwahte.

Cześć, Hania, to ja.

Grzegorz? Ale czemu ty tak od dziwnej sthony wchodzisz? To jest przejście na zaplecze.

A jak myślisz? Przecież mnie tu nikt nie może zobaczyć. Ty jesteś, Haniu, jak trędowata niestety. Natomiast doszły mnie słuchy, że nie chcesz się przed komisją pojawić.

Dobry pomysł, phawda? Ja do nich nie przyjdę, wtedy oni się zdenewhują i jaki każe mnie przyphowadzić policji. O, zobacz, ja tu już mam w szafce gotowy zestaw: piżamkę mam, kubeczek i szczoteczka, majtki na zmianę. Jakby mnie ahesztowali, znaczy. I nawet krzyki już ćwiczyłam w wolnych chwilach, że niby mi hęcę wykheć. O, posłuchaj: „Hatunku! Boli mnie! Na pomoc!!!”. Tefauen jest umówiony, mają przyjechać w pięć minut. Tylko nie wiem, co zhościć, jak mi kajdanków nie założyć.

Tak... No ładnie, bardzo ładnie. Tylko to wszystko ci nie będzie potrzebne, bo ty na tę komisję pójdziesz.

Jak to? Myślałam, że właśnie fajnie tak zhoibimy, że opóh będzie, że mahsz w mojej obhonie zhoibisz, że bunt będzie, hewolucja!

Hania, powiem ci szczerze: jak cię zamkną, to trudno. Nie tylko marszu, ale nawet króciutkiego oświadczenia w twojej obronie to u nas już nikt nie chce wygłosić. Nawet Pomaska. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„PiS-owska Polska śmierdzi strachem. Boi się i nienawidzi wszystkich i wszystkiego, co odbiega od przasnej, zaściankowej, katolickiej normy”.

JOANNA SENYSZYN, była posłanka i europosłanka SLD, na Facebooku



fol. Jerzy Gumowski

Granice lojalności

Istotne nominacje Donalda Trumpa budziły sporo emocji, gdyby chciało się jednak wskazać tę, wokół której buzowały emocje największe, trzeba byłoby wyjść poza krąg ministrów i doradców. Nic nie rozpalilo amerykańskich środowisk politycznych bardziej aniżeli uzupełnienie składu Sądu Najwyższego, gdzie był wakat. Supreme Court jest bowiem ważną instytucją amerykańskiego systemu — polityczno-cywilizacyjną mocniej nawet niż jurysdykcyjną. Dziewięciu członków SN mianują (dożywotnio) prezydenci państwa, a ponieważ ci są lewicowi lub prawicowi — skład SN jest mieszany i od dość dawna głosi 5:4 na korzyść lewicy lub prawicy, a treść tych werdyktów ustawia fundamentalne reguły życia społeczeństwa. Gdy więc zeszłego roku zmarł konserwatywny sędzia Antonin Scalia, prezydent Obama chciał go zastąpić swoim nominatem (co przechyliłoby szalę werdyktów na korzyść lewicy), jednak Republikanom udało się parlamentarne blokowanie tej nominacji aż do wyborów, dzięki którym lewica została wyautowana. Obecnie w amerykańskim SN siły są rozłożone 5:4 kontrlewacko.

Nominacja, której dokonał Trump, wystawia mu brylantowe świadectwo jako przywódcy. Mógł bowiem typować swoją siostrę, Maryanne Trump Barry. Jest ona wybitnym sędzią, więc niektórzy przypuszczali, że decyzja prezydenta będzie usprawiedliwieniem nepotyzmu. Trump nie zrobił tego, ponieważ siostra ma zbyt lewicowe skłonności jak na jego gust. Wybrał stosunkowo młodego (49 lat) konserwatystę Neila Gorsucha, prymasa Temidy amerykańskiej (nawet Demokraci przyznają, że ten ich przeciwnik to chluba amerykańskiego sądownictwa). Gorsuch jest wyznawcą tzw. „oryginalizmu” vel „tekstualizmu”, czyli zwolennikiem literalnego/ortodoksyjnego traktowania tekstu konstytucji (którą w XVIII wieku ułożyli „ojcowie założyciele”), bez żadnych „postępowych” (czytaj: „liberalnych” vel lewackich) wykładni rozszerzających, zwanych „interpretacjami”, a będących po prostu manipulacją (to przez nie swego czasu lewicowy 5:4 SN uchwałił prawa aborcyjne, progejowskie tudzież inne kontrchrześcijańskie). Z Gorsuchem w składzie trudno będzie Sądowi Najwyższemu fiksować lub buksować, nie jest to wszakże najciekawsze przy tej nominacji, lecz dopuszczana/spekulowana przez media możliwość nielojalności nominata wobec patrona. Znajac suwerenność charakterologiczną Gorsucha i jego uczciwość — komentatorzy są pewni, że jego decyzje będą zgod-

ne z prawem nawet wtedy, jeśli będą przeciwnie oczekiwanom lub decyzjom Trumpa, ergo: że szacunek dla prawa Gorsuch przedłoży nad wdzięczność wobec prezydenta. Dał tego jawny dowód już kilka dni po nominacji, zwąc „demoralizującą i przynębiającą” wypowiedź Trumpa krytyczną wobec sędziów, co zablokowali prezydencki dekret o imigrantach z sześciu krajów.

Tak dotarliśmy do właściwego tematu niniejszego felietonu — do konstatacji, że chociaż lojalność człowieka wobec człowieka to jedna z najpiękniejszych ludzkich cech, czasami trzeba postawić nad nią lojalność wobec zasad, bo „pewnych rzeczy się nie robi”. Arystoteles ujął to sławną maksymą: „*Amicus Plato, amicus Socrates, sed magis amica veritas*” (Drogi mi Platon, drogi Sokrates, ale jeszcze droższa prawda), a kanclerz Tomasz More (Morus) przypieczętował własną głową ściętą mieczem katedry, bo chociaż przyjaźnił się z królem Henrykiem VIII, nie wyraził zgody na łamanie prawa przez monarchę. Mógł zostać ulaskawiony za jedno trzyliterowe słowo „tak” — lecz się nie ugiął. W moim rocznicowym esej o Morusie („Do Rzeczy” 21/2016) napisałem, iż „jego służba u stóp tronu przegrała ze służ-

∞
„Amicus Plato...”
∞

bą u stóp zasad — z prawem człowieka do «Nie!». Antyczni Grecy twierdzili: «Tylko człowiek, który umie mówić: Nie! — jest naprawdę wolny»”.

Przykładów pryncypialnego, a czasami wręcz bohaterskiego buntu sumienia, czyli owych „Nie!” wobec druha, mentora, protektora lub układu, do którego się należy, historia zna niezbyt wiele, lecz i tak zbyt dużo jak na felieton, dlatego przytoczę jedynie trzy dotyczące bardzo głośnych figur, co urodziły się w XVIII wieku, a zmarły w wieku XIX. Chodzi o pisarza, malarza i marynarza — największego pisarza niemieckiego, największego malarza hiszpańskiego i największego marynarza angielskiego. Zaczniemy od mistrza pędzli, kredek i ołówków:

Francisco Goya y Lucientes przez pierwsze ćwierć wieku swojej twórczości ulegał terrorowi Neoklasycyzmu, czyli „oschłego akademizmu”, który szerzył się wówczas w Hiszpanii jako nurt panujący za sprawą mających poparcie dworu królewskiego dyktatorów stylistycznych o rozgłosnej renomie (Mengs, Bayeu, Maelba i in.). Madryt tolerował jeszcze drugi nurt, postbarokowo-rokokowy (Tiepolo i in.), lecz na żadną awangardowość nie było miejsca. Goya długo po- tulnie smarując neoklasycystyczne lub rokizujące malowidła, całując ręce płacących mu za to patronów, wreszcie jednak nie wytrzymuje tego chomąta systemu i mając 46 lat oznajmia twardo Akademii Królewskiej Sztuk Pięknych: „*No hay reglas en la pin-*

tura!” (W malarstwie nie obowiązują żadne reguły i normy!), by uskrzydlić swą sztukę tak brawurowo, że nawet sto lat później, po I Wojnie Światowej, jej nowoczesność przyciemniała twórczość Modernizmu.

Admirał Horatio Nelson też gardził regułami krępującymi talent, sumienie, inicjatywę człowieka prawego/rozsądnego/przedsiębiorczego. Był wychowankiem adm. Jervis i wiernie mu służył aż do bitwy z flotą hiszpańską obok Przylądka Świętego Wincetego (1797). Sądząc, że flocie brytyjskiej grozi wzięcie w dwa ognie, samowolnie wykonał niezgodniony manewr, łamiąc szysak nakazany przez Jervis. Sygnaliści admirała powtórzyli rozkaz, a wówczas kapitan Nelson, który prawe oko utracił trzy lata wcześniej atakując Korsykę, przytknął lunetę do tego oka i wycedził: „*— Nie widzę żadnego sygnału!*”. To samo zrobił cztery lata później (1801) pod Kopenhagą, nie wykonując rozkazu admirała Parkera. W Royal Navy otrymywało się za niewykonanie rozkazu wyrok śmierci, lecz na szczęście dla Nelsona w marynarce tej szanowano stare prawo, które wprowadziła austriacka cesarzowa Maria Teresa. Order Marii Teresy dostawało się za złamanie rozkazu przynoszące sukces bądź ratujące od klęski. Jako że samowola Nelsona przyniosła i Jervisowi, i Parkerowi triumf — Horatio, zamiast dać głowę, dostał Order Łaźni i awans na kontradmirała.

Wreszcie autor genialnego „Fausta”, Johann Wolfgang Goethe. Przez 42 lata (od 1775) miał ciepłe gniazdko i sute utrzymanie na dworze weimarskim. Książę Karol August uczynił pisarza swoim przyjacielem nr 1, głównym doradcą, pierwszym ministrem rządu, prezesem Izby Finansów, decydującym szkolnictwa, kopalni i komunikacji, uszlachcił go (1782) — nosił na rękach. W 1791 roku powierzył swemu faworytowi również zarządzanie wszystkimi naukami, sztukami pięknymi i teatrami książstwa. Sielanka trwała bardzo długo. Do momentu, kiedy pewien wędrowny komediant zaproponował „*Jego Ekscelencji Panu Dyktatorowi*” wystawienie lichego dramatu, którego głównym aktorem miał być tresowany pudel. Goethe, rzecz prosta, ze wstrętem tę ofertę odrzucił, jednak komediant miał fory u książęcej kochanki, ta podjudziła władcę, i Karol August dał Goethemu bezwzględny rozkaz wystawienia sztuczki. Do tego poziomu pisarz zniżył się już nie mógł (klasyczne „*non possumus*”), gdyż dla przyzwyczajonych ludzi zawsze „*pewne granice istnieją*”. Zrezygnował ze wszystkich stanowisk, zrywając jakże zyskową komitywę. Działło się to w roku 1817, czyli równo 200 lat temu — ta okrągła rocznica to kolejny (drugi obok decyzji Trumpa) pretekst, aby właśnie teraz przedstawić Państwu do czytania niniejszy felieton. ©©

Waldemar Łysiak

ODLICZAMY CZAS DO OTWARCIA!

14 LIPCA 2017

-25%

na rezerwacje dokonane
do 15.06.2017

340 PRZESTRONNYCH POKOI Z WIDOKIEM NA MORZE
RESTAURACJE I BARY Z MORSKĄ SCENERIĄ ZA OKNEM
BASEN Z ILUZJĄ NIESKOŃCZONOŚCI NA DACHU
AQUAPARK Z PIERWSZĄ W POLSCE SZTUCZNĄ FAŁĄ DO SURFINGU
SALA BALOWA NA 1 000 OSÓB
50 M OD PIASZCZYSTEJ PLAŻY

Radisson Blu Resort, Świnoujście
al. Baltic Park Molo 2

+ 48 91 40 40 700

reservations.swinoujscie@radissonblu.com